

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

INNY – OBCY

Nr 1-2(34-35) Zielona Góra 2011 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



*Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit*

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 1-2(34-35) – 2011

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Aga Migdałek

© Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2011

Redaktor naczelny
Sławomir Kufel

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Członkowie redakcji:
Ewa Andrzejewska, Andrzej Buck, Lidia Głuchowska, Anita Kucharska-Dziedzic

Stali współpracownicy:
Krystyna Kamińska, Michael Kurzwey, Małgorzata Mikołajczak, Ireneusz K. Szmidt, Andrzej K. Waśkiewicz

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
TOTEM Inowrocław

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642-5995
Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl
www.prolibris.net.pl

Morfologia „obcego”

Ja mu pokażę. Ja tego innego to..., bo inny jakiś... I tak sobie tolerancja wszem i wobec ulata. Oficjalnie wszystko jest w porządku – „innego” przytulimy, nakarmimy i na drogę opatrzymy. Ale niech już lepiej idzie, jeszcze dzieci się zgorszą albo coś...

Postanowiliśmy w tym numerze trochę poeksperymentować. Niewiele, w końcu nie jesteśmy jacyś „obcy”, tak tylko, dla komfortu intelektualnego.

Zielona Góra to miasto małe, a zatem wszystko tu widać. I niedostosowanego społecznie, i obco-krajowca, i odmiennego w zachowaniach seksualnych na przykład. Wprawdzie nie słychać o czynnych napaściach, ale przecież lichy nie śpi... Czyżby nie było u nas innych, odmiennych, a wszyscy wpasowywali się w ogólny, obowiązujący model? Chyba nie, raczej boimy się: jedni – przyznania do inności, drudzy – tej inności akceptacji. Zresztą, inny to nie to samo co obcy – tej różnicy często nie zauważamy, a doskonale, i przekonująco, objaśnia to profesor Roman Sapeńko w swoim wprowadzającym tekście. Obcy to kategoria, słowo, pojęcie – kulturowe w istocie. Rzeczywistość fizyczna nie ma tu nic do zrobienia. Inny kształt czaszki, inny kolor włosów, odmienne zachowania seksualne – to tylko zewnętrzne wyznaczniki obcości, motywowanej kulturowo, a nie genetycznie. Inna kultura – inne wyznaczniki. Właśnie dlatego rozmówcy(-czynie) Anity Kucharskiej-Dziedzic są ostrożni. Nieprzyzwoicie ostrożni. Boją się szczerości i prawdy. Dlaczego? Bo istotą innego jest się bać, po prostu. Inny to nie nasz. Niebezpieczny, groźny, bo inny. Inny? A co to znaczy? Króluję dziś polityczna poprawność – nie mówić o odmiennościach, albo jeśli już mówić, to dobrze. Pewnych słów unikać, z pozostałymi się nie afiszować. Takie postawienie sprawy rodzi agresję – dlaczego mam mówić wbrew sobie, zachowywać się nienaturalnie, deklarować myśli, które nie są moimi? Wtedy znika Murzyn na rzecz Afroamerykanina. I nie jest to dobre, albowiem, paradoksalnie, podkreśla dyskryminację, podkreśla obcość. „Murzynek Bambo w Afryce mieszka...” – a „Afroamerykanin

M`Bamb`O w Afryce...” – prawda, że absurdał? I niech nikt nie myśli, że są to rozważania odległe od rzeczywistości – już niebawem pojawi się u nas więcej „odmiennych” – przede wszystkim kulturowo i religijnie, i to niekoniecznie przychylnych asymilacji. Europa ma takie problemy, najbliższe w Berlinie – czyli jakieś 100-120 kilometrów od nas – to żadna bariera... Oczywiście, jednym numerem „Pro Libris” świata nie naprawimy, ale jeśli skutecznie zwrócimy uwagę na nadchodzące wyzwania, to już będzie sukcesem.

A po co? A po to, „żeby było kraszsze”, czyli, jak wyjaśnia w bardzo ciekawym wywiadzie znakomita śpiewaczka Bogumiła Tarasiewicz, pięknie. Pięknie dlatego, że mieszkający tu Łemek, Ukrainiec, Rom, Niemiec czy Białorusin nie boją się otwartego deklarowania swej narodowości, ale jednocześnie mają świadomość, że współtworzą kulturę już inną, odmienną od genetycznie własnej – „lubuską”. Też przecież swoją, w perspektywie „starej” Polski. Bo tutaj, na zachodzie kraju, w pewnym sensie wszyscy jesteśmy „inni”.

Nie do końca wiadomo, czy „inność” przypisać należy ludziom młodym. W końcu „Byłem zły jak sam skurwysyn, bo nie wiedziałem, czy pizdę zabrać do chaty, czy zostawić w tym stanie” – deklaruje Przemysław Grześniński w dobrej, soczystej prozie. W końcu wszyscy byliśmy, jesteśmy czy będziemy młodzi. Zabrać do chaty. Także pozostałe opowiadania zamieszczone w bieżącym numerze.

I na koniec, jeśli w wieczór zbyt dosłowny, bo pełen sztucznych wyznań, deklarujemy, a potem spokojnie tego nie dotrzymujemy, to inni jesteśmy? To jednak weźmy już w nawias, bo poezja to odwieczny język „innego”:

Któregoś dnia niebyt
Weźmie każdego z nas pod ramię
(M. Warszawski)

I wszyscy będziemy „obcy”.

Sławomir Kufel

Spis treści

Roman Sapeńko , Od Obcego do Innego (Vom Fremden zum Anderen)	6
<i>Spoko, jest okej</i> , Anita Kucharska-Dziedzic rozmawia z młodzieżą homoseksualną.	22
Katarzyna Kaszewska , Inny, obcy, odmienny – liberyn	28
Karol Graczyk , Wiersze [Rzut okiem, Szczyt elegancji]	33
Renata Diaków , Od świtu do zmroku. Super stars	35
Katarzyna Palimąka , Wiersze [Erotyk jesienny, Obraz Muncha]	38
<i>Przyznawanie się do swoich korzeni już nie wymaga szczególnej odwagi</i> , Z Bogumiłą Tarasiewicz rozmawia Elżbieta Wozowczyk-Leszko	40
Renata Diaków , Chorzy na raka	45
Mieczysław J. Warszawski , Wiersz [Elegia na odejście, sierpniowa]	48
Marta Kornalska , Chłuba salonu	50
Władysław Łazuka , Wiersze [*** Idąc każdego dnia, Morze, *** Morze zabiera..., *** Sztorm poszarpał]	53
Przemysław Grzesiński , Corrida. Opowiadanie z cyklu „Brama”	57
Jacek Żeromski , Wiersze [*** Już za widnokręgiem, *** Szepty stukają...]	66
Anna Kokot , Polszczyzna pod respiratorem	68
ZBLIŻENIA	76
Maria Jazownik, Leszek Jazownik , Jak wyrazić wojenną traumę? O wierszach poetów lubuskich ..	76
Elżbieta Mikoś , Wiersze [Jedna chwila, Zapelnia myśl, Małe akwarium, Warto z przeprowadzką] ...	82
Czesław Sobkowiak , Przypomnienie Michała Kaziowa	86
Radosław Sztyber , Granice, rubieże i progi... rozczarowań. Przestrzenie refleksji Kingi Mazur	90
PREZENTACJE	97
Aga Migdałek	97
Lilianna Krause-Lewandowska , Aga Migdałek – Malarstwo	98
Paulina Sadowska , Wireless	99
Marta Kapelińska , Wiersze [Gniazdowanie, Zwrotnica]	100
Gabriela Balcerzak , Kobieta jako punkt odniesienia w malarstwie współczesnym. (Przy okazji wystawy obrazów Grzegorza L. Piotrowskiego)	102
Kalina Ziola , Wiersze [Jak tam jest, Samotność, Zatańcz ze mną, Lubię]	105
VARIA	109
Agnieszka Moroz , Sapkowskiego strategia budowania na ruinach, czyli od Czerwonego Kapturka do wiedźminki	109
Robert Rudiak , Z historii zielonogórskiego oddziału ZLP	114
Dariusz Szymanowski , Wiersze [Powidok, Stara poetka ukrywa w dłoniach swoją twarz]	117
Agnieszka Szpyłma , Rytuał voodoo albo przepis na bestseller	119
Joanna Kapica-Curzytek , Granice języka	122

RECENZJE I OMÓWIENIA	125
* Czy szczekające psy i suki wreszcie się nasycą? Beata Patrycja Klary, <i>Szczekanie głodnych psów</i> (Kamila Gieba)	125
* „Wierzę, że prawda istnieje i tylko prawda może być zwycięstwem” Narcyz Bartoszewski-Wnukowski, <i>Samo życie</i> (Monika Derczyńska)	127
* O <i>Psim kochaniu</i> Alfreda Siateckiego Alfred Siatecki, <i>Psie kochanie</i> (Monika Krygiel)	128
* Sensacyjnie na temat historii regionu Krzysztof Koziołek, <i>Miecz zdrady</i> (Małgorzata Mikołajczak)	129
* W poszukiwaniu lubuskiej historii Krzysztof Koziołek, <i>Miecz zdrady</i> (Anna Kaczmar)	130
* Życ dla Teatru czy Życ z Teatru? Antoni Czechow, spektakl <i>Czajka. Portrety miłości</i> (Andrzej Buck)	132
* Apetyt na szarlotkę, czyli kuchennymi schodami do historii (regionu) Alfred Siatecki, <i>Drugi klucz do bramy. Rozmowy nieautoryzowane albo nieodbyte o przeszłości Środkowego Nadodrza</i> (Małgorzata Mikołajczak)	133
* Zielone wiersze Władysław Kłępka, <i>Zielone światło</i> (Małgorzata Mikołajczak)	136
* O <i>może boże</i> , czyli Lubuski Wawrzyn Literacki 2010 dla Konrada Wojtyły Konrad Wojtyła, <i>może boże</i> (Małgorzata Mikołajczak)	138
* Przeszłość – to jest dziś, tylko cokolwiek dalej Zbigniew Rajche, <i>Moja Canossa</i> (Maria Miłek)	139
* Debiutancki głos młodości Jakub Rawski, <i>Pasaże</i> (Monika Alechno)	142
* Przypowieść o ludzkości Janusz Koniusz, <i>Przypowieść o podróży</i> (Krzysztof Regus)	144
* Wyznania kobiety dojrzałej Ewa Dybowska, <i>Szept krętych zdarzeń</i> (Anna Szanderska)	145
KSIĄŻKI NADEŚLANE	146
AUTORZY NUMERU	147

Od Obcego do Innego

Kiedy wychodzę na spacer z moją suczką Fifi, często spotykamy obce psy. Fifi się jeży, zwalnia i wyczekuje co dalej. Jakby się szykowała do ataku lub ucieczki. Wtedy mówię: nie bój się, to też piesek, tylko inny; przywitaj się...

Wydaje się, że podobna rzecz stała się z nami, ludźmi. Po stuleciach prześladowań i dyskryminacji, wojen i represji, walk o emancypację, nareszcie jesteśmy skłonni uznać, że obcy to po prostu inny. Nie przeceniałbym tu wkładu humanistyki czy nauk społecznych. Dokonał się po prostu akt cywilizacyjnej poprawności politycznej. Dzisiaj każdy wie, że Indianin to też człowiek, tylko inny, że kobieta to też człowiek, że gej, Rosjanin, Cygan, Arab i Żyd to ludzie tacy jak my, tylko inni – wychowani w innej kulturze, religii, innej rasy, orientacji seksualnej. Lecz czasem pojawia się w wydaniu indywidualnym lub zbiorowym to „ale...”.

Zatem w sensie cywilizacyjnym obcość/inność¹ od zarania dziejów towarzyszy człowiekowi. Najogólniej mówiąc, Obcy to nie Ja (My), to Oni. On sam z siebie rzadko jest obcy. Dopiero jako przedłużenie Onych staje się nie tylko obcy, ale nawet groźny.

1 W refleksji antropologicznej te dwa terminy traktuje się synonimicznie. Dopiero E. Levinas, rezygnując z poznawczego antropocentryzmu, doprowadza do Innego ujmowanego zupełnie inaczej niż poprzez udomowienie, czyli zrozumienie, rozum, rację itp., a mianowicie do Innego-Ja odbieranego z perspektywy etyki odpowiedzialności, tzn. do Innego, który jakby z założenia pochodzi nie z tego świata.

Vom Fremden zum Anderen

Wenn ich mit meiner Hündin Fifi Gassi gehe, treffen wir oft fremde Hunde. Fifi sträubt sich, läuft langsamer, wartet ab. Als würde sie zu einem Angriff oder zur Flucht ansetzen. Dann sage ich immer: Hab keine Angst, es ist ja auch nur ein Hund, nur etwas anders; sag hallo...

Es scheint, mit den Menschen ist es ähnlich geworden. Nach Jahrhunderten von Verfolgungen und Diskriminierung, Kriegen und Repressalien, Kämpfen um Emanzipation sind wir endlich bereit anzuerkennen, dass es sich bei dem Fremden bloß um einen Anderen handelt. Ich würde dabei den Beitrag der Geistes- oder Sozialwissenschaften nicht überschätzen. Es hat sich einfach nur ein Akt der zivilisationsbezogenen politischen Korrektheit vollzogen. Heute weiß jeder, dass ein Indianer auch ein Mensch ist, nur anders, dass die Frau auch ein Mensch ist, auch ein Schwuler, ein Russe, ein Rom, Araber oder Jude sind alle Menschen – nur in einer anderen Kultur, Religion erzogen, einer anderen Rasse oder sexuellen Orientierung angehörend. Doch manchmal wird von einem Einzelnen oder von ganzen Gruppen das „Aber...” laut.

Der Mensch wird von dem Fremden/dem Anderen¹ im kulturellen Sinne von den Anfängen der Geschichte begleitet. Im Allgemeinen sind unter dem „Fremden“ nicht „ich (wir)“ zu verstehen, sondern „sie“. „Er“ ist von sich aus nur selten „fremd“. Erst als Verlängerung von „ihnen“ wird er nicht nur fremd, er wird zu einer Gefahr.

1 In den anthropologischen Überlegungen werden diese zwei Begriffe gleichgestellt. Erst E. Levinas kommt, indem er den kognitiven Anthropozentrismus aufgibt, zu einem anderen Begriff des „Anderen“, als durch Zähmung oder Verstehen, Intellekt, Vernunft: Er kommt zu einem „Anderen-Ich“, der von der Perspektive der Ethik der Verantwortung betrachtet wird, d. h. zu dem „Anderen“, der quasi *a priori* nicht von dieser Welt kommt.

Ponowoczesne społeczeństwo udomowiło obcość poprzez wciągnięcie jej we wszystkie sfery życia, od kultury poprzez turystykę aż do nisz społeczeństwa obywatelskiego. Ciągłe jednak jest to tylko udomowienie. Zapomina się tu o tym, że obcość posiada dwie strony, w zależności od tego kto na kogo patrzy. Tę zmianę perspektywy doskonale rekonstruuje Bruno Dumont w filmie *Życie Jezusa*. Reżyserowi udaje się stworzyć przekonującą optykę „quasi-neutralnej swojskości”, w której Jezus mógł być postrzegany (i czuć się) jako obcy.

Na szczęście życie społeczne nie toczy się wedle scenariuszy filmowych. W drugiej połowie XX wieku okazało się, że udomowiona obcość wcale nie czuje się tak swojsko i domaga się swoich praw. Nie tylko w skali makro – praw mniejszości narodowych, religijnych, seksualnych, kulturowych, politycznych, socjalnych, ale również w skali mikro – praw indywidualnych. Rodzic nie może już ukarać dziecka, jak chce, nauczyciel też ma skępowane ręce, nawet właściciel własnego kotka nie może z nim zrobić, co chce.

Świat, w którym człowiek mógł czuć się jak u siebie w domu, runął. Nikt już nie może czuć się panem we własnym domu, nie może czuć się panem samego siebie. Współczesny Francuz nie jest już u siebie, Anglik już dawno porzucił politykę kolonialną i wrócił do własnego kraju, ale u siebie już nie jest. W ogóle, mało kto ma poczucie pewności oraz tego, że jest u siebie i może być sobą. Internet wyraźnie pokazuje, że nikt nie jest u siebie, a jednocześnie wszyscy są gdzieś/u kogoś.

I nie chodzi tu o zwykłe wyobcowanie, polegające na utraceniu czegoś swojego, własnej istoty czy też kultury. Odczucie obcości wynika z przerażającej konstatacji, że swojskość się rozpadła, a przekonanie, że człowiek posiada stałą naturę, było iluzją. Jest nawet wręcz odwrotnie – pierwiastek obcości to druga strona człowieczeństwa. Okazało się, że obcość leży w istocie istoty człowieka. Obcość to nieodłączny aspekt egzystencji człowieka XXI wieku, jego drugie Ja.

Historia zachodniej cywilizacji, choć innych również, pełna jest przykładów, że własna grupa

Die postmoderne Gesellschaft hat „das Fremde“ gezähmt, indem sie sie in alle Bereiche des Lebens, von der Kultur, über den Tourismus bis zu den Nischen der Zivilgesellschaft eingeführt hat. Und doch handelt es sich immer nur um eine Zähmung. Nur allzu oft wird vergessen, dass das Fremde zwei Seiten hat, je nachdem, wer schaut auf wen. Diesen Perspektivenwechsel zeigt Bruno Dumont in seinem Film *„La Vie de Jésus“* ausgezeichnet. Dem Regisseur gelingt es, einen überzeugenden Blick der „quasi neutralen Vertrautheit“ zu schaffen, durch den Jesus als „Fremder“ gesehen werden (und sich selbst fühlen) konnte.

Glücklicherweise läuft das Leben in der Gesellschaft nicht nach Filmszenarien. In der zweiten Hälfte des 20. Jahrhunderts hat es sich herausgestellt, dass sich das gezähmte Fremde ganz und gar nicht so vertraut fühlt und nach ihren Rechten ruft. Und zwar nicht nur in der Makroskala: nach den Rechten der nationalen, konfessionellen, sexuellen, kulturellen, politischen oder sozialen Minderheiten, sondern auch in der Mikroskala der Rechte des Einzelnen. Die Eltern dürfen ihre Kinder nicht mehr nach Belieben bestrafen, auch des Lehrers Hände sind gebunden, nicht einmal der Katzenbesitzer darf mit seiner Katze tun, was ihm gefällt.

Die Welt, in der der Mensch sich wie zu Hause fühlen konnte, ist zusammengebrochen. Man kann sich nicht mehr wie der Herr seines Hauses fühlen, niemand ist Herr seiner selbst mehr. Der heutige Franzose ist bei sich nicht mehr zu Hause, der Engländer hat schon lange seine Kolonialpolitik aufgegeben und ist nach Hause zurückgekommen, aber auch hier ist er nicht mehr zu Hause. Im Allgemeinen haben nur wenige das Gefühl der Sicherheit und dessen, dass sie zu Hause und „sie selbst“ sind. Das Internet zeigt immer deutlicher, dass niemand mehr bei sich selbst ist, dass aber alle gleichzeitig bei sonst jemandem sind, irgendwo.

Dabei geht es nicht um eine einfache Entfremdung, um den Verlust von etwas Eigenem, des eigenen Wesens oder der eigenen Kultur. Das Gefühl des Fremdseins ergibt sich aus der furchterregenden Feststellung, dass die Vertrautheit auseinandergefallen ist, und die Überzeugung von einer unveränderlichen menschlichen Natur illusorisch war. Es ist geradezu umgekehrt – das Element des Fremden stellt die andere Seite der Menschheit dar. Es hat sich herausgestellt, dass das Fremde im Wesen des menschlichen Wesens steckt. Das Fremde ist ein untrennbarer Aspekt der menschlichen Existenz im 21. Jahrhundert, sie ist sein zweites Ich.

ze specyficznym dla niej trybem życia przeciwstawia się obcym. Zawsze towarzyszyło temu przekonanie, że to właśnie owa grupa jest wzorcem normalności, ludzkości, a „tamci” to dzicy i barbarzyńcy, nie-ludzie i pod-ludzie. Było to bezdyskusyjne *status quo* i dopiero od końca XVIII wieku obcość stała się problemem dla refleksji teoretycznej.

Jako pierwsze zaczęły badać to zjawisko etnologia, antropologia i socjologia. Widziały obcość jako wytwór wspólnoty, jako odstępstwo od jej zasad i norm. Obcość to niedopasowanie, to niewypełnienie normy. Z. Bauman mówi, że społeczeństwa po prostu wytwarzają obcych stosownie do własnej specyfiki i we własnym stylu. Każdy, kto nie daje się zaklasyfikować do poznawczej, estetycznej lub moralnej wizji przeżywanego świata, budząc w ten sposób w ludziach niepokój i odbierając im pewność siebie – wpisuje się właśnie w figurę obcego. Obcy burzy ład i sens zastanego świata.

Z tej perspektywy społeczeństwo potrzebuje obcego/innego jako granicy, odniesienia dla tożsamości budującej się na normie porządku. Stąd brało się historyczne przeciwstawienie swój-obcy, aż do ekstremum obcości, jaką jest wrogość. Jeśli dzisiaj obserwuje się wzrost popytu na obcość, inność, to wynika to także z faktu, że zniknęła owa konieczność granicy i rozgraniczania – obcość jakby została oswojona; w zwariowanym czasie rozpadu tożsamości nasila się sadomasochistyczna potrzeba przybliżenia do granic obcości, jako igranie z tożsamościami.

Klasyczny obcy epoki nowoczesnej to wybra-kowany i odsunięty na bok rezultat ładotwórczej działalności państwa, który przeszkadza temu, co państwo lub społeczeństwo chce ustanowić, albo niszczy to, co już zostało ukształtowane. W wizji społeczeństwa kreślonego przez myśl nowoczesną – jak mówi Z. Bauman – nie ma miejsca na „ni to, ni sio”, a także na „i tędy, i owędy”.

Obraz obcego ma zatem bardzo ważną społeczną rolę. Poprzez indywidualną świadomość pośrednio kształtuje rzeczywistość społeczną, ponieważ wpływa na relacje, stosunki i postawy

Die Geschichte der westlichen Zivilisation, aber auch der anderen Zivilisationen, wimmelt von Beispielen, dass sich die eigene Gruppe mit ihrem charakteristischen Lebensstil immer den Fremden widersetzt. Dies war immer von der Überzeugung begleitet, dass die eigene Gruppe das Muster der Normalität darstellt, der Menschheit, dass „die Anderen” Wilde und Barbaren seien, Nicht-Menschen oder Untermenschen. So war der unstrittige *Status quo* und erst gegen das Ende des 18. Jahrhunderts wurde „das Fremde” zum Gegenstand theoretischer Überlegungen.

Als erste haben sich des Problems die Ethnologie, die Anthropologie und die Soziologie angenommen. Sie sahen „das Fremde” als Produkt der Gemeinschaft, als Abweichung von deren Grundsätzen und Normen. „Das Fremde” heißt: Fehlanpassung, Nichterfüllung der Norm. Z. Bauman sagt, die Gesellschaften würden die Fremden geradezu selbst produzieren, je nach der eigenen Besonderheit und immer im eigenen Stil. Wer sich nicht in den Rahmen der kognitiven, ästhetischen oder moralischen Vision der selbst erlebten Welt schließen lässt und damit die Menschen beunruhigt und ihnen ihr Selbstvertrauen entzieht – der fügt sich eben in die Gestalt des Fremden ein. Der Fremde zerstört die Ordnung und den Sinn der vorhandenen Welt.

Von diesem Blickpunkt aus braucht die Gesellschaft den Fremden/den Anderen als eine Grenze, als Bezug zu der Identität, die sich auf die Norm der Ordnung stützt. Daher kam diese historische Gegenüberstellung „der Vertraute - der Fremde”, bis zu der Extremen der Feindlichkeit. Dass man heute eine erhöhte Nachfrage nach dem Fremden, nach dem Anderen beobachtet, ergibt sich auch aus der Tatsache, dass diese Notwendigkeit der Grenze und Abgrenzung verschwunden ist: das Fremde scheint gezähmt zu sein; in der verrückten Zeit des Auseinanderfallens der Identität nimmt der sadomasochistische Bedarf an der Annäherung zu den Grenzen des Fremden an Stärke zu, als eine Art Spiel mit den Identitäten.

Der klassische Fremde der modernen Zeiten ist nichts mehr als ein aussortiertes und an die Seite gelegtes Produkt der Ordnung schaffenden Tätigkeit des Staates, der das, was der Staat oder die Gesellschaft begründen wollen, verhindert, oder das, was schon begründet wurde, zerstört. In der Vision der Gesellschaft, die durch den modernen Gedanken gezeichnet wird, gibt es, wie Z. Bauman sagt, keinen Platz für „weder dies noch das” oder für „hierher und dorthin”.

społeczne. Wynika to z mitologicznego charakteru fenomenu obcości. Analiza fenomenu obcości ujawnia jego stereotypową i symboliczną naturę związaną z funkcjonowaniem najniższych poziomów umysłowości człowieka. Stereotyp uniwersalizuje i generalizuje dane świadomości i umożliwia internalizację i obronę akceptowanych przez grupę norm społecznych. Dlatego to właśnie stereotypizacja jest często oskarżana o produkowanie obcości. W tym kontekście zdarza się, że następuje zatarcie różnicy między znakiem – symbolem – stereotypem. Natomiast najważniejsze jest to, że stereotyp, jak i symbol są niewerbalnymi, wyobrażeniowymi nośnikami sensu, za pomocą których przekazywana jest wizja świata danej społeczności.

Okazuje się zatem, że procesy łądotwórcze, za którymi stoi społeczeństwo i państwo, są, inaczej mówiąc, wojną na wyniszczenie skierowaną przeciw wszelkiej ambiwalencji. Z. Bauman, za Lévi-Straussem, wskazuje na dwie strategie, które stosowano w tej wojnie: antropofagiczną i antropoemiczną. Ta pierwsza u pierwotnych plemion polegała, w dosłownym lub w przenośnym sensie, na pożeraniu obcych, a współcześnie to po prostu asymilacja kulturowa, czyli inaczej gładzszaltowanie różnic kulturowych. Druga zaś była, jak mówi Bauman, taktyką „wymiotowania obcych”, wyganiania ich poza obszar objęty ładem lub izolowania od tych, którzy uznawani byli za „normalnych”, czyli inaczej – była to taktyka odrzucania, wykluczenia i zamykania w gettach. Często owe praktyki oczyszczania społeczeństwa polegały wręcz na fizycznej eliminacji obcych.

W wersji nowoczesnej inwariantami tych strategii są projekty tożsamości politycznej (liberalno-demokratycznej) i antropologicznej (nacionalistyczno-rasistowskiej). Pierwszy projekt bierze swój rodowód już od idei demokracji J. S. Milla. Ukryta przesłanka tego stanowiska uznaje, że ludzie posiadają jakąś wspólną, uniwersalną naturę, natomiast różnice między nimi wynikają z różnorodnych – kulturowych, edukacyjnych czy społecznych partykularyzmów. Wystarczy te różnice usunąć, aby ludzie mogli wspólnie realizować się

Das Bild des Fremden spielt also eine sehr wichtig soziale Rolle. Durch das Bewusstsein des Einzelnen wird indirekt die soziale Wirklichkeit geschaffen, denn es wirkt sich auf Verhältnisse, Beziehungen und soziale Verhaltensweisen aus. Dies ergibt sich aus dem mythologischen Charakter des Phänomens des Fremden. Durch die Analyse des Phänomens des Fremden lässt sich seine klischeehafte und symbolische Natur entlarven, die mit den niedrigsten Funktionen des menschlichen Gehirns zusammenhängen. Durch den Stereotypen werden die Angaben des Bewusstseins verallgemeinert und generalisiert, wodurch die Verinnerlichung und Verteidigung der durch die Gruppe akzeptierten sozialen Normen ermöglicht wird. Deswegen wird das Schaffen von Stereotypen oft auch des Schaffens des Fremden bezichtigt. In diesem Kontext kommt es oft vor, dass der Unterschied zwischen dem Zeichen – dem Symbol – und dem Stereotypen verwischt wird. Vorrangig ist dabei, dass der Stereotyp, genau wie das Symbol zu den nonverbalen, bildhaften Trägern des Sinns gehören, mit denen das Weltbild der jeweiligen Gemeinschaft übertragen wird.

Es zeigt sich also, mit anderen Worten, dass die epirogenetischen Prozesse, hinter denen die Gesellschaft und der Staat stehen, einen Vernichtungskrieg gegen jede Art von Ambivalenz darstellen. Z. Bauman weist hier, nach Levi Strauß, auf zwei Strategien hin, die bei diesem Krieg Anwendung finden: die anthropophagische und die anthropoemische. Die Erstere bedeutete bei den urgeschichtlichen Stämmen, im wörtlichen oder im übertragenen Sinne, den Fremden zu verzehren; heute handelt es sich schlicht und einfach um die kulturelle Assimilation oder Gleichschaltung der kulturellen Unterschiede. Die andere bestand darin, wie das Bauman formuliert, „die Fremden wegzubrechen“, sie außerhalb des geordneten Gebietes zu verbannen oder sie von denen zu isolieren, die als „normal“ gelten, oder, anders gesagt, es war die Taktik der Ablehnung, der Ausschließung und der Schließung in Ghettos. Oft waren diese Praktiken, die Gesellschaft zu reinigen, der körperlichen Vernichtung der Fremden gleich.

Die modernen Varianten dieser Strategien sind heute Projekte der politischen Identität (liberal-demokratisch) und der anthropologischen Identität (nationalistisch-rassistisch). Das erste Projekt nimmt seinen Ursprung von der demokratischen Idee von J. S. Mill. Die nicht offen gelegte Prämisse dieser Stellung besagt, dass die Menschen eine gemeinsame, universelle Natur haben, während die Differenzen zwischen ihnen unterschiedlicher: kultureller,

w przestrzeni życia obywatelskiego (wedle uniwersalnego rozumu politycznego). Najdoskonalszą realizacją tego projektu jest demokracja parlamentarna z koncyliacyjnym głosem mniejszości. Antropologiczny projekt tożsamości neguje możliwość zniwelowania różnic kulturowych, narodowych i rasowych, uznając, że nie mają one charakteru akcydentalnego, lecz właśnie fundamentalny. Antropologiczna tożsamość człowieka (polityczna, narodowa, kulturowa, rasowa) to coś na podobieństwo przedustawnie uformowanej jedności/homogeniczności. Zatem nic, żadne gesty ani akty nie są w stanie zmienić statusu kogoś, kto z powodu krwi, historii, ziemi itp. jest odmienny, różny i obcy wobec tej jedności.

Ale paradoksalnie obcy, zgodnie z dialektyką „swojskość-obcość” ugruntowuje i potwierdza tożsamość, ponieważ ugruntowuje normatywność tejże wspólnoty – można powiedzieć, że działa tutaj efekt lustra.

Antropologia w swych badaniach obcości wskazała także na jej dychotomiczną naturę, polegającą na tym, że zawsze jej drugą, ukrytą stroną jest coś numinotycznego, ściśle związanego z *sacrum*. W wymiarze antropologicznym moment przejścia obcości w Inność, bardzo często jest wkroczeniem w sferę *numinosum*.

Profanum /Inny/ Sacrum

Swój	Obcy
Przyjaciół	Wróg

W tym ujęciu Inny jest czymś niedostępnym, nieokreślonym, nieosiągalnym nie tylko deskrytywnie, ale także wyobrazeniowo, ma numinotyczny charakter i dlatego często może być utożsamiany z absolutem. Łatwe stąd przejście albo do demona, albo do Boga. Jeśli Obcy ma w sobie coś ze świętości, to dlatego, że prześwituje w nim Inne nieudostępione, natomiast sam z siebie Obcy nie ma nic świętego. Jeśli wydaje się, że Obcy jest oswojonym Innym, to w rzeczywistości jest to negatywne oswojenie, po prostu obcość.

ausbildungspolitischer oder sozialer Partikularismen entstammen. Es würde ausreichen, diese Differenzen zu beseitigen, und schon könnten sich die Menschen gemeinsam im Rahmen der Zivilgesellschaft entwickeln (nach einem universellen politischen Verstand). Die beste Realisierung dieses Projektes ist die parlamentarische Demokratie mit einer konzilianten Stimme der Minderheit. Das anthropologische Projekt der Identität bestreitet die Möglichkeit, die kulturellen, nationalen und rassigen Unterschiede zu nivellieren, indem es besagt, sie hätten keinen zufälligen, sondern eben einen fundamentalen Charakter. Die anthropologische Identität des Menschen (politisch, national, kultur- oder rassenbezogen) sei eine Art ursprünglich geformte Einheit/Homogenität. Es gibt also nichts, keine Gesten, keine Akte, was den Status einer Person ändern könnte, die Kraft ihres Blutes, ihrer Geschichte, ihrer Herkunft usw. anders ist, gegenüber dieser Einheit unterschiedlich und fremd.

Nun paradoxerweise begründet und bestätigt der Fremde, gemäß der Dialektik „wir gegenüber den Fremden“ die Identität, da er damit die Normativität dieser Gemeinschaft bestätigt – man kann sagen, es wirkt hier das Effekt des Spiegels.

Infolge ihrer Forschungen wies die Anthropologie außerdem auf ihre zwiespältige Natur hin, bestehend darin, dass sie immer eine zweite Seite hat, ein Numinosum, das streng mit dem Sacrum verbunden ist. In der anthropologischen Dimension bedeutet der Übergang des „Fremden“ in den „Anderen“ sehr oft den Eingang in die Sphäre des Numinosum.

Profanum /der Andere/ Sacrum

Einer von uns	Fremder
Freund	Feind

Von diesem Blickpunkt erscheint der Andere als etwas Ungreifbares, Unbestimmtes, Unerreichbares, und zwar nicht nur im beschreibenden Sinne, sondern auch im Rahmen der Vorstellung, er hat einen numinosen Charakter und kann daher oft mit dem Absoluten gleichgesetzt werden. Von hier aus ist der Übergang zum Dämonen oder zum Gott einfach. Gibt es in dem Fremden etwas Heiliges, dann nur, weil durch ihn das Andere, das Unzugängliche durchscheint, er selbst aber hat nichts Heiliges an sich. Wenn es scheint, der Fremde sei ein gezähmter Anderer, so ist das in

Obce, które chciałyby przekształcić się w Inne jako *sacrum*, w coś numinotycznego łatwo daje się unieszkodliwić śmiechem. *Sacrum/numinosum* nigdy nie śmieszy. Z *sacrum* nigdy się nie żartuje. M. Bachtin mówi np. o śmiechu obrzędowym, ale nie jest to śmiech prześmiewczy, to śmiech zabawy i rytuału, karnawału, a w tym karnawale nawet żart ma licencję *sacrum*.

Wynika z tego, że obcości nie można oswoić jako obcości, natomiast można w polu własnego życia maksymalnie ją przybliżyć i wtedy stanie się wrogością. W tym sensie na przykład islam kiedyś jako obcy nie był tak wrogi jak dzisiaj, kiedy próbuje się go zasymilować. W tej sytuacji albo przestaje być obcy (swój dla siebie), albo wpisuje się w kategorię „wrogości” (właśnie jako obcy). Dzisiejsze próby obramowania i spacyfikowania islamu przez globalną cywilizację powodują, że dla zachowania własnej specyfiki (swojskości), musi być on klasyfikowany tylko jako wrogość. Tylko tak ta religia może istnieć w uniwersalnej, globalnej kulturze. Inaczej zniknie.

Kiedy człowiek patrzy na obcego, nie chce znaleźć się po jego stronie, bojąc się utraty tożsamości. Jednakże ów nowoczesny teoremat: obcy – wyobcowanie – tożsamość, w dobie ponowoczesności, jak zostało to już powiedziane, traci rację bytu, bo dziś do końca nie wiadomo, na czym miałyby polegać tożsamość.

Jako jedna z pierwszych problematyczność ludzkiej tożsamości ujawniła psychoanaliza. Z. Freud ukazał człowieka pełnego sprzeczności wynikających z podświadomych dążeń libido, obalając tym samym oświeceniową wiarę w racjonalność ludzkiej tożsamości. Jego uczeń, J. Lacan odrzucił całkowicie możliwość stabilnej tożsamości i uznał projekt „ja” jako nie do zrealizowania. Francuski poststrukturalista M. Foucault, głosząc antyantropologizm, uznał, że nie ma czegoś takiego jak stała ludzka natura, natomiast „dusza” i „osobowość” są nadrukowywane na ciele człowieka. Taka wizja z konieczności zakłada obcość/inność jako aksjomat ludzkiej tożsamości. Inność jest warunkiem *sine qua non* tożsamości, tam gdzie nie ma innego, nie ma tożsamości. Tam

Wirklichkeit eine negative Zähmung, es bleibt das Fremde an und für sich.

Das Fremde, das versucht, sich in das Andere als Sacrum zu verwandeln, hat etwas Numinoses an sich und lässt sich leicht unschädlich machen, indem es der Lächerlichkeit preisgegeben wird. Das Sacrum/Numinosum ist niemals lächerlich. Mit dem Sacrum ist nicht zu scherzen. M. Bachtin spricht z. B. über das zeremonielle Lachen, es handelt sich aber dabei nicht um die Lächerlichkeit, sondern um das Lachen des Festes und des Rituals, des Karnevals, da im Karneval auch das Gelächter durch das Sacrum geprägt ist.

Daraus ist zu schließen, dass man das Fremde nicht als Fremde zähmen kann, man kann sie aber daran im Bereich des eigenen Lebens maximal nähern und sie dadurch ins Feindliche verwandeln. In diesem Sinne war z. B. der Islam als das Fremde nicht so feindlich wie heute, wenn man versucht, es zu assimilieren. In dieser Situation hört es entweder auf, fremd zu sein (an und für sich), oder es fügt sich in die Kategorie des „Feindlichen” (und das eben als ein Fremder). Die heutigen Versuche, den Islam mit der globalen Zivilisation zu umzäunen und zu pazifizieren haben zur Folge, dass er um der Aufrechterhaltung der eigenen Besonderheit (des „Vertrautseins”) willen als „das Feindliche” identifiziert werden muss. Nur so kann diese Religion in der universellen, globalen Kultur existieren. Sonst verschwindet sie.

Wenn der Mensch auf den Fremden blickt, so will er nicht, sich auf seiner Seite zu finden, weil er den Verlust der eigenen Identität fürchtet. Doch dieses moderne Theorem: der Fremde – die Verfremdung – die Identität verliert, wie schon gesagt, in der postmodernen Zeit seine Begründung, da man heute nicht genau weiß, worin die Identität bestehen sollte.

Als erste wies die Psychoanalyse auf die Zweifelhaftigkeit der Identität hin. S. Freud zeigte den Menschen als ein Wesen voller Widersprüche, die den unterbewussten Bestrebungen des Geschlechtstriebes entstammen; damit widerlegte er den aufklärerischen Glauben an die Rationalität der menschlichen Identität. Sein Schüler, J. Lacan, lehnte die Möglichkeit einer stabilen Identität völlig ab und erklärte das Projekt „Ich” als nicht realisierbar. Der französische Poststrukturalist M. Foucault verkündete mit seinem Antianthropologismus, dass es so etwas, wie eine unveränderliche menschliche Natur nicht gibt, dass aber die sog. „Seele” und „Persönlichkeit” dem Menschen aufgeprägt werden.

nie ma „zdrowej” tożsamości – można by sarkastycznie skomentować to, co dzieje się ostatnio w Polsce i na świecie.

Obcy stał się bliższy, a nawet jakoś taki swojski, szczególnie po drugiej wojnie światowej, kiedy narody, które sąsiadów postrzegały jako obcych, w procesie stopniowej europejskiej integracji miały nagle okazję bliżej się sobie przyjrzeć. Także rozwój cywilizacyjny, komunikacja międzykulturowa, globalizacja ekonomii i kultury, masowe migracje, upadek kolonializmu, przemysł turystyczny – wszystko to przyczyniło się do zbliżenia się do obcego, do próby jego refleksyjnego ujęcia i zrozumienia.

Dzisiaj nie ma już społeczeństw odizolowanych, ukrytych gdzieś daleko, wyłączonych z obiegu innych cywilizacji. Nie ma już kultur szokujących odmiennością, innością, obcością. To z jednej strony, efekt kolonizacji i podbojów, a z drugiej strony, efekt globalizacji, która destrukuje wszelką obcość. Nawet klasyczna antropologia nie ma już kogo badać jako „dzikiego”/obcego. Dzisiaj badanie obcości polega na badaniu swoich „obcych”, naszych sąsiadów, innych wspólnot, grup społecznych, często własnych dzieci. Dzisiaj obcego prędzej znajdziemy w internecie niż w tropikach.

W początkach XX wieku rozwijają się nurty filozoficzne określane jako filozofia spotkania, filozofia dialogu czy filozofia Innego. Interesują się one Innym, tzn. człowiekiem, który nie stoi i nie działa obok mnie (nie jest powielonym mną – tzn. nie jest częścią My), lecz stoi naprzeciw – jest Inny. Nie ma w sobie nic ze swojskości/mojskości. Jest to drugi – Ja, dla którego ja też jestem Innym. Perspektywa ta radykalnie zmienia dotychczasową refleksję humanistyczną. Ego-centryzm musi przekształcić się nawet nie w Ego-pluralizm, ale w Ego-inność.

Z drugiej strony paradygmat Innego to odpowiedź filozofii na samotność człowieka w XX wieku. Klasyczna filozofia, zorientowana na ontologię i epistemologię, poszukująca transcendencji, nie była w stanie odkryć specyfiki bytu ludzkiego. Dopiero ustanowienie w charakterze przesłanki

Eine solche Vision geht notwendig von dem „Fremden”/„Anderen” als einer Voraussetzung der menschlichen Identität aus. Das Andere ist eine Voraussetzung *Sin equa non* der Identität, wo der Andere nicht da ist, da gibt es keine Identität. Da gibt es keinen Platz für eine „gesunde” Identität, wie man sarkastisch auch das kommentieren kann, was in der letzten Zeit in Polen und in der Welt vorkommt.

Der Fremde ist näher geworden, ja beinahe „vertraut”, insbesondere nach dem Zweiten Weltkrieg, nachdem die Völker, die ihre Nachbarn vor allem als Fremde gesehen hatten, im Rahmen der allmählichen europäischen Integration die Chance bekommen hatten, einander näher zu betrachten. Auch die Entwicklung der Technik, die interkulturelle Kommunikation, die Globalisierung der Wirtschaft und der Kultur, die Massenmigrationen, der Fall des Kolonialismus, die touristische Industrie – dies alles trug dazu bei, sich dem Fremden zu nähern, ihn in seine Reflexion einzubauen und zu verstehen.

Heute gibt es keine isolierten Gesellschaften mehr, verborgen, irgendwo in der Ferne, von dem Austausch mit anderen Kulturen ausgeschlossen. Es gibt keine Kulturen, die durch ihre Andersartigkeit, Verschiedenheit, Fremdartigkeit schockieren würden. Es ist einerseits eine Folge der Kolonisation und der Eroberungen, andererseits – der Globalisierung, die alles Fremde zerstört. Auch die klassische Anthropologie hat kein Objekt mehr zum Erforschen, keinen „Wilden”, keinen Fremden. Die heutigen Forschungen an dem „Fremden” bestehen heute in der Beobachtung der „eigenen” Fremden: der Nachbarn, der anderen Gemeinschaften, sozialen Gruppen, oft eigenen Kinder. Heute findet man den Fremden oft schneller im Internet, als auf den tropischen Inseln.

Ab dem Anfang des 20. Jahrhunderts entwickeln sich neue philosophische Strömungen, unter der Bezeichnung Philosophie des Treffens, Philosophie des Dialogs oder Philosophie des Anderen. Ihr Interesse konzentriert sich auf den Andren, d. h. auf den Menschen, der nicht neben mir steht oder handelt (er ist nicht das vervielfachte Ich, also auch nicht ein Teil des „Wir”), sondern er steht mir gegenüber – der Andere. In ihm gibt es nichts von der Vertrautheit/von dem „Ich-Sein”. Er ist das andere „Ich”, für das ich auch der „Andere” bin. Durch diese Perspektive ist es zu einem radikalen Wandel in der geisteswissenschaftlichen Reflexion gekommen. Der Ego-Zentrismus muss nicht

innego bytu, autonomicznego względem człowieka, pozwoliło przełamać kryzys. Ratunek przyszedł ze strony filozofów zorientowanych teologicznie i religijnie, gdyż ten transcendentny byt, często otrzymywali oni, przekształcając figurę boskiego absolutu.

Inny ujmowany jest tutaj w paradygmacie relacji i zwykle mówi się o Innym w przymacie takich odniesień jak: przyjaźń, miłość, macierzyństwo itp. W tym ujęciu drugi człowiek, chociaż podobny do mnie, jest właśnie przede wszystkim tajemnicą.

Inny to nie Ja, to ktoś transcendentny wobec mnie. Ktoś, kogo nie jestem w stanie pojąć, lecz mogę się z nim skomunikować, nawiązać kontakt. Moje Ja sprawdza się w kontakcie z innym.

Nie bez powodów ten „komunikacyjny aspekt” staje się głównym tropem refleksji filozoficznej XX wieku. Wszakże właśnie w tym czasie następuje rozkwit technologii masowego komunikowania i pojawienie się człowieka komunikującego się. Można zatem powiedzieć, że reorientacja filozofii ma wewnętrzne i zewnętrzne źródła.

Filozofia Innego to filozofia otwarcia się na drugiego człowieka. To nowe ujęcie człowieka za punkt wyjścia nie bierze już świadomego siebie Ja, lecz Innego. Inny to obcy nieudomowiony, lecz zaakceptowany. To znaczy z nastawieniem do kontaktu z nim, nawiązania relacji i komunikacji, przyjęcia jego punktu widzenia.

M. Buber i E. Levinas to dwaj francuscy filozofowie, którzy wnieśli szczególny wkład w ten proces; dali filozoficzno-dialektyczną definicję Innego, niejako od wewnątrz.

M. Buber proponuje otwarcie się na drugiego człowieka poprzez dialog. Próbuje on filozoficznie zdefiniować relacje Ja z Innym. Ujmuje to w układzie Ja–Ty. Zwykle człowiek odnosi się do świata w całości (a zatem i do drugiego człowieka) na sposób Ja–To, tzn. w sposób poznawczy, przedmiotowy. Natomiast podmiotowo, partnersko można odnosić się tylko w relacji Ja–Ty. Fundamentalnym słowem tej relacji nie jest Ja, lecz Ty. Człowiek ustanawia tożsamość Ja w spotkaniu z Ty, dopiero wtedy z Ja staje się prawdziwą

einmal durch den Ego-Pluralismus, sondern geradezu durch das Ego-des-Anderen ersetzt werden.

Andererseits stellt das Paradigma des Anderen eine Antwort der Philosophie auf die Einsamkeit des Menschen im 20. Jahrhundert dar. Die klassische Philosophie, auf Ontologie und Epistemologie eingerichtet, war nicht im Stande, das Besondere an dem menschlichen Sein zu entdecken. Erst mit der Begründung eines anderen Daseins, das dem Menschen gegenüber autonom ist, konnte die Krise überwunden werden. Die Rettung kam von den theologisch und religiös gesinnten Philosophen, da dieses transzendente Dasein konnte oft durch die Umwandlung des göttlichen Absoluten definiert werden.

Der Andere wird hier durch das Paradigma des Verhältnisses gesehen, meistens spricht man von dem Anderen durch solche Beziehungen, wie Freundschaft, Liebe, Mutterschaft usw. Von diesem Hinblick ist der Mensch, wenn auch mir ähnlich, vor allem eben ein Geheimnis.

Der Andere ist nicht Ich, es ist jemand, der mir gegenüber transzendent ist. Jemand, den ich nicht im Stande bin, zu begreifen, aber ich kann mit ihm kommunizieren, Kontakt aufnehmen. Das „Ich” bewährt sich im Kontakt mit dem Anderen.

Es hat seine Gründe, warum dieses „Aspekt der Kommunikation” zur wichtigsten Spur des philosophischen Gedankens im 20. Jahrhundert geworden ist. Denn es ist doch diese Zeit, in der die Techniken der Massenkommunikation aufblühen und der „kommunikative” Mensch auftaucht. Man kann also sagen, die Umorientierung der Philosophie hat ihre internen und externen Quellen.

Die Philosophie des Anderen ist eine Philosophie der Öffnung für den anderen Menschen. Es handelt sich um eine neue Auffassung des Menschen, der nicht mehr das bewusste Ich, sondern den Anderen zum Ausgangspunkt gemacht hat. Der Andere ist nicht mehr gezähmt, sondern akzeptiert. Das heißt, man ist auf den Kontakt mit dem Anderen eingestellt, auf die Aufnahme einer Beziehung und der Kommunikation, auf die Übernahme seines Blickpunktes.

Die zwei französischen Philosophen M. Buber und E. Levinas sind diejenigen, die einen besonderen Beitrag zu diesem Prozess geleistet haben; sie liefern eine philosophisch-dialektische Definition des Anderen, quasi von innen her.

M. Buber schlägt vor, sich für den anderen Menschen durch Dialog zu öffnen. Er versucht, die

osobowością, prawdziwym człowiekiem. Buber mówi, że staję się Ja w zetknięciu z Ty. Według niego dialogiczność polega na życiu w obecności innego bytu oraz na bezpośrednim związku z nim. Koncepcja Bubera wyrasta z chasydyzmu, tzw. ludycznej religijności, w której cadyk jest jakby dialogującym liderem wspólnoty. W istocie zaś chodzi tutaj o relację z wiecznym Ty, tzn. z Bogiem. W tym układzie Boga nie można poznać, a jedynie się z nim spotkać, wejść z nim w relację za pośrednictwem drugiego człowieka. Według Bubera wszystko, co się człowiekowi przydarza, jest mową Boga do człowieka poprzez innego Ty. Dlatego tak ważne jest życie we wspólnocie.

M. Buber pojmuje człowieka na sposób uniwersalistyczny, podobnie jak J. S. Mill w swej koncepcji politycznej, gdzie poznanie zasad demokracji gwarantuje jej akceptację. Umysł ludzki jest jak dysk komputera, wystarczy wspólne oprogramowanie, aby komputery odzyskały kompatybilność i przyjmowały określone rozwiązania za prawidłowe. Dlatego w demokracji Milla możliwa jest równoznaczność i symetryczność relacji politycznych i społecznych. Podobnie u Bubera relacja Ja–Ty *implicite* jest symetryczna. Ja to Ty, a Ty to



Beziehungen des Ich mit dem Anderen philosophisch zu definieren. Das fasst er in dem Verhältnis Ich-Du auf. Der Mensch bezieht sich normalerweise auf die Welt als Ganzes (also auch auf den anderen Menschen) in der Relation „Ich-Es“, d. h. wie auf ein Objekt der Erkennung. Das Verhältnis zu einem Subjekt, zu einem Partner kann nur in der Relation „Ich-Du“ entstehen. Ausschlaggebend ist dabei das Wort „Du“, nicht „Ich“. Der Mensch begründet die Identität seines Ichs durch das Treffen mit dem Du, erst dann wird aus seinem Ich eine wahre Persönlichkeit, der wahre Mensch. Buber sagt: Ich werde zum Ich durch den Kontakt mit dem Du. Nach seiner Auffassung besteht der Dialog im Leben unter Anwesenheit eines anderen Wesens und in direkter Berührung mit ihm. Bubers Konzept entstammt dem Chassidismus, der Religiosität des einfachen Volkes, in der der Zaddik eine Art im Dialog kommunizierender Anführer der Gemeinschaft ist. In der Tat handelt es sich hier um ein Verhältnis zum ewigen Du, also zu Gott. In diesem Verhältnis kann man Gott nicht kennen lernen, man kann ihn nur treffen, ein Verhältnis mit einem anderen Menschen durch seine Vermittlung einzugehen. Nach Buber sei alles, was dem Menschen passiert, das Wort Gottes, gerichtet an den Menschen durch das andere Du. Deswegen sei das Leben in einer Gemeinschaft so wichtig.

M. Buber sieht den Menschen auf eine universalistische Art und Weise, wie auch J. S. Mill in seinem politischen Konzept, bei dem wer die demokratischen Prinzipien erkennt, der akzeptiert sie auch sicherlich. Der menschliche Geist sei wie die Festplatte eines Computers, es reicht eine gemeinsame Software und schon werden die Computer kompatibel und akzeptieren bestimmte Lösungen als richtig. Deswegen ist es bei Mills Demokratie eine Gleichwertigkeit und Gleichmäßigkeit der politischen und sozialen Verhältnisse. Auch bei Buber ist die Beziehung Ich-Du *implicite* symmetrisch. Ich sei Du, Du sei Ich. Es reiche nur, die Software zu verifizieren und zu reparieren – dem diene eben der Dialog. Garant der Kompatibilität sei der ewige Programmierer – Gott.

Levinas erhebt eben gegen diese versteckten Voraussetzungen Einspruch. Denn woher sollte man wissen, das Ich sei dem Du gegenüber symmetrisch? Und wenn das Ich Ankömmling aus einem anderen Planeten sei, dann kann er nicht einfach in diese intellektuelle Gleichung als Du eingefügt werden. In diesem Fall legt Levinas Akzent auf den Anderen. Das Verhältnis beginnt mit dem Anderen, anders als bei

Ja. Wystarczy tylko zweryfikować i naprawić program komputerowy, i temu służy właśnie dialog. Gwarantem kompatybilności jest Wieczny Programista – Bóg.

U Levinasa właśnie te ukryte przesłanki budzą sprzeciw. Bo skąd wiemy, że Ja jest symetryczne do Ty? A jeśli Ja jest przybyszem z innej planety, to nie można go tak po prostu wstawić (jako Ty) do owego intelektualnego równania. Levinas w tym przypadku stawia akcent na Innym. Relacja zaczyna się od Innego, inaczej niż u Bubera, gdzie wprawdzie Ty jest punktem wyjścia, to jest ono *implicite* podobne do Ja. U Levinasa Inny jest absolutnie odmienny od Ja i trudno byłoby tutaj używać zwrotu Ty; Levinas proponuje formę Vous/Pan/Pani w większym stopniu wyrażającą szacunek dla zjawiającej się tajemnicy.

Levinas dochodzi do swej koncepcji różnorakimi ścieżkami. Jedną z nich jest refleksja teologiczna oparta na Talmudzie i zawartych w tej księdze prawach religijnych. W myśleniu filozoficznym wyraża się to zwrotem w stronę indywidualnego doświadczenia, na rzecz spotkania, na rzecz otwarcia się ku Innemu, w stronę już nie logiki poznania, lecz dia-logiki. Jednak u Levinasa nie jest to filozofia dialogu, jak u Bubera, a raczej metafizyka zbudowana na etyce przekraczającej religię.

Inna ścieżka to filozofia podmiotu, którą Levinas dziedziczy po fenomenologii E. Husserla. Levinas za główny problem filozofii uznaje, podobnie jak E. Husserl, kwestię „ostatecznego uzasadnienia podmiotowości”. W tym celu posługuje się on fenomenologiczną metodologią, aby ustalić sposoby konstytuowania się podmiotowości oraz związanej z nią intencjonalności.

Przesłanką levinasowskiego dojścia do Innego jest przekonanie, wbrew Husserlowi, że w kartezjańskim ujęciu *cogito* nie mówi się, że „jest myślenie”, ale że „Ja jestem rzeczą myślącą”. Świadomość zawsze rodzi się w jakimś „tu”. Natomiast Husserl zrównuje podmiotowość z czystą świadomością, która w istocie rzeczy zawiera w sobie wszystkie możliwe treści. Taka świadomość zawłaszcza wszelką transcendencję, wszelką inność: wszystko co zewnętrzne redukuje się do

Buber, wo zwar das Du als Ausgangspunkt dient, doch es ist *implicite* dem Ich ähnlich. Bei Levinas ist der Andere völlig unterschiedlich gegen+ber dem Ich und es würde schwer fallen, den Begriff „Du“ zu verwenden; Levinas schlägt eher die Form „Vous/Sie“ vor, die dem auftauchenden Geheimnis zu einem größeren Maße Respekt zollt.

Sein Konzept erreicht Levinas auf unterschiedlichen Wegen. Einer von ihnen ist theologische Reflexion gestützt auf den Talmud und die in diesem Buch enthaltenen religiösen Grundsätze. Im philosophischen Sinne bedeutet es eine Wandlung zur individuellen Erfahrung, zum Treffen, zur Öffnung gegenüber dem anderen, nicht mehr zur Logik der Erkenntnis, sondern zu der Dia-Logik. Bei Levinas handelt es sich aber um keine Philosophie des Dialogs, wie bei Buber, sondern um eine Metaphysik, errichtet auf eine Ethik, die über die Religion hinausgeht.

Der andere Weg führt durch die Philosophie des Gegenstandes, die Levinas von E. Husserls Phänomenologie erbt. Für Levinas bildet, ähnlich wie für E. Husserl, die Frage der „endgültigen Begründung der Identität“ das wichtigste Problem der Philosophie. Zu diesem Zweck bedient er sich der Methode der Phänomenologie, um die Art und Weise der Begründung der Identität und die damit verbundene Intentionalität zu ermitteln.



immanencji tej świadomości, która jest li tylko podmiotem poznawczym. Taki podmiot sprowadza się do własnej wiedzy, okazuje się samowystarczalny, a wszystko z jego perspektywy zostaje sprowadzone do tematów dyskursywnych i musi mieć charakter predykatywny. Ociera się to o solipsyzm. Byt/transcendencja jawi się u Husserla tylko i wyłącznie jako pomyślany. Sytuację tę oddaje definiowanie relacji intencjonalnej poprzez takie pojęcia jak noeza (świadomościowy akt) i noemat (to co się jawi w akcie świadomości). Noeza i noemat wyrażają w istocie rzeczy esencjalistyczno-logiczny charakter filozofii Husserla. Świadomość jako wiedza realizująca się poprzez dążenie do zapanowania nad przedmiotami, prowadziaby do uznania podmiotu tej wiedzy, a więc samowiedzy, za byt absolutny. W ten sposób otrzymujemy Ja panujące doskonale zarówno nad sobą, jak i nad całym światem.

Natomiast podmiotowość, o jaką chodzi Levinasowi, bierze się ze świadomości innego/obcego. W nowym ujęciu podmiotowość jest nie tylko czymś dla mnie, ale także ma wymiar zewnętrzny – jest dla Innego, tak jak Inny staje się podmiotem dla mnie. Łatwo być podmiotem, będąc cesarzem Rzymu, trudniej libijskiemu emigrantowi we Włoszech. Kiedy podmiotowość przekracza samą siebie, wtedy Inny zyskuje właściwą perspektywę – afirmacji.

Zaś perspektywa Husserla nie daje takiej możliwości. Nawet jeśli możliwe jest u niego ukonstytuowanie podmiotowości Innego/Drugiego, to zawsze ten Inny zostaje ustanowiony poprzez doświadczenie wczucia i okazuje się analogiem mnie samego. Całkowicie znika tutaj pytanie o to, kim jest Inny; milcząco zostaje założone, że musi on być kimś podobnym do mnie, strukturalnie izomorficznym. Wobec tego rozszyfrowanie inności polegałoby, tak jak u platonizujących lingwistów, na znalezieniu odpowiedniego słownika do przetłumaczenia innego języka. Podobnie gramatyka generatywna mówi o skończonej liczbie reguł tworzenia syntagm i zdań obowiązujących zarówno nadawcę, jak i odbiorcę/Innego. U Husserla ogląd Drugiego/Innego jest naocznością

Levinas Prämissa für das Erreichen des Anderen ist die Überzeugung, dass man, Husserl entgegen, in dem kartesischen *Cogito* nicht sagt, „es gibt das Denken“, sondern „Ich bin ein denkender Gegenstand“. Das Bewusstsein entsteht immer in einem „hier“. Husserl macht aber die Subjektivität dem reinen Bewusstsein gleich, die an und für sich alle möglichen Inhalte in sich trägt. Ein solches Bewusstsein eignet sich insbesondere jegliche Transzendenz an, jegliches Andersein: Alles Externe wird zur Immanenz dieses Bewusstseins reduziert, bei dem es sich ausschließlich um ein erkennendes Subjekt handelt. Ein solches Subjekt ist nichts mehr als das eigene Wissen, es zeigt sich autark und von seiner Perspektive wird alles zu diskursiven Themen reduziert und muss einen prädikativen Charakter haben. Dies berührt beinahe den Solipsismus. Das Dasein/die Transzendenz erscheinen bei Husserl nur als Produkte des Denkens. Diese Situation kann durch die Definition des intentionalen Verhältnisses mit solchen Begriffen, wie Noesis (der Denkvorgang) und das Noem (das, was im Akt des Bewusstseins erscheint). Die Noesis und das Noem stehen im Wesentlichen für den essentiell-logischen Charakter der Philosophie von Husserl. Das Bewusstsein als Wissen, das sich durch das Streben nach der Beherrschung von Gegenständen realisiert, würde zur Anerkennung des Subjektes dieses Wissen, also der Selbsterkenntnis als des Absoluten führen. Auf diese Weise entsteht ein Ich, dass vollständig über sich selbst, wie auch über die ganze Welt herrscht.

Die Subjektivität, um die es bei Levinas geht, kommt vom Wissen über den Anderen/Fremden. In dieser neuen Sicht ist die Subjektivität nicht nur etwas für mich, sondern sie hat auch eine externe Dimension – sie ist für den Anderen da, sowie der Andere zu einem Subjekt für mich wird. Es ist einfach ein Subjekt zu sein, wenn man der Kaiser von Rom ist, schwerer fällt es, wenn es sich um einen libyschen Immigranten in Italien handelt. Wenn die Subjektivität über sich selbst hinausgeht, dann gewinnt der Andere die richtige Perspektive – der Affirmation.

Husserls Perspektive gibt keine solche Möglichkeit. Auch wenn es bei ihm möglich ist, die Subjektivität des Anderen zu begründen, dann bleibt dieser Andere immer nur durch die Erfahrung des Hineinfühlens greifbar und zeigt sich als analog zu mir selbst. Die Frage danach, wer ist der Andere, verschwindet hier völlig; man geht stillschweigend davon aus, dass er mir ähnlich sein muss, strukturell isomorph. Das Andere zu entzif-

wychodząca ode mnie. Co się jednak dzieje, kiedy ten Drugi wychodzi do mnie ze swoją naocznością? Jaka instancja może być negocjatorem między tymi dwoma różnymi naocznościami? Znowu banalny przykład: co się dzieje, kiedy rodzic tłumaczy coś dziecku, a ono mówi po prostu: nie? Porozumienie zostaje przerwane, na jakiej więc podstawie odnowić przerwana relację? Natomiast z Innym jest jeszcze gorzej, bo nigdy wcześniej takiego porozumienia nie było. Jeśli Inny jest kimś spoza możliwości naszej percepcji i naszego rozumienia? Jeśli jest na granicy tej możliwości? Jak porozumieć się z cudzoziemcem, jeśli wiadomo, że ani nasze gesty, ani gramatyka, ani słowa, z założenia nie są zrozumiałe i nie znajdują odzewu. Mamy się odwrócić i odejść? Nie, powinniśmy „stać się” membraną, która reaguje na wezwanie drugiej strony. Lecz jeśli język zawiódł, to co może być podstawą tej komunikacji? Levinas mówi, że etyczność. Nie odwracamy się, nie negujemy tego, z kim nie możemy nawiązać kontaktu, lecz uznajemy jego równoprawne Inne-Ja (egzystencję), a dopiero potem zaczynamy pracować nad porozumieniem. Może jednak pojawić się pytanie, dlaczego to Ja mam czekać na wezwanie (bo nawet nie na gest i nie na słowo), które uobecni się w twarzy Innego.

Levinas rozwija i akcentuje te wątki fenomenologii Husserla, w których obecna jest aksjologiczna i afektywna charakterystyka relacji intencjonalnej. Według niego, podmiotu nie można sprowadzić do samej wiedzy, do inteligibilnego sensu świata, do relacji utożsamienia świadomości z tym, co istnieje dla niej (noezy z noematem). Poznawczy kontekst, dążący do ontologicznej charakterystyki świata nie jest ani jedynym, ani pierwotnym rodzajem sensu i zrozumienia.

Levinas buduje podmiotowość na takiej relacji podmiotu do przedmiotu (już nie epistemologicznej), która ma charakter nieokreśloności i zanurzona jest w anonimowym życiu. Tutaj fundamentem nie może być byt, który daje się zredukować i utożsamić z myśleniem. Taka podmiotowość musi być w czymś ugruntowana, w jakiejś preegzystencji niemającej charakteru

fern würde dann also bedeuten, wie bei den platonisierenden Linguisten, das entsprechende Wörterbuch zu finden, um die andere Sprache zu übersetzen. Auch die generative Grammatik spricht einer geschlossenen Zahl der Grundsätze für die Bildung von Syntagmen und Sätzen, die sowohl für den Sprecher, als auch für den Empfänger/den Anderen gelten. Bei Husserl den Anderen zu sehen heißt, den Augenschein von innen her zu nehmen. Was passiert aber, wenn der Andere zu mir mit seiner Augenscheinlichkeit herauskommt? Welche Institution kann als Vermittler zwischen den zwei unterschiedlichen Augenscheinlichkeiten wirken? Nehmen wir wieder ein banales Beispiel: Was ist, wenn der Vater dem Kind etwas erläutert, und das Kind sagt schlicht und einfach „nein“? Die Verständigung ist unterbrochen, auf welcher Grundlage kann das Verhältnis wieder aufgenommen werden? Mit dem Anderen ist es noch schwieriger, denn mit ihm gab es auch zuvor keine Verständigung. Was ist, wenn der Andere von außerhalb unserer Wahrnehmung und unseres Verständnisses kommt? Wenn er an der Grenze dieser Wahrnehmung und dieses Verständnisses steht? Wie verständigt man sich mit einem Ausländer, bei dem man weiß, dass weder unsere Gesten, noch unsere Grammatik, Worte, prinzipiell nicht verständlich sind und keine Antwort finden? Soll man umkehren und weggehen? Nein, wir sollen zu einer „Membrane“ werden, die auf die Aufforderung der anderen Seite antwortet. Doch wenn die Sprache gescheitert ist, was kann die Grundlage für diese Kommunikation sein? Levinas sagt: das Ethische. Man soll sich sich umdrehen, den Anderen, mit dem man keinen Kontakt aufnehmen kann, nicht verneinen, sondern seine Existenz als des gleichberechtigten „Anderen-Ich“ anerkennen und erst dann an der Verständigung zu arbeiten. Man kann sich aber die Frage stellen, warum bin ich derjenige, der auf die Aufforderung warten soll (denn nicht einmal auf eine Geste oder ein Wort), die im Gesicht des Anderen auftaucht.

Levinas entwickelt und akzentuiert die Motive der Phänomenologie von Husserl, bei der die axiologische und affektive Eigenschaft der intentionalen Beziehung vorhanden ist. Danach lässt sich ein Subjekt nicht auf das Wissen selbst reduzieren, auf den verständlichen Sinn der Welt, auf das Verhältnis der Identifizierung des Bewusstseins mit dem, was für dieses Bewusstsein existierte (Noesis mit dem Noem). Der kognitive Kontext, der nach der ontologischen Charakteristik der

myślowego. Tym czymś jest dla Levinasa sfera wrażliwości zmysłowej, właściwa cielesnemu podmiotowi działającemu wedle reguł intencjonalności kinestezji. Jest to intencjonalność „a-reprezentacji”, poza-oglądowa, która stanowi najniższy poziom podmiotowości i nie może być ujęta myślowo. Jest to punkt węzłowy koncepcji podmiotowości, czyli „transcendencja w immanencji”, pierwiastek zewnętrżności w wewnętrzności. Zatem świadomość w sensie genetycznym warunkowana jest przez jakieś „ciało własne” wyposażone w zmysłową wrażliwość, która nie jest zwykłymi zmysłami, lecz wrażliwością odczuć. Tej zmysłowej relacji nie można zredukować do jakiegos poziomu inteligibilności/myślowości.

Ta „zewnętrzność w wewnętrzności” jest Innym, obcym ciałem w moim Ja. Czymś wiecznie odczuwalnym, czymś na poziomie pre-doświadczenia, nie tylko zmysłowym, jak odczuwanie bólu drzazgi wbitej w ciało, ale zmysłowo-duchowym. Jest to rodzaj afektywnej gotowości na cierpienie, niedającej się intelektualnie skategoryzować, niedającej się intencjonalnie ośwoić ani w kierunku Ja-Inny, ani w kierunku Inny-Ja.

Tutaj według Levinasa następuje ów pierwszy moment, w którym Ja czuje się obce we własnej świadomości. Dokonuje się tu owe nieskończone odnoszenie się Sobości w jej najbardziej wewnętrznej tożsamości do Innego, o którym Sartre powiedział, że jest zupełną dziurą we wszechświecie i pochodzi od tego co absolutnie nieobecne.

Na dowód tego odwołuje się Levinas do rzeczy myślącej Kartezjusza, której jedną z funkcji jest czucie jako odczuwanie, czyli uczucie. Właśnie na tej bazie rodziłoby się doświadczenie społeczne, afektywność uczuciowa wobec świata i innego człowieka. Zatem pierwsza pre-relacja człowieka do świata ma charakter afektywny i to ona buduje wszystkie inne odniesienia, włącznie z poznawczym. Dobitym tego potwierdzeniem jest fakt nazwania owej uczuciowości „nie-indyferencją”, nie-obojętnością wobec drugiego człowieka. Oczywiście nie ma ona charakteru sentymentalnego stosunku, tkliwego patrzenia na innych ludzi,

Welt strebt, ist weder die einzige, noch die ursprüngliche Art des Sinnes oder des Verstehens.

Levinas baut die Subjektivität auf ein solches (nicht mehr epistemologisches) Verhältnis des Subjektes zum Objekt, das einen unbestimmten Charakter hat und im anonymen Leben untertaucht. Hier kann ein Wesen, das sich auf das Denken reduzieren und mit dem Denken identifizieren lässt, nicht die Grundlage darstellen. Eine solche Subjektivität muss in etwas begründet sein, in einer Vorexistenz, die keinen Denkcharakter hat. Dieses Etwas ist für Levinas die Sphäre der sinnlichen Empfindsamkeit, die einem körperlichen Wesen, das nach den Regeln der Intentionalität der Kinästhesie handelt, eigen ist. Es handelt sich um die Intentionalität des „Un-Repräsentativität“, um eine, die außerhalb dem Augenschein liegt und das niedrigste Niveau der Subjektivität darstellt, woraufhin sie in Gedanken nicht erfasst werden kann. Das ist der Knotenpunkt des Konzeptes der Subjektivität, also die sog. „Transzendenz in Immanenz“, ein Wurzel des Äußeren im Inneren. Das Bewusstsein ist im genetischen Sinne durch den „eigenen Körper“ definiert, der mit der sinnlichen Empfindsamkeit ausgestattet ist, bei denen sich nicht einfach um die Sinne handelt, sondern auch um die Empfindsamkeit der Sinne. Diese sinnliche Relation kann nicht auf eine Art Intelligibilität/Denken reduziert werden.

Dieses „Äußere im Inneren“ ist der Andere, der fremde Körper in meinem Ich. Etwas, was immer empfindet wird, etwas auf der Ebene der Ur-Erfahrung, nicht nur sinnlich, wie Schmerz wegen eines Splitters, der in dem Körper steckt, sondern sinnlich-geistig. Es ist eine Art affektive Bereitschaft für Schmerz, die im geistigen Sinne nicht kategorisiert werden kann, auch nicht intentional zähmen, weder in der Richtung Ich-der Andere, noch in der Richtung der Andere - Ich.

Hier kommt nach Levinas der erste Moment, wenn das Ich sich fremd in der eigenen Identität fühlt. Hier vollzieht sich jenes unendliche Verhältnis zu Sich in seiner innersten Identität gegenüber dem Anderen, von dem Sartre sagte, er sei ein vollständiges Loch im Weltall und stamme davon, was absolut nicht anwesend ist.

Um das zu beweisen, beruft sich Levinas auf die denkende Sache von Descartes, bei der eine der Funktionen das Fühlen im Sinne von Empfinden, ein Gefühl erleben ist. Auf dieser Basis würde also die soziale Erfahrung entstehen, die gefühlbezogene Affektivität gegenüber der Welt und dem anderen

lecz ma charakter ontycznej przesłanki ludzkiego funkcjonowania i wstępnego warunku formowania się ludzkiej tożsamości. Można by nawet powiedzieć, że owa nieobojętność jest takim samym fundamentem tożsamości seryjnego mordercy jak altruisty bez reszty poświęcającego się innym.

Kiedy Kartezjusz tworzy swój system racjonalizmu, aby uniknąć solipsizmu, ucieka się do pomocy Boga i w konsekwencji prezentuje nam koncepcję idealistycznej filozofii, w której zarówno Bóg, jak i człowiek są samotni. Husserlowska fenomenologia zwraca się w stronę realnego świata zjawiającego się w oglądzie świadomości uwolnionej od wszelkich naleciałości kultury, społeczeństwa i nauki. I chociaż Husserl nie poddaje w wątpliwość transcendentalnej rzeczywistości poza świadomością, to jednak jego ejdetyka nie pozwala mu przekroczyć progu podmiotu i antycypować obecność innej podmiotowości, czyli Innego–Ja, które z gruntu musiałoby jawić się jako coś nieokreślonego. Człowiek dalej pozostaje samotny. Nie ma teoretycznych możliwości do przejścia do Ja–Innego.

Jak twierdzi Saint-Cheron: „Dla Levinasa kwestia sensu podporządkowana jest kwestii innego, owej „nie-in-dyferencji” wobec bliźniego. W ten sposób metafizyka przestaje być czymś istniejącym poza fizyką, by stać się tym, co jest po bycie, który jest Sobością [Soi], Ja, inaczej mówiąc: bliżnim. Nie chodzi już o prymat Dasein, bycia-w-świecie w jego *conatus essendi*, w jego trwaniu w byciu, ale o prymat bycia-dla-innych, bycia proklamowanego przez Fur-Sorge, dla innego. Dlatego etyka konstytuuje się u Levinasa nie tradycyjnie jako jedna z dyscyplin filozoficznych, lecz jest filozofią pierwszą”.

Znamiennym jest tytuł jednej z ostatnich prac Levinasa jakby syntetyzującej jego refleksję nad Innym. „Inaczej niż być czyli ponad istotą”².

2 Levinas tak to wyjaśnia: „termin istota [essence] wyraża tu bycie [l'etre] różne od bytu [l'etant], niemieckie Sein odmienne od Seiendes, łacińskie esse różne od scholastycznego ens”. Emanuel Levinas, *Inaczej niż być lub ponad istotą*, Warszawa 2000, s. 7.

Menschen. Das erste Ur-Verhältnis des Menschen zu der Welt hat also einen affektiven Charakter und auf diesem Verhältnis beruhen alle anderen Beziehungen, inklusive der kognitiven. Dies ist nachdrücklich durch die Tatsache bestätigt, dass diese Empfindsamkeit als „Nicht-Indifferenz“, „Nicht-Gleichgültigkeit“ gegenüber dem anderen Menschen genannt wird. Dabei handelt es sich natürlich nicht um ein sentimentales Verhältnis, um ein weichherziges Schauen auf andere Menschen, sondern um eine ontische Prämisse des menschlichen Handelns, um eine Voraussetzung für die Gestaltung der menschlichen Identität. Man könnte sogar behaupten, diese Ungleichgültigkeit sei genau dieselbe Grundlage der Identität für einen Serienmörder wie für einen Menschenfreund, der sich restlos für andere einsetzt.

Als Descartes sein System des Rationalismus bildete, berief er sich auf Gott, um den Solipsismus zu vermeiden, und so präsentiert er uns das Konzept einer idealistischen Philosophie, in der sowohl Gott, wie auch der Mensch einsam sind. Die Phänomenologie von Husserl richtet sich zur wirklichen Welt, die in der Beschauung eines Bewusstseins auftaucht, welches von allen Einflüssen der Kultur, der Gesellschaft und der Wissenschaft befreit ist. Und auch wenn Husserl die transzendente Realität, außerhalb des Bewusstseins, nicht in Zweifel zieht, doch seine Eidetik lässt ihn die Grenze des Subjektes nicht überschreiten und die Anwesenheit eines anderen Subjektes antizipieren, also des Anderen-Ich, das von Grund auf als etwas Unbestimmtes erscheinen müsste. Der Mensch bleibt weiterhin einsam. Es bestehen keine theoretischen Möglichkeiten, zu dem Ich-des-Anderen zu übergehen.

Wie Saint-Cheron behauptet, sei „für Levinas die Frage nach dem Sinn der Frage nach dem Anderen, nach der „Nicht-In-Differenz“ gegenüber dem Mitmenschen. Auf diese Weise hört die Metaphysik auf, etwas außerhalb der Physik zu sein, um das zu werden, was nach dem Dasein ist, das An-Sich [Soi] sei, das Ich, mit anderen Worten: der Mitmensch. Es geht hier nicht um den Vorrang des Daseins, des Da-Seins-in-der-Welt, in deren *Conatus Essendi*, in ihrem Fortbestand im Dasein, eines Seins, das durch die Für-Sorge definiert ist, für den Anderen. Deswegen begründet sich die Ethik nicht traditionell wie eine der philosophischen Disziplinen, sondern sie ist die erste Philosophie.”

Bezeichnend ist der Titel einer der letzten Arbeiten von Levinas, die die Überlegungen zum Anderen zu

Inaczej niż być, czyli jak? Levinas stawia tutaj fundamentalne pytanie o Ja z perspektywy jakiegoś nieokreślonego bycia (Inny). Jest to wyzwanie, i dopiero kiedy Ja podoła temu wyzwaniu, to może powiedzieć, że jest autentycznym, człowieczym, jak powiedziałby Levinas: etycznym Ja, a nie egotycznym centrum świadomości – Sobością. To Ja zbudowane jest nie na rozumie, który zawsze kieruje naszym myśleniem wedle intelektualnego programu, lecz na świadomości, która poprzedza samoświadomość (rozum), i która ma etyczną naturę. Właśnie dlatego „inaczej niż być” – bo tutaj następuje zawieszenie rozumności, i właśnie dlatego „poza istotą”, ponieważ istota (bycie człowieka) ujmowana wyłącznie z jego własnego punktu widzenia będzie zawsze potwierdzeniem Sobości (mówiąc po prostu: człowieka egotycznego). Levinasowi nie chodzi o bycie inaczej, bo to zawsze kojarzy się z binarnością, przeciwstawieniem się czemuś. Sformułowanie „inaczej niż być” sugeruje radykalną odmiennność od wszelkich możliwych opozycji i binarności.

W ten sposób Levinas próbuje znaleźć ostateczną podstawę międzyludzkich relacji. Nie zawiera się ona w zasadzie szczodrości, wzajemności, przywiązania, odwzajemniania dobra, lecz w absolutnej dobrowolności i bezinteresowności. To nic innego jak właśnie relacja świętości, przejście w sferę *sacrum*. Ta bezinteresowna odpowiedzialność za Innego jest czymś na kształt dobrowolnego przyjęcia na siebie kondycji zakładnika. Dzięki tej postawie możliwe jest na świecie współczucie, litość, solidarność.

To Ja jest zawsze nosicielem winy. Jest winne bycia winnym. „[...] odmiennność innego jest moją odpowiedzialnością wobec niego, ta zaś jest uciążliwa, wymyka się. Oznaką człowieczeństwa jest troska o Innego – die *Sorgo*, jak mówił Heidegger” [Saint-Charon]. Jest to poczucie odpowiedzialności człowieka, który niczemu nie zawinił, nie popełnił niczego złego. Ta odpowiedzialność za Innego jest byciem zakładnikiem, a sens tej odpowiedzialności kryje się w wyrażeniu „bycie zakładnikiem niezasłużenie”.

synthesisieren scheint. „Jenseits des Seins oder anders als Sein geschieht”² Jenseits des Seins, das heißt: wo? Levinas stellt hier die fundamentale Frage nach dem Ich aus der Perspektive eines unbestimmten Seines (der Andere). Es handelt sich um eine Herausforderung, und erst wenn das Ich sich dieser Herausforderung gewachsen zeigt, erst dann kann man sagen, er ist das wirkliche, menschliche, wie Levinas sagen würde: ethische Ich, statt dem egotistischen Zentrum des Bewusstseins – der An-Sich. Dieses Ich baut nicht auf den Verstand, der unser Denken immer nach einem intellektuellen Programm leitet, sondern auf dem Bewusstsein, das dem Selbstbewusstsein (dem Verstand) vorangeht, und das eine ethische Natur hat. Und daher kommt dieses „jenseits des Seins“ – denn es kommt zu einer Suspendierung des Verstandes, und daher kommt das „anders als Sein“, denn das Sein (des Menschen), ausschließlich von seinem eigenen Blickpunkt, immer eine Bestätigung des „Sich“ darstellen wird (einfach gesagt: des egotistischen Menschen). Levinas geht es nicht darum, anders zu sein, denn das verbindet sich immer mit einer Binarität, mit der Gegenüberstellung. Die Formulierung „jenseits des Seins“ weist auf eine radikale Verschiedenheit gegenüber allen anderen möglichen Oppositionen und Binaritäten.

Auf diese Weise versucht Levinas die endgültige Grundlage für die zwischenmenschlichen Relationen zu finden. Sie lässt sich in dem Grundsatz der Freigiebigkeit, der Gegenseitigkeit, der Anhänglichkeit und der Erwidern des Gutes nicht schließen, sondern sie drückt sich im Grundsatz der Freiwilligkeit und der Interessenlosigkeit aus. Es handelt sich um nichts anderes als die Relation des Heiligtums, des Übergangs in die Sphäre des *Sacrum*. Diese interessenslose Verantwortung für den Anderen nimmt die Gestalt der freiwilligen Annahme der Verfassung einer Geisel auf sich. Dadurch sind auf der Welt das Mitgefühl, das Mitleid, die Solidarität möglich.

Das Ich ist dann immer der Träger der Schuld. Es ist schuld, schuld zu sein. „[...] die Verschiedenheit des Anderen ist meine Verantwortung gegenüber dem Anderen, und sie ist umständlich, sie schleicht sich weg.

2 Levinas erklärt das so: „der Begriff des Wesens [essence] drückt hier das Sein, das sich vom Seienden unterscheidet, das lateinische *esse* im Unterschied zum scholastischen *ens*“. Nach der polnischen Ausgabe: Emanuel Levinas, *Inaczej niż być lub ponad istotą*. Warschau 2000, S. 7.

Człowiekiem nie bywa się tak po prostu, lecz staje się nim, żyjąc wedle maksymy: jestem zakładnikiem Innego, nie wiedząc, kim on jest.

Literatura

Bauman Zygmunt, *Ponowoczesność jako źródło cierpienia*, Warszawa 2000.

Benedyktowicz Zbigniew, *Portrety „obcego”*, Kraków 2000.

Buber Martin, *Ja i Ty. Wybór pism filozoficznych*, Warszawa 1992.

Chmura Maja, *Zanim umrze Iwan Iljcz. Perypetie podmiotu w filozofii Emanuela Levinasa*, Warszawa 2007.

Kłoczowski Jan Andrzej OP, *Filozofia dialogu*, Poznań 2005.

Levinas Emanuel, *Całość i nieskończoność. Esej o zewnętrzności*, Warszawa 1998.

Levinas Emanuel, *Inaczej niż być lub ponad istotą*, Warszawa 2000.

Levinas i inni, red. nauk. Tadeusz Gadacz i Jacek Migasiński, Warszawa 2002.

Murawska Monika, *Problem innego. Analiza porównawcza koncepcji intersubiektywności Maurice'a Merleau-Ponty'ego i Emanuela Levinasa*, Warszawa 2005.

„Obcy” w przestrzeni kulturowej współczesnej Europy, red. nauk. Dorota Angutek, Zielona Góra 2009.

Waldenfels Bernhard, *Topografia obcego*, Warszawa 2002.

Węgrzecki Adam, *O poznawaniu drugiego człowieka*, Kraków 1992.

Das Zeichen des Menschseins ist die Sorge um den Anderen, wie dies Heidegger formulierte” [Saint-Charon]. Es handelt sich um das Gefühl der Verantwortung eines Menschen, der keine Schuld trägt, der nichts Böses getan hat. Diese Verantwortung für den Anderen bedeutet, eine Geisel zu sein, und der Sinn dieser Verantwortung verbirgt sich in dem Wort „unverdient Geisel zu sein“.

Man kann nicht einfach so Mensch sein, man wird zum Menschen, wenn man nach der Losung lebt *ich bin eine Geisel des Anderen, ohne zu wissen, wer er ist*.

Literaturverzeichnis

Bauman Zygmunt, *Ponowoczesność jako źródło cierpienia*, Warschau 2000.

Benedyktowicz Zbigniew, *Portrety „obcego”*, Krakau 2000.

Buber Martin, *Ja i Ty. Wybór pism filozoficznych*, Warschau 1992.

Chmura Maja, *Zanim umrze Iwan Iljcz. Perypetie podmiotu w filozofii Emanuela Levinasa*, Warschau 2007.

Kłoczowski Jan Andrzej OP, *Filozofia dialogu*, Posen 2005.

Levinas Emanuel, *Całość i nieskończoność. Esej o zewnętrzności*, Warschau 1998.

Levinas Emanuel, *Inaczej niż być lub ponad istotą*, Warschau 2000.

Levinas i inni, Hrsg. Tadeusz Gadacz und Jacek Migasiński, Warschau 2002.

Murawska Monika, *Problem innego. Analiza porównawcza koncepcji intersubiektywności Maurice'a Merleau-Ponty'ego i Emanuela Levinasa*, Warschau 2005.

„Obcy” w przestrzeni kulturowej współczesnej Europy, Hrsg. Dorota Angutek, Zielona Góra 2009

Waldenfels Bernhard, *Topografia obcego*, Warschau 2002.

Węgrzecki Adam, *O poznawaniu drugiego człowieka*, Krakau 1992.

Übersetzt vom Grzegorz Kowalski

Spoko, jest okej

Anita Kucharska-Dziedzic rozmawia z młodzieżą homoseksualną

Mówią o sobie, że są Tęczowi... W rozmowie byli młodzieńczo odważni i szczerzy. Chwilami miałam wrażenie, że zbyt szczerzy. Przecież pytałam o prywatne emocje, a oni nie unikali odpowiedzi. Kilka razy usłyszałam: no dobrze, ja powiem. Usłyszałam także, że na pewno znajdzie się życzliwy sąsiad, który życzliwie doniesie... Miałam zgodę moich rozmówców na podanie ich pełnych nazwisk. Zrezygnowałam. Chodziło mi przecież o to, żeby ich zrozumieć i poznać, a nie przyklepić łatkę na czoło. Są bardzo młodzi i są Tęczowi...

– Trudniej jest zrobić *coming out* publicznie czy w rodzinie?

Kasia: Jeśli się działa na rzecz społeczności, to lepiej jest jawnie powiedzieć o swojej do niej przynależności. Dać nazwisko, aby być wiarygodnym. Mój *coming out* był łatwiejszy w Zielonej Górze, wśród znajomych na uczelni, w pracy. To było łatwiejsze, choć wcale niełatwe, żeby wyjść z przysłowiowej szafy. Patrząc z perspektywy na to, jak ułożyły się moje relacje z rodziną, mogę powiedzieć, że obcym ludziom łatwiej jest powiedzieć trudne rzeczy o nas samych.

Kuba: Mnie zdecydowanie łatwiej było powiedzieć rodzinie. Pracuję, uczę się. Znam moich współpracowników kilka lat – nie byłiby sobą w kontaktach ze mną, gdyby wiedzieli. Może nie przyjęliby tego źle, ale są dużo starsi ode mnie, rówieśnicy reagują zupełnie inaczej, starsi mogliby zobaczyć we mnie zbrojeńca, gwałciela dzieci

i inne bzdurne stereotypy. Niby mnie znają, ale jednak...

Agata: Moi rodzice jeszcze nie wiedzą, ciągle boję się im powiedzieć, nie jestem pewna ich reakcji. Mój brat wie. Byłam mile zaskoczona jego reakcją. Wiedzą znajomi. Zawsze się znajdzie życzliwy znajomy, który doniesie. Chciałabym powiedzieć im wcześniej, niż potem się tłumaczyć, że nie powiedziałam we właściwym momencie.

Marta: Pamiętam swój pierwszy publiczny wywiad. Miałam potem wrażenie, że wszyscy wokół o mnie wiedzą, że na mnie patrzą. Ale i tak trudniej jest powiedzieć rodzinie.

– To strach przed odrzuceniem czy obawa, że najbliżsi nie będą wiedzieli, jak się zachować, jak mówić sąsiadom o Was i Waszym życiu?

Marta: Trudne pytanie...

Kasia: To zależy od rodziny, jej światopoglądu, nawet zaangażowania politycznego. Ale strach przed odrzuceniem jest ważniejszy. Jeśli mówimy, zanim się usamodzielnimy, niezależnimy, opuścimy rodzinne gniazdo, zawsze jest obawa, że bliscy będą na nas wpływać, usiłować zmieniać, że się od nas odwrócą, znienawidzą.

– Bojąc się obłudy społeczeństwa, sami do pewnego momentu życie w jakimś rodzaju fałszu.

Marta: Pomogłoby nam wychodzić z szafy, gdyby w szkołach mówiono, że homoseksualizm

to żadna choroba, żadne zboczenie, gdyby mówiono o nim obiektywnie.

– Pomogłoby Wam, gdyby znani homoseksualiści, o dużym dorobku naukowym czy artystycznym, osoby opiniotwórcze otwarcie przyznawały się do swojej orientacji?

Agata: Tak.

– A pytacie w swoim środowisku, dlaczego tego nie robią?

Marta: Boją się o swoje kariery, zwykle już tak długo żyją w kłamstwie, że nie wyobrażają sobie, że mogliby powiedzieć prawdę.

Kasia: Jeśli mają duży szacunek społeczny, są wewnętrznie i zewnętrznie poukładani, ujawniają się. To młodym ludziom bardzo pomaga. Bardziej cieszy, kiedy się ujawni profesor uniwersytecki niż artysta, bo to jest wbrew stereotypowi. Nigdy nie jest dobry moment, żeby zrobić *coming out*, trzeba odwagi. Jeśli się żyje w gronie gejów i lesbijek, łatwo uznać, że świat zewnętrzny jest bezpieczny i można powiedzieć prawdę, ale konfrontacja z rzeczywistością bywa bolesna.

– Wasz *coming out*, było lepiej, niż się spodziewaliście, czy gorzej?

Marta: Zdecydowanie lepiej. Emocje opadły.

Agata: Lepiej. Pomogły mi wyjazdy do wielkich miast, do Warszawy, zobaczyłam, że ludzie żyją inaczej, że homoseksualizm to nie problem. Na portalu branżowym spotkałam podobne do mnie dziewczyny, to mi pokazało, że nie jestem sama. Miałam wsparcie. Gdyby nie to, nadal siedziałabym w szafie.

– W obcym miejscu jest łatwiej?

Kasia: Łatwiej.

Kuba: U mnie też było lepiej. Na początku powiedziałem siostrze. Co tydzień jeździłem do Poznania, spotykać się ze znajomymi w klubach gejowskich i ona spytała, po co ja jeżdżę do tego Poznania. U mnie w domu nikt nie ma z tym problemu, mama potrzebowała trochę czasu, żeby się z tym oswoić, ale dziś jest już rewelacyjnie. Siostra

i jej znajomi często ze mną jeżdżą. Pobawić w klubach gejowskich można się dobrze niezależnie od orientacji.

– Przyznawali, że zawsze wiedzieli?

Kuba: Spodziewali się, nie wiedzieli, ale się spodziewali.

– Czy potem pojawiła się ulga? Bo nie muszą udawać, że się nie domyślają?

Kuba: Też. Tak.

Marta: Mnie spotkały różne reakcje, przyjazne i nieprzyjazne. Zmienia się rodzaj więzi między ludźmi, trzeba się na nowo określić w relacjach z osobą homoseksualną. Ale jednak więcej osób było zaskoczonych. Nie domyślali się. To też stereotyp, że łatwo się domyśleć.

Agata: Jak miałam krótkie włosy, to mówili, że się domyślali, teraz mam długie i słyszę ciągle: Ty – lesbijką, to niemożliwe, nie opowiadaj!

– Czy były reakcje: Ja nie chcę tego wiedzieć, po co mi to mówisz? Twoje życie seksualne mnie nie interesuje.

Marta: W twarz nie powiedzą, ale taka jest reakcja homofobiczna na nasze akcje, marsze czy manifestacje. Widzimy potem w mediach ludzi, którzy deklarują, że nic do nas nie mają, ale lepiej, żebyśmy się nie pokazywali, znikli, nie domagali się praw.

Kuba: Za plecami gadają.

Kasia: Dla niektórych życie seksualne lesbijek jest interesujące, chcieliby sobie popatrzeć. Lesbijki i ich sytuacja czy prawa nie są ważne, ale fajnie byłoby sobie popatrzeć. Geje – nie!, to ohydne, ale kobietki? Czemu nie? Więc kto się tak naprawdę interesuje naszym życiem seksualnym?

– Zastanawiam się nad meandrami polskiej tolerancji... Jerzy Zawieyski, pisarz zwany katolickim, odważny i dobry człowiek, gęboko wierzący, zaprzyjaźniony z hierarchami, mieszkający z partnerem i matką, która mówiła, że zyskała drugiego syna. Tak zwani „wszyscy” wiedzieli i nikomu to nie prze-

szkadzało. Ale poza gronem znajomych nie wiedział nikt, pewnie wielu udawało, że nie wie i nie widzi. Tak było 50 lat temu. I może nadal tak jest? Może o to chodzi, że ujawniając się, zmuszacie ludzi, by się opowiedzieli po określonej stronie? A to nie jest komfortowe.

Kuba: Przecież ja się nie przedstawiam: Cześć jestem Kuba i jestem gejem.

– Ale w pewnym momencie już mówisz... Reagujesz, np. gdy ludzie opowiadają dowcipy, deklarujesz, że ci to przeszkadza, bo jesteś gejem, z których się tak ochoczo naśmiewają.

Kuba: Jak ktoś ma problem z gejami, to tak naprawdę ma problem z sobą. Pytanie brzmi, dlaczego ma problem z gejami? W każdej klasie, w każdej szkole jest osoba homoseksualna, w mojej klasie w gimnazjum były cztery takie osoby. I co w tym złego? Robiły coś złego? Robiły komuś krzywdę? Jesteśmy wszędzie, czy ludzie tego nie wiedzą?

Agata: Z przyznawaniem się to indywidualna sprawa i indywidualne sytuacje. W szkole nie powiedziałam, ale na tzw. mieście wszyscy wiedzą. Ale to dlatego, że największymi homofobami w mojej szkole były psycholog i pedagog. Wiedziały, że nie mogłabym liczyć na ich pomoc w trudnej sytuacji. To nie tylko kwestia edukacji seksualnej w szkołach, ale kwestia, kto tę edukację robi. Nauczyciele widzą i domyślają się i skoro jednocześnie prezentują homofobiczne zachowania, to jak mamy się przyznawać? Była tylko jedna nauczycielka, która mnie wspierała, rozumiała, była jak druga matka.

– Czy też była homoseksualna?

Agata: Nie, ale starała się mnie rozumieć i akceptować taką, jaka jestem.

Kuba: Nauczyciele się domyślają. Wiedziałem, że się domyślają, bo słyszałem dowcipy, głupie odzywki, byłem gnębiony, traktowany inaczej niż wszyscy. Najciężej mi było w gimnazjum.

Agata: Ja w gimnazjum usłyszałam, że jeszcze o tym nie wiem, ale będę lesbijką. Nie chciałam tego słyszeć publicznie, nawet, jeśli wiedziałam, że to prawda. To moja prywatna sprawa i nauczyciel

nie powinien mnie w ten sposób naznaczać publicznie. To nie jego sprawa i nie jego zadanie.

Kuba: To smutne, naprawdę smutne, bo to nauczyciel, jako pierwszy reprezentant społeczeństwa i świata dorosłych, powinien być wzorem dla tolerancyjnych zachowań. Nie musi kochać wszystkich gejów i lesbijek, ale nie powinien sprawiać im bólu.

Agata: Megaupokorzenie. Pani wyciągała ze mnie przy całej klasie, że jestem lesbijką. Pytała i pytała. A ja chciałam powiedzieć prawdę, ale mówienie tej prawdy sprawiało mi ból. Negatywne zaskoczenie.

Marta: Pikantna ploteczka zawsze krąży. Ludzie lubią plotkować.

Agata: Jak łatka przyłgnie, to się przylepi. Kojarzą cię jako geja, nieważne, czy nim jesteś. Pierwsza informacja we wrześnie – ta nowa dziewczyna jest lesbijką. Sensacja, wszyscy tym żyją. Jeśli ludzie mnie znają, to przyjmą to inaczej, bo jestem Agata i Agata jest lesbijką. Ale jeśli pierwsza informacja o tobie brzmi, że jesteś lesbijką, to już nieważne, kto ty jesteś i jaka jesteś. Pozostaniesz lesbijką i to jedyna twoja łatka.

Marta: Jakby na czole miała to wypisane. Dlatego więcej jest takich, co się ukrywają niż ujawniają, nawet wśród młodzieży. Wiele jest takich, co się nie ujawniają nawet sami przed sobą.

– Pytanie, ilu homofobów jest homoseksualistami zaprzeczającymi własnej orientacji? Przecież najbardziej nienawidzimy tego, czego nie akceptujemy w nas samych. Sporo się teraz mówi o homoseksualistach, ale celebryci występujący w mediach niewiele mają wspólnego ze statystycznym gejem. Sporo jest literatury o gejach i lesbijkach. Czytacie Witkowskiego czy Żurawieckiego i identyfikujecie się z ich bohaterami?

Kasia: To przekłamany i przerysowany obraz gejostwa. Czytam i widzę, że im chodzi tylko o seks. Sam seks też jest wykreowany. Niewiele się dowiesz o prawdziwym życiu gejów z takich pozycji, ale to są pozycje dla ciekawych heteroseksualnych.

– Markiz de Sade też niewiele mówi o życiu heteryków...

Kasia: Dokładnie.

– Homoseksualizm wykreowany w mediach wydaje się naturalny dla artystów, przedstawicieli wolnych zawodów, ale nie dla statystycznego obywatela. Homoseksualny robotnik, kierowca, murarz, przechodzień, to się nie zdarza.

Kuba: Co do kierowców, osobiście znam homoseksualnych dwóch taksówkarzy i trzech kierowców MZK.

[śmiech]

– A ilu znacie takich kibiców Falubazu?

Marta: To pewnie wszyscy ci, którzy w nas rzucali kamieniami.

[śmiech]

– Wszyscy mówicie, że w dużym mieście jest łatwiej spotkać osoby homo, bi i trans i łatwiej się przyznać. Zielonej Górze w kwestii otwartości obyczajowej bliżej do Poznania czy Koźuchowa lub Sulechowa.

Agata: Zielona Góra to prowincjonalne miasto, niczym się nie różni od małych miasteczek.

Kasia: Dla mnie różni się, bo ja nie jestem z Zielonej Góry, w rodzinnym miasteczku nie pozwoliłabym sobie na otwartość i działanie na rzecz społeczności LGBT*. Wyjazd, zmiana środowiska, otoczenia pozwala się ujawnić, najważniejsze to sobie uświadomić, że nie jesteś sama i jedyna, że są inne lesbijki z podobnymi doświadczeniami, obawami i poczuciem osamotnienia. W dużym mieście łatwiej się rozmawia i spotyka, łatwiej się policzyć, wybrać towarzystwo, zebrać grupę przyjaciół.

– Statystycznie rzecz biorąc, w małych miastach gejów i lesbijek jest przecie-

tylko samo. Ukrywają się także przed innymi osobami homoseksualnymi?

Kasia: Tak. Nie ma zaufania. Nie ryzykują poszukiwań i nie ryzykują pytań.

– A nie wyczuwacie się nawzajem?

[śmiech]

– W sytuacjach towarzyskich? Czy wyczuwacie strach i wyobcowanie?

Marta: Krótkie spojrzenia: ja wiem i ty wiesz, i idziemy każde w swoją stronę.

– Polaka poznaje się za granicą po soczystym przekleństwie, a geja?

Kasia: Homoradar.

[śmiech]

Kasia: Wiemy, po prostu wiemy. To się czuje.

– Łatwiej jest być homoseksualną dziewczyną czy chłopakiem?

Kuba: Dziewczynom jest zdecydowanie lepiej.

Marta: Dziewczynom wolno więcej. Przelotny całus nie wzbudza zainteresowania. Nie jest dwuznaczny.

Agata: Przyjaciółki.

– Ludzie Was pytają, jak to jest z tym seksem gejowskim?

Marta: Znajomi.

Kuba: O tak, znajomi, zawsze.

Marta: Zawsze pytają: A czy ja ci się podobałam? Potem: A jak wy to właściwie robicie?

– To pytanie: „czy ja ci się podobałam?” jest podszyte strachem, że może jednak, tak?

Marta: Jest taki stereotyp, że jak jesteś homoseksualistą, to myślisz tylko o seksie z każdą osobą tej samej płci. Każde przytulenie czy dotknięcie ma podtekst seksualny, że to podryw.

* Społeczność LGBT – grupa społeczna, do której należą osoby określające siebie jako mniejszości seksualne: lesbijki, geje, biseksualiści i transseksualiści, w języku angielskim określana też wymiennie jako *gay community* lub *LGBT community*. W pojęciu szerszym niektórzy badacze w ostatnich latach używają tego terminu dla określenia także innych osób o nienormatywnej seksualności (przyp. redakcji).

Dlatego pytają, czy ja się tobie podobałam. Kiedyś odpowiadałam koleżance, że nie, to się na mnie obrażała.

[śmiejch]

Marta: Zawsze są te dwa standardowe pytania. Dopiero potem pytają o rodzinę, poglądy, inne kwestie.

– Kubo, koledzy się nie boją, że mogli się Tobie podobać?

Kuba: Nie pytają się, jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby ktoś mi zadał takie pytanie. Może barzo się twierdzącej odpowiedzi.

[śmiejch]

Agata: Niech pytają, nawet jeśli to stereotypowe pytania, bo to znaczy, że chcą się czegoś dowiedzieć. Że nie zrywają kontaktu, znajomości, że są otwarci.

Marta: Dla nas to już kwestia przyzwyczajenia. Lepiej niech pytają, niż mieliby zostać bez odpowiedzi, wtedy będą myśleć stereotypowo.

– Kiedy już kończycie szkoły i możecie wybierać, z kim spędzacie czas, to wybieracie znajomych heteroseksualnych czy homoseksualnych?

Kuba: O mnie wie naprawdę bardzo wiele osób. Pewnie dlatego mam znajomych hetero- i homoseksualnych. Potrafimy bawić się świetnie razem.

Kasia: Utrzymujemy znajomości z osobami heteroseksualnymi, ale częściej wybieramy przebywanie z takimi jak my. To normalne.

Agata: Doceniamy wagę znajomości heteroseksualnych, ale jednak obracamy się przede wszystkim wśród osób naszej orientacji. Nie ma ryzyka krępujących sytuacji.

Marta: Więcej nas łączy z osobami homoseksualnymi. Rozumiemy się bez zbędnych słów, nie musisz tłumaczyć, co myślisz, co czujesz, co cię boli, czego nie akceptujesz. Jest poczucie bezpieczeństwa. Ale nasi najbliżsi, rodziny, są przecież heteroseksualne, więc zależy nam i na kontakcie, i na zrozumieniu, i na akceptacji.

– Podkreślacie wagę spotkania drugiej, podobnej osoby. A co było między momentem

uświadomienia sobie własnej odmienności i momentem uświadomienia sobie, że są inni podobni do mnie?

Agata: Wiedziałam, że takich ludzi jest wielu, ale szukałam najpierw informacji, sprawdzałam portale, fora. Musiałam się o sobie jak najwięcej dowiedzieć.

Marta: Samotność, jesteś sama na świecie.

– A Wasz milczący protest w Zielonej Górze. Też byliście samotni, ludzie byli albo obojętni, albo agresywni.

Marta: Było gorzej, niż się spodziewaliśmy, rzucano w nas jajkami, nawet kamieniami.

Kasia: Wszystko zrobiliśmy, jak trzeba, zgłosiliśmy protest, poprosiliśmy o ochronę. A potem wypowiedzi urzędników i policjantów, że każdy chciałby ochronę, a przecież nic złego się działo.

Kuba: I w domyśle: tchórzliwe pedały, najpierw prowokują, a potem dzwonią po policję.

Kasia: Społeczeństwo jest jakie jest, państwo zawiodło nasze oczekiwania.

– Opowiadacie sobie o aktach agresji, przestrzegacie się nawzajem?

Agata: Noszę gaz.

Kasia: Raz dostałam porządny łomot za to, kim jestem. Szłam sama przez park i mnie dopadli. Teraz uważam. Ale to było dawno, w moim rodzinnym miasteczku. Zaraz na początku mojego wychodzenia z szafy, więc pewnie się nie spodobało, że się ujawniam. Poczucie bezpieczeństwa mam jednak zachwiane.

– A jak sobie wyobrażacie idealną dla Was sytuację, świat za kilka, może za wiele lat?

Kasia: Nikt nie będzie zwracał na nas uwagi, nie będzie istotne, kogo i jak kochamy.

Prywatne sprawy znów będą prywatne. Społeczeństwo będzie zupełnie obojętne na czyjąś odmiennosc. A jeśli trzeba będzie jeszcze manifestować, to nikt nie będzie nam zarzucał, że prezentujemy naszą odmiennosc, ale że się upominamy o prawa, które się nam należą.

Kuba: Fajnie byłoby, gdyby każdy patrzył przede wszystkim na siebie, a dopiero potem na innych.

– **Czekacie na świat, w którym powiedzielibyście: Cześć, jestem Agata, Marta, Kasia, Kuba, jestem lesbijką, gejem. A w odpowiedzi usłyszelibyście: Cześć, no i co z tego, że jesteś?**
[śmiech]

– **Zdarzyło się już Wam usłyszeć taką pełną deklarację obojętności na Waszą orientację seksualną?**

Agata: Brat mi tak powiedział, będę mu dogonnie wdzięczna.

Marta: W rozmowach zdarza się czasami, ale nieznanym jeszcze długo nie będziemy tak uprzedzać.

Kuba: Ja już słyszałem: Spoko. Spoko, jest okej.



Inny, obcy, odmienny – libertyn

Problematyka ludzkiej odmienności, a co się za tym kryje, ucieczki przed zbiorowością i jej regułami dotyczy najdawniejszych czasów. Człowiek, który stoi w opozycji do świata, budzi ciekawość i lęk. Zdaje sobie wszak sprawę z istnienia akceptowanego przez większość porządku rzeczy, żyje w nim przez określony czas, ale ostatecznie decyduje się na wyjście poza jego obręb. Do tej pory jedyna i przez to modelowa rzeczywistość nie spełniła jego oczekiwań. Zamiast niej wybierze więc siebie.

Kiedy zaczyna uważać swoje pragnienia za nadrzędne, a są one do tego jeszcze sprzeczne z obowiązującymi powszechnie zasadami społecznymi, zmuszony jest do ich złamania. W konsekwencji zostanie usunięty ze znanego mu środowiska. Nie jest już „jednym z wielu”, zmienia się w „obcego”, a tym samym we wroga. Pojęcie to przywołuje na myśl negatywne skojarzenia. Zwykło się mówić w ten sposób o osobiwym nieznanym, którego nie można zrozumieć. „Obcy” definiowany jest przez wszystkie słowniki języka polskiego w podobnym tonie. To osoba „nienależąca do jakiegoś kręgu osób, spraw, rzeczy”¹, czy też osoba, która „pochodzi spoza określonej grupy, środowiska, rodziny”².

„Obcy”, którzy wykazują się zbyt daleko idącą autonomią, budują dystans między sobą a resztą

społeczeństwa. Moment przekroczenia granicy oddzielającej znany i bezpieczny świat od obcego jest przełomowy. Uwidacznia się tutaj pewna subtelna, acz znacząca różnica. O ile „obcy” przekracza tę drogę bezpowrotnie i na zawsze, tak „innemu” przypisywany jest pewien margines wyboru. „Inny” bądź „odmienny” nie zostaje wykluczony ze świata obiektywnego. Według Doroszewskiego termin „odznacza się cechami różniącymi daną rzecz czy osobę od innej; to inaczej różność, odrębność i odmienność”³.

Przez wielu za synonim obu określeń uważane jest pojęcie libertynizmu tudzież libertyna. Entuzjastów życia doczesnego traktowano jak wynaturzonych odszczepieńców. Nazywano ich bezwstydnikami, rozpustnikami, lubieżnikami i hulakami na tyle skutecznie, że również współcześnie określenia te są przywoływane podczas dysput o naturze libertynów. Na pytanie o to, czy oni sami odpowiedzialni są za taki stanu rzeczy, nie należy odpowiadać nazbyt pochopnie. Celem niniejszego artykułu będzie próba analizy powstania, ewolucji i przemian znaczenia definicji, co pozwoli na jej właściwe zrozumienie.

Idee libertynizmu na przestrzeni lat ulegały wielu przekształceniom. Część z nich szybko odeszła na boczny tor, została zapomniana lub

1 *Uniwersalny słownik języka polskiego*, red. S. Dubisz, Warszawa 2003, s. 10.

2 *Praktyczny słownik współczesnej polszczyzny*, red. H. Zgółkowska, Poznań 1988, s. 435-436.

3 *Słownik języka polskiego*, red. W. Doroszewski, Warszawa 1963, s. 215.

wyparta przez bardziej kontrowersyjne koncepcje. Z kolei inne nurty integrowały się i zespały, po to tylko, aby za moment stworzyć całkowicie niezależne od siebie bieguny⁴.

Chociaż termin jest charakterystyczny dla większości państw Europy Zachodniej, to jednak nigdy nie zachował jednolitej, usankcjonowanej formy. Stało się to przyczyną traktowania go jako pewnego rodzaju „worka bez dna”, do którego swoje poglądy i „poglądziki” wrzucali różnego typu myśliciele, filozofowie, pisarze czy wreszcie rządni sensacji podzégacze. Toteż, nie bacząc na to, że fundamenty libertynizmu w rzeczywistości nie mają nic wspólnego z obyczajowo-moralnymi skandalami, traktuje się je jako dodatek np. do barwnych XVIII-wiecznych opowiadań o losach bezpruderyjnych Francuzów.

Dzieje libertynizmu

Demaskacja rzeczywistego oblicza libertyna niemożliwa jest bez osadzenia go na kartach historii. W związku z tym podróż do świata nasyczonego po trosze filozofią, historią, erotyką i religią, rozpocznie się w starożytności, nabierze prędkości w kolejnych epokach i rozkwitnie w dobie oświecenia.

Od początków działalności libertyni zadawali pytania. Pytali o prawa wobec religii, Boga i człowieka. Czerpali z wiedzy starożytnych filozofów, zwłaszcza z nauk Epikura, Demokryta i Lukrecjusza⁵. Dzieło ostatniego z nich, *De rerum natura* (*O naturze wszechrzeczy*) towarzyszyło nurtowi głównie w początkowych etapach jego działalności. Szczególnym uznaniem cieszyło się założenie odrzucające istnienie jakiegokolwiek związku pomiędzy doktrynami Kościoła a etyką. Wraz z ciałem człowieka, umiera także dusza, gdyż wywiązuje się między nimi ścisła zależność. Życie pozagrobowe nie

istnieje, dlatego należy wykorzystać doczesność jak najlepiej. Lukrecjusz pisze w swoim poemacie⁶:

Teraz powiadam, że duch i dusza związane są wzajem
Jak najmocniej, i jedna z nich obu substancja powstaje;
Lecz głową dla całości jest rozum, który zwany
Duchem, umysłem, rząd w nas sprawuje nieustanny.
Jego cała siedziba w środku się, w piersi mieści [...]

Ten wywód już tłumaczy, że równie duch, jak dusza,
Cieleśnej są natury; bo jeśli w ruch wprawiają
Członki, ze snu nas budzą, kształt twarzy odmieniają,
Jeśli całym człowiekiem kierują, jak sternik okrętem [...]

Filozofia antyczna fascynowała libertynów także z uwagi na tematykę ontologiczno-kosmogoniczną. Skrupulatnie badano ówczesne hipotezy powstania świata częstokroć po to, aby obalić lub wytknąć niedoskonałości rzeczywistości, w której przyszło im żyć. Kluczowym celem było poszukiwanie najbardziej wartościowego dobra, czyli szczęścia. Owo szczęście, które tak trwale połączyło epikurejczyków z libertynami polegało na odnalezieniu właściwego miejsca we wszechświecie oraz na celebrowaniu przyjemności cielesnych i intelektualnych. Osiągnięcie takiego stanu ducha pozwalało na uzyskanie wewnętrznego spokoju. Z drugiej strony, nazbyt gorliwe wypełnianie postanowień mogło sprowadzić na drogę skrajnego hedonizmu. Co zresztą miało miejsce wraz z upływem lat...

Nie mniej intensywnych inspiracji należy doszukiwać się w następnej epoce. Średnio-wieczny libertyn to człowiek mający całkowicie odmienne od powszechnie panujących poglądy. Zmierzał do uzyskania całkowitej wolności i niezależności od chrześcijańskich nakazów i w ogóle tradycji jakichkolwiek religii⁷. Rozumienie to zgodne jest z jego łacińską etymologią *libertinus*, czyli „wyzwoleniec”. W XVI wieku dochodziło do coraz powszechniejszych konfliktów religijnych,

4 C. Reichler, *L'age Libertin*, Paryż 1987, s. 30-47.

5 G. Reale, *Historia filozofii starożytnej*, Warszawa 1997, s. 154-163.

6 T. Lucretius Carus, *O naturze wszechrzeczy*, tłum. E. Szymański, Kraków 1957, s. 88.

między katolikami a protestantami. Nie dziwi wobec tego fakt narodzin nowego prądu. To wtedy po raz pierwszy termin ten pojawił się w druku. W 1547 roku Jan Kalwin potępił w swojej publikacji pt. *Instructio adversus fanaticam et furio sam sectam libertinorum, qui spirituales vocant* członków niderlandzkiej sekty protestanckiej, określając ją mianem *sectam libertinorum*⁸.

Wówczas libertynami nazywano również sympatyków Williama Ockhama i nominalizmu francuskiego filozofa. Do najważniejszych założycieli i prekursorów tego odłamu należało trzech Niderlandczyków: Quintin, Pockes i Ruffi⁹. Ich główną zasadą stał się pogląd, jakoby Bóg zaplanował wszelkie ludzkie poczynania. Stąd wysunięto wniosek o niemożliwości istnienia grzechu. Ważniejsze od dywagacji na temat różnicy między dobrem a złem było zjednoczenie się z Bogiem. Ponieważ jedynie wstawienictwo Stwórcy gwarantowało osiągnięcie całkowitej, duchowej wolności. Pomimo kilku kontrowersyjnych poglądów, jak np. wystąpienie przeciwko obiektywizacji praw moralnych, istotnym faktem było trwanie niderlandzkich libertynów w sferze *sacrum*¹⁰. Pewnego rodzaju zależność między „obcym” a sferą *sacrum* zauważył Zbigniew Benedyktowicz, pisząc: „Doświadczenie obcości wykazuje zasadnicze podobieństwo do struktury doświadczenia i przeżycia *sacrum*”¹¹.

Libertyni zwracali szczególną uwagę właśnie na łączenie się sfery *sacrum* i *profanum*. Średniowieczni przedstawiciele nurtu wychowali się w środowisku dominacji skostniałej doktryny chrześcijańskiej, która opanowała także obszar życia codziennego. Znali podział św. Augusta na walczące ze sobą „Państwo Boże” (*civitas Dei*) i „Państwo Ziemskie” (*civitas terrena*), ale byli równocześnie świadkami postępującego moral-

nego upadku Kościoła. Wobec tego na porządku dziennym były publikacje chociażby na temat rozwiązłości duchownych. Mieszanie się sfer świeckiej ze świętą będzie towarzyszyło libertynizmowi aż do XVIII wieku.

Ostatnie lata XVI wieku przynoszą zmiany w definiowaniu pojęcia. Od tej pory libertynizm zaczyna być rozumiany w kategoriach człowieka wyzwolonego nie tylko od norm religijnych, ale też obyczajowych. Zdobyta w wielu dziedzinach nauki wiedza pozwoliła na rozszerzenie aktywności. Ekspansja znaczenia objęła w podobny sposób wiek XVII. Wtedy niespiesznie, acz sukcesywnie zaczęło ono nabierać negatywnego wydźwięku¹².

XVII-wieczny libertyn przypomina wielobarwną mozaikę. W całej swojej różnorodności nie był odbierany jeszcze, a przynajmniej nie w znaczącej mierze, jako osoba skrajnie zdemoralizowana. Śladów barokowo-oświeceniowego nurtu można się dopatrywać w elementach szeroko rozumianej filozofii, religii, literatury i obyczajów. Bogdan Banasiak podsumowuje ten czas słowami:

Libertynizm w XVII wieku jest krytyczny, ale nie radykalny, antyklerykalny, ale nie ateistyczny, swobodny, ale nie rozpustny, niekiedy bardziej stoicki, ale nie epikurejski, a już z pewnością nie hedonistyczny, antyscholastyczny, ale niekoniecznie antyreligijny, sceptyczny, ale nie wojujący. Jest ostrożny i wyważony, odrzuca nauki tajemne i podkreśla rolę rozumu, kwestionuje katolicko-feudalny ideał życia i tradycyjną obrzędowość¹³.

Na przełomie XVII i XVIII wieku pojęcie tłumaczono na dwóch płaszczyznach. W pierwszej, tradycyjnej libertyn odrzucał jedynie zakazy

7 B. Banasiak, *Integralna potworność, Markiz de Sade – filozofia libertynizmu, czyli konsekwencje „śmierci Boga”*, Łódź–Wrocław 2006, s. 95.

8 J. Snopek, *Objawienie i Oświecenie: z dziejów libertynizmu*, Wrocław 1986, s. 6.

9 Tamże.

10 J. Tazbir, *Z dziejów pojęcia „libertyn”*, [w:] *Studia z dziejów kultury i ideologii*, red. R. Heck, Wrocław 1968, s. 197-203.

11 Z. Benedyktowicz, *Portrety obcego. Od stereotypu do symbolu*, Kraków 2000, s. 192.

12 J. Tazbir, dz. cyt., s. 195.

13 B. Banasiak, dz. cyt., s. 95.

i ograniczenia kościelne, dopiero później zaczyna negować inne normy, np. moralne, społeczne i polityczne¹⁴.

W XVIII wieku filozoficzne korzenie libertynizmu straciły na znaczeniu. Umocnił się indywidualizm i skrajnie rozumiany hedonizm, a prawdziwego libertyna trudno było odróżnić od zwykłego bezwstydnika. Termin był coraz częściej nadużywany, a określenie kogoś tym mianem mogło oznaczać nawet obelgę. Czynniki, które spowodowały aż tak ogromną jego degradację, było kilka. Decydujący okazał się nasilający od wielu lat spadek stopnia moralności wśród społeczeństwa, utrata wpływów Kościoła oraz rozpowszechnienie literatury o tematyce propagującej modny wówczas „libertyńsko-hulaszczy” tryb życia.

Początkiem schyłku nurtu stała się działalność Markiza de Sade'a. Rolą autora *Justyny* nie było podsumowanie nurtu, ale ukazanie jego krańcowego oblicza. Libertyn w wyobrażeniu Sade'a podważa i przekracza wszelkie istniejące do tej pory granice człowieczeństwa. Erotykę zestawia z agresją, miłość z patologią, a rozkosz i pożądanie ze zbrodnią.

Ostatecznie rozwój nurtu zahamowała Wielka Rewolucja Francuska.

Co pozostało z idei?

Jak wspomniano we wstępie, pojęcie libertynizmu zawiera w sobie kilka obszarów znaczeniowych. Niemniej jednak można wyróżnić dwie wiodące koncepcje. Różnica między nimi ujawnia się przede wszystkim w sferze filozoficzno-światopoglądowej. Pierwotny lub klasyczny libertynizm prezentuje się jako jednolita i ukształtowana w średniowieczu idea. Podstawą jej myślowej bazy jest dążenie do życia pozbawionego opresji. Realizuje się pojęciowo przy udziale pewnych

antycznych kierunków (epikureizm, umiarkowany hedonizm i indywidualizm).

Natomiast drugi odłam, implikując część cech pierwotnego, odżegnuje się od jego prymarnych założeń i tworzy odrębną postać. Nie ma w nim tak wiele miejsca na filozoficzne założenia. To radykalny libertynizm, który definitywnie i często – brutalnie demaskuje rzeczywistość. Przy czym nie zniekształca jej ani nie ulepsza. Odbija podobnie jak lustro to, co znajduje się pod pozornymi tylko barierami. Libertyni zastanawiają się nad czynnikami sprawczymi, które decydują o tym, że ludzie wybierają zło. Decydują się na ukazanie zwierzęcej natury człowieka, aby tym samym ujawnić jego krytyczne oblicze.

Libertynizm nie jest tak odległy współczesnemu człowiekowi, jak mogłoby się na pozór wydawać. Przeciwnie. Człowiek od zawsze poszukiwał indywidualnej drogi, protestował przeciwko uciskom i ograniczeniom jego praw. Dziś rozwijające się społeczeństwa, tworząc jedynie przeobrażone modele dawnego zniewolenia¹⁵. To poniekąd nowe odsłony dawnych problemów politycznych, administracyjnych i socjalnych.

Stąd też można pokusić się o twierdzenie, że libertynizm wpisany jest w naturę powstania człowieka, który rodzi się obdarzony niezależnością¹⁶. W procesie socjalizacji zmuszony jest do wyzbycia się pewnych cech, aby sam nie był uważany za „odmieńca”. Ma dwie możliwości wyboru. Pierwsza – dopasowanie się do powszechnie panujących zasad, przy czym musi uwzględnić odrzucenie części własnych ideałów. Może też zostać libertynem i próbować powalczyć o siebie, narażając się pierwszej, dużo liczniejszej grupie.

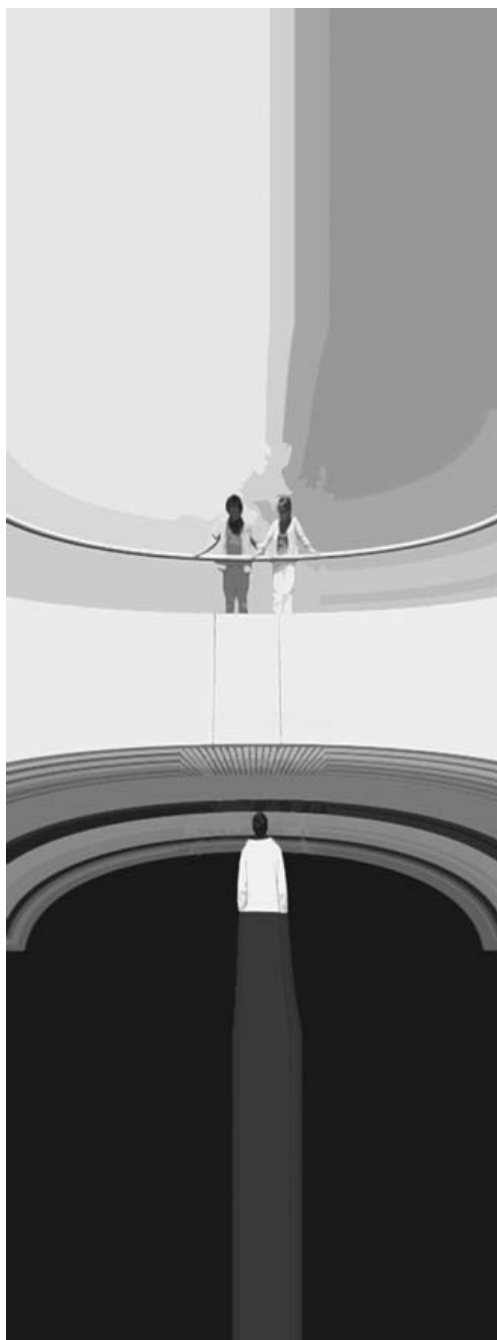
Esencją nurtu jest ciągłe dążenie do człowieczeństwa¹⁷. Libertyn, jeśli zostanie odarty ze swoich historycznych korzeni i współczesnego, stereotypowego sposobu myślenia, okaże się

14 Tamże, s. 97.

15 J. Starobinski, *Wynalezienie wolności 1700-1789*, tłum. M. Ochab, Gdańsk 2006, s. 13-17.

16 Tamże, s. 25-84.

17 C. Reichler, dz. cyt., s. 25-39.



człowiekiem poszukującym dla siebie czegoś wyjątkowego. Przekraczanie granic, zwłaszcza obyczajowych jest jednym ze środków koniecznych do zdobycia tego nadrzędnego przecież celu. *De facto* wolnomyślicielom nie udaje się go w pełni zrealizować. Odejście bowiem od wszystkich tworzących człowieka konwencji jest niemożliwe. Pytanie o to, czy przez próbę odrzucenia norm kształtujących człowieka można zyskać wolność, czy raczej pustkę, pozostaje otwarte.

Rzut okiem

Szybkie spojrzenie przez okno pociągu,
urywek krajobrazu wyjęty z kontekstu
jak pojedyncze słowo. Dom z cegły.

Reszta jest domysłem albo jego brakiem.
Trudno o konkrety bez pewności dźwięku
ulicy i sklepu, zapachu powietrza.

Teraz oni patrzą przez okno w swoim domu
na pociąg pospieszny. I do tego widoku
są przyzwyczajeni. Nie on pierwszy dzisiaj,

nie ostatni, a wygląda jak każdy w pobliżu.
I to ich przewaga we wzajemnym poznaniu:
znajomość widoku, dźwięku i zapachu,

dłuższa kadencja obiektu w zasięgu wzroku.
I jeszcze przekleństwo, że od tego widoku
nie mają dokąd uciec. Pozostają w miejscu,

więc ruch też wygrywa w tej nierównej walce.
Nudna pewność czy zmienność, wieś czy miasto. Sedno:
gdzie ulokujesz pieniądze lub czy chcesz pokochać.

Szczyt elegancji

Kupno domu – bezcenne, nawet z pełną świadomością,
że to już ostatnia przeprowadzka, że przyjdzie tu
umrzeć, chociaż dzisiaj – to jest jeszcze nasz czas,
zanim sztuka spadania w szczycie elegancji pociągnie

do ziemi. Balast brania wszystkiego co dziwne za własne
i kilka rzeczy, które nam nie wyszły, wychodzą na światło
w błysku żyletek, a ich ostry język woła jak zapach
nadchodzącej, lekkiej wiosny. Może więc najlepiej

obstawić wyścig w kontrze, żeby wygrać więcej? Może
wtedy do nas nie dotrze myśl o tym domu jak o sarkofagu,
o naszym miejscu w czasie i przestrzeni, jakie mają muchy
mijające się w locie ze skrawkami kurzu? Po pierwsze to,

co za nami. Po drugie, że to przecież nie może być koniec.
Później wmów sobie, że świat na ciebie nie zasługuje.
Spróbuj uwierzyć. Twój nowy dom to szczyt elegancji.

Odetchnij.

Od świtu do zmroku. Super stars

„Wam będzie lepiej”, mówiła mama, pochylona nad rzędami spoconych truskawek. „Wam będzie lepiej”, mówił tato, siadając po nocnej zmianie przy stole. Tak, miało być lepiej. I nawet przez chwilę odnosiło się takie wrażenie. Wtedy, gdy zdjętą z klatki kanarka karmazynową tkaninę pokrył kurz. Dlaczego zatem wciąż czuję się tak, jakby mój umysł był zniewolony?

Odpowiedzieć na to pytanie próbował Czesław Miłosz, który dołączył już do gwiazdnej unii, niestety, ale jakże żywe są jego słowa, że „strach [...] jest cementem społeczeństw znanym od dawna”. Z drugiej strony, strach ożywia naszą wyobraźnię, która błędząc w labiryncie niepewności, szuka kłębka. Wiadomym jest bowiem, że ten pokona strach i wyjdzie z labiryntu, kto znajdzie kłębek, a nie ten, kto stojąc u wrót, pociąga za sznurek. Na pocieszenie mogę dorzucić fakt, że nawet beton, do którego potrzebny jest cement – czyli strach – ulega upływowi czasu, krusząc.

Skoro czas płynie, cement wietrzeje, a my stajemy się coraz to odważniejsi, podobno, czy możemy powiedzieć, spoglądając w głąb siebie, że jesteśmy wolni?

Ze smutkiem muszę stwierdzić, iż nie jest to możliwe. Wyzwolenie, chwilowe, z pęt totalitaryzmu,

stalinizmu etc. tylko pozornie czyni nas wolnymi, gdyż zrzucając jedno pęta, wpłątujemy się w nowe. A może paradoksalnie nowe „-izmy”, które bardziej lub mniej świadomie przyjmujemy, czynią nas wolnymi?

W końcu przyszło nam żyć w globalnej wiosce. Są tacy, którzy twierdzą, że „Sen o zjednoczonej unii nie ma żadnych widoków na realizację; z twardych jajek nie robi się omletu”. Być może ów omlet nie jest smaczny, ale faktem jest, że stanowimy jego część.

Czy da się go zjeść bez obawy, że przyplącimy to bólem brzucha? Cóż, odpowiedzi mogą być dwie: optymistyczna lub pesymistyczna. Kiedy siadam do śniadania, jestem optymistką. Mam głowę wypełnioną pomysłami, co najważniejsze, wiem jak je zrealizować, bo dysponuję wyobraźnią i gruntowną wiedzą. Jestem więc osobą kreatywną. Nie odkryłam nic nowego. Wszak już Albert Einstein głosił: „Imagination is more important than knowledge” (wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy). Ja tylko pragnę dodać, że warunkiem koniecznym efektywnego korzystania z kreatywności jest WOLNOŚĆ.

Spoglądając na białą-czerwoną flagę i żółte gwiazdy na chabrowym tle, widzę bardzo optymistyczny obraz: morze czerwonych maków

i białych złocieni pod gwieździstym, chabrowym niebem. Właśnie. I nagle „pod” zdecydowało o tym, że po odejściu od stołu nie jestem już optymistką.

Jak widać, zwierzały jest cement, którego użyto do konstrukcji fundamentów, na których próbujemy budować wizję globalnego optymizmu i nasze naiwne *hine et nute* (tu i teraz) przypomina nam, że nie będzie żadnego potem. Jak więc zdobyć prawdziwą wolność, by wiedza i wyobrażenia mogły skutecznie integrować się, czyniąc nas kreatywnymi w działaniach podejmowanych z myślą o przyszłości?

Jak głosił Ciceron, „musimy być niewolnikami praw, abyśmy byli wolni”. Zatem nasz status jest niezmienny? Wciąż tkwimy w tej samej klatce? Zmieniają się tylko kolory farby, którą ją malujemy?

Warto by się nad tym zastanowić.

Zrobiło nam się chabrowo, choć nie na pszenicznych polach, o nie. Zrobiło nam się super! O TAK! Gdzie nie spojrzeć, wszędzie gwiazdy! Po prostu *super stars*! Mojemu dziadkowi aż kręci się w głowie. Dlatego nie wychodzi z domu. Bo i po co miałby wychodzić? W końcu pola nie musi uprawiać, bo wszystko może kupić w sklepie po drugiej stronie ulicy. I to wszystko jest najwyższej jakości! Do wychodka iść nie musi, bo ma w domu, ładny, wykafelkowany aż po sam sufit. Nie martwi się, że szambo wyleje zimową porą, bo mu rurę do kanalizacji podłączyli i jest już teraz zupełnie spokojny, bo to wszystko w oczyszczalni oczyszczą i woda w rzece nie będzie mętna. Wiadomo, ekologia! Szkoda tylko, że dziadek już się nie może tym cieszyć, bo na ryby nie jeździ od dawna.

Siedzi więc dziadek w kuchni za stołem przy zgaszonym świetle. Po cóż miałby palić światło? Lampa stercząca przy ulicy świeci prosto w okno. To wystarcza, żeby celować w przyciski na pilocie. Nie myślcie, że po to, aby oglądać migające obrazki. W końcu dziadka już nic nie jest w stanie zaskoczyć, nawet najlepsza krwawa sieczka, sypiąca się z każdego serwisu informacyjnego. Dziadek widział prawdziwą krew. Dziadek pamięta jej smak. Zatem po co mu pilot? Ot tak, dla zabicia czasu, którego zrobiło się zbyt dużo dla dziadka.

Ośrodek zdrowia zlikwidowali, ale wybudowali drogę, żeby mógł dziadek szybko dojechać do miasta, jeśli najdzie go ochota na wizytę u lekarza. Nie autobusem, o nie! Też zlikwidowali, bo teraz każdy ma samochód. No, dziadek nie ma, bo jemu po co? I tak by nim nie jeździł, bo dziadek całe życie na czołgu albo na komarku przejeździł. Dziadek był specjalistą od ciężkich maszyn. Gdy skończyły się czołgi, przesiadał się dziadek na młockarnię lub śrutownik. To były maszyny! Przynajmniej, jak taki czołg jechał, to było go słychać i wszyscy z drogi schodzili. No, ale teraz nikt nie musi schodzić z drogi, bo są nowiuteńkie chodniki. Nawet dla rowerów są chodniki.

Wróćmy jednak do dziadka.

Zatem siedzi sobie dziadek w kuchni przy stole i niby ogląda telewizję, przy zgaszonym świetle. Siedzi sam, bo babcia ma swój pokój i nowe łóżko, a i młodzi też mają swoje pokoje. Nie myślcie, że dziadek czuje się samotny. O nie! Wprawdzie dziadek SMS-ów nie pisze, gdyż nie dowidzi, ale w każdej chwili może zadzwonić. Wystarczy, że przycisnie jeden przycisk, góra dwa i już nie jest sam.

I co? Nie mówiłam? Wszystko jest *super*!

Nawet dziadkowi taką jedną *super star* dali ostatnio. Sprawdzili w urzędowych księgach, że dziadek z babcią przeżyli razem pięćdziesiąt lat. Teraz dziadek błyszczy. Szkoda tylko, że nie zauważyli dziadkowego serca, co zaczęło krwawić, gdy mu tę gwiazdę przypięli do piersi. Nie widzieli, bo dziadek potrafi ukrywać ból. Poza tym blask bijący od *super star* był oślepiający. Nawet gdyby przyćmić ów blask, to i tak nikt by nie zauważył, że dziadek cierpi. Jakże można byłoby się zorientować, która zmarszczka na dziadkowej twarzy jest tą od bólu serca?

Poza tym dziadek jest po drugiej stronie gwiazdy, czyli w ciemności, więc widzi dobrze, jak te uszmkowane panie i ci podkrawatowani panowie mrużą oczy od blasku bijącego od dziadkowej gwiazdy. Po chwili sami są lśniącymi *super stars*. Migocą, iskrzą, wybuchają światłem i oślepieni wpadają na siebie przypadkiem, depcząc sobie po wypastowanych butach. A kiedy blask

gwiazd osłabnie i wzrok przyzwyczai się do półmroku, przecierają nabrzmiałe powieki, spostrzegając siedzącego w kącie dziadka.

Być może nawet zawstydzą się przez krótką chwilę na myśl, że tylko dziadek ocalał z pożogi i nie stał się gwiazdny pyłem.

Zbyt krótka to była chwila.

I ja czuję się często zawstydzona, gdy widzę autografy „ważnych” tego świata złożone na stronicach opasłych tomów, na których migocą *super stars* na chabrowym tle, bo dopada mnie wtedy strach. I wyznam, że nie jest to strach mający moc cementowania społeczeństw. Ten strach powoduje, że czuję się wyalienowana. I nie byłoby to aż tak bardzo przerażające, gdyby okazało się, że jestem jako ta gwiazda północna, która dla zagubionych, wątpiących jest właściwym punktem odniesienia. Ale tak nie jest. Wznoszę wtedy w górę wzrok i podążając za Emanuelem Kantem, powtarzam w myślach „niebo gwiazdziste nade mną i prawo moralne we mnie”, ale czy w was?

Cóż... Przyjechał dziadek do domu i zamknął w drewnianym pudełku kolejną gwiazdę.

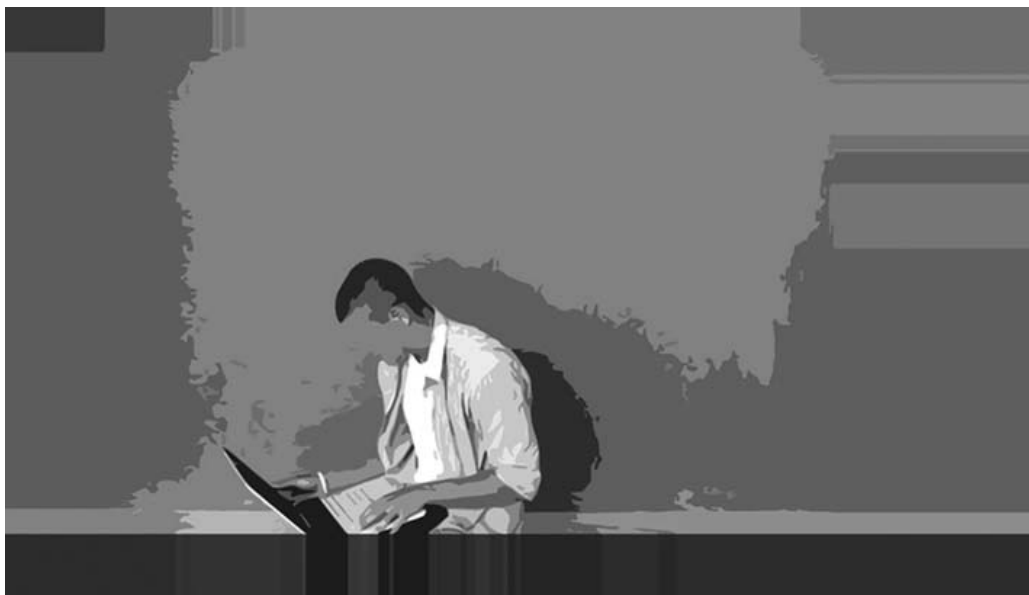
I znów zrobiło się jakoś ciemniej. I trochę mniej bolało. A i wzrok mniej się męczył. Nikt nie wie, że dziadkowe gwiazdy, ukryte w drewnianym pudełku, mogłyby rozświetlić najciemniejszą noc. Tylko po co? Wszak przydrożne lampy przyćmiewają nawet te gwiazdy, które migotają na firmamencie.

Dlatego dziadek jest taki smutny, gdyż wie, że nasze pokolenie pozbawione jest marzeń. Bo jak tu wypowiadać życzenia, gdy nie sposób dojrzeć spadających nocą gwiazd. Wszyscy myślą, że gwiazdy spadają na ziemię. Chodzą więc ze spuszczonej głowami, by je odnaleźć. I nikt już nie chce słuchać dziadka, choć tylko on wie, że trzeba by zgasić wszystkie światła i cierpliwie czekać z uniesionym w górę wzrokiem, aby zobaczyć swoje marzenia.

Ja je widzę w dziadkowych oczach, którymi patrzy we mnie, gdy go odwiedzam.

„Wszystko się zmienia”, powiedział niegdyś Heraklit z Efezu, nie zawsze na lepsze – dodaję ja – „za wyjątkiem samego prawa zmiany”.

Dziękuję za to, że dziadek jest jak prawo zmiany – niezmienny. Też taka pragnę być, choć bardzo lubię kolor chabrowy.



Erotyk jesienny

Włożył powierzchnię
dwanaście cali
w przestrzeń niemego świata

Wzdychał gruźlicą
po słońcu wrześniowym
– uleczyć je
z wrzących promieni

Ślizgał jęzorem
po lodzie nabrzmiętym
– rozedrzeć go
w suche kry

zwymiotował lepkością
łapkami kocimi
i zasnął we mnie

Obraz Muncha

Krzyk rozdziawia swe wary
W rozplanowaniu ukochanych
Na uboższych i bogatszych
O sens znaczenia

I rozplakał się Krzyk
Nad niesprawiedliwością osądu
Myśli o samobójstwie
W imię Ciszy

Krzyk się jednak nie pociął
Nie skoczył z dachu
Jak myślą potomni

Usiadł w kącie
Nie myśli o końcu
Wypalił się z resztek dobroci

Zostawił artystów i ludzi
Im samym

Przyznawanie się do swoich korzeni już nie wymaga szczególnej odwagi



z archiwum B. Tarasiewicz

Z Bogumiłą Tarasiewicz, śpiewaczką, muzykologiem, nauczycielem akademickim, autorką podręczników akademickich i monografii, realizatorką płyt m.in. z pieśniami łemkowskimi, dyrektorem i szefem artystycznym Lubuskiego Biura Koncertowego, rozmawia Elżbieta Wozowczyk-Leszko.

– Zainteresowanie kulturą i muzyką Łemków jest nieprzypadkowe?

– Tak, nie jest przypadkowe, gdyż to moja tradycja i moja muzyka. Jestem Łemkinią i czuję, że powinnam wnieść wkład w utrwalenie łemkowskiej kultury. To szczególnie ważne, gdyż jestem w mniejszości. Potrzeba ocalenia własnej kultury, a także pokazania jej innym, jest celem moich naukowych i muzycznych działań.

– To są niewątpliwie ciekawe działania. Urodziła się Pani w Legnicy jako kolejne pokolenie przesiedlonych Łemków.

– Łemkowie w 1947 roku, w wyniku akcji „Wisła”, zostali przesiedleni m.in. na tereny Polski Zachodniej, czyli na tzw. Ziemię Odzyskaną. Teraz mieszkają tu wraz ze swymi dziećmi i wnukami. Ja jestem pokoleniem Łemków, którzy urodzili się w diasporze.

– Był taki czas, że Łemkowie nie przyznawali się do tego, kim są?

– Był to mroczny okres... Dotyczył zresztą nie tylko Łemków, ale także innych mniejszości etnicznych czy narodowych. To były czasy, kiedy

głoszono, iż Polska to kraj jednonarodowy i konsekwentnie prowadzono działania, by takie państwo stworzyć. Nie było tam miejsca na etniczną czy narodową odmienność. Dzisiaj żyjemy w zupełnie innej rzeczywistości. To, co lokalne, to, co własne i odmienne, stanowi wyjątkową wartość, jest interesujące. Dlatego też wielu ludzi, którzy nie przyznawali się do swoich korzeni, obecnie mówi o swej odrębności otwarcie. Dotyczy to nie tylko Łemków, ale też Romów, Żydów, Białorusinów, Ukraińców, Niemców. Przyznawanie się do swoich korzeni nie wymaga już dzisiaj szczególnej odwagi. Ale jeszcze kilkanaście lat temu rzeczywiście wymagało jej sporo.

– Czy Pani poszukiwania polegały na wędrowaniu od wsi do wsi, pukaniu do domów i skrzętnym zapisywaniu wspomnień najstarszych mieszkańców? Także tych wspomnień muzycznych?

– Przygodę z badaniami nad muzyką Łemków rozpocząłam jeszcze w czasie studiów etnomuzykologicznych na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Mieszkłam wówczas w małej wsi koło Legnicy. W niedalekiej odległości, w okolicach

Bolesławca były trzy, wyjątkowe z perspektywy badacza, miejscowości: Gromadka, Modła i Patoka. To bardzo blisko siebie położone wsie, w których – o dziwo – mieszka bardzo wielu łemków, w latach 80. stanowili w tych wsiach zdecydowaną większość. Mówię „o dziwo” dlatego, że plany z 1947 roku były zupełnie inne. Zakładały, by ludność łemkowską maksymalnie rozproszyć – pozwalano lokować jedną, no może dwie rodziny łemkowskie we wsi. A tam nawet siedemdziesiąt procent mieszkańców stanowili Łemkowie. To spowodowało kultywowanie tradycji w sposób prawie niezakłócony. Z perspektywy naukowca był to bardzo dobry obszar do badań. Niewiele jest takich terenów, gdzie można było badać kulturę, licząc, że jest ona przeniesieniem tradycji, która niegdyś funkcjonowała na zupełnie innym obszarze. No i to spowodowało, że spędzałam tam bardzo wiele czasu wśród szalenie miłych osób. Działo się to w latach 80., kiedy nie było jeszcze wielu odważnych, mówiących o swoich korzeniach. Stąd w rodzinach łemkowskich przyjmowano mnie naprawdę entuzjastycznie. Nie było problemu bariery językowej czy kulturowej, nie traktowano mnie jako obcego, rozmawiano ze mną jak ze swoim, bez obaw i lęków. Ufano mi. A ja grzebałam w ludzkiej pamięci. Moi informatorzy niewiele pamiętali. Dopiero przeglądanie starych fotografii, przypominanie sobie, jak to było kiedyś, uruchamiało pamięć. W konsekwencji tych penetracji zdobyłam bardzo szeroki materiał etnograficzny. Zarejestrowałam też wiele godzin muzyki – śpiewu i muzyki instrumentalnej.

– Ale te pieśni mają na mój niewykształcony słuch brzmienie klasyczne.

– Rozumiem, że pyta Pani o pieśni pochodzące z nagranej przeze mnie płyty *Pid obłaczkom jawir pochyleny*. Ale to nie jest ludowy autentyk, to moja artystyczna propozycja inspirowana muzyką tradycyjną. Zastanawiałam się, czy można, a dokładniej: czy powinnam, dokonać takiej transformacji. W swoim wykonaniu starałam się pozostać jak najbardziej wierna autentycznemu wzorcowi. Zachowywałam elementy, które były typowe dla

tej muzyki – harmonię, klimat, pewne maniere wykonawcze. Na to nałożyłam własne artystyczne doświadczenie i nieco inny język muzyczny. I tak powstała moja autorska propozycja.

– Tę płytę przygotowała Pani wraz z pianistą Julianem Tatarynowiczem. Na antenach radiowych niewiele jest artystycznego, pięknego śpiewu.

– Cóż, dzisiaj otacza nas muzyka w innym rodzaju. Myślę o kulturze popularnej, masowej, gdzie głos jest traktowany, ogólnie mówiąc, w bardzo swobodny sposób.

– „Nic co muzyczne, nie jest nam obce” – to hasło Lubuskiego Biura Koncertowego, którego jest Pani założycielką. Czy propozycje, jakie oferuje Biuro, cieszą się zainteresowaniem?

– Tak, pokazujemy bardzo różną stylistycznie muzykę. Nie ograniczamy się wyłącznie do klasyki. Prezentujemy także jazz, muzykę filmową, klasykę rozrywki, sięgamy do muzyki ludowej traktowanej bardzo szeroko. Będzie to i flamenco, i muzyka peruwiańska, i indyjska, i muzyka góralska, i łemkowska, i lubuska, i wielkopolska. Choć muzyka ma różne oblicza, łączy ją jedno – zawsze wykonujemy ją „na żywo”. To jest domeną naszych działań. Nie muzyka z nośników, nie sztuczna – ale żywa muzyka, bo tak naprawdę to ona funkcjonowała przez tysiące lat. Zaledwie kilkadziesiąt lat mamy możliwość słuchania muzyki wcześniej rejestrowanej.

– Mówiąc o „naszych działaniach artystycznych”, ma Pani na myśli zespół Quodlibet Orchestra?

– Z moim biurem współpracuje wiele zespołów i wielu muzyków. Ale zespół Quodlibet Orchestra to jakby zespół flagowy, jest z Lubuskim Biurem Koncertowym od samego początku. Jest nas siódemka, sześciu wspaniałych muzyków i jedna solistka, czyli ja. Gramy muzykę, która zawiera się w samej nazwie zespołu – „quodlibet” – oznacza: „co kto lubi, co się komu podoba”. Gramy

muzykę, która powinna dotrzeć do różnych, oczywiście wrażliwych muzycznie dusz, a więc jest tam i klasyka, i musical, i muzyka filmowa, wszystko przygotowane na taki właśnie kameralny skład.

– Wykonuje Pani repertuar oratoryjno-kantatowy, pieśni, partie solowe, jest kameralistyką. To bardzo szerokie zainteresowania.

– Rzeczywiście pasjonuję się muzyką, a ta ma bardzo różne oblicza. Z wyboru nie zostałam śpiewaczką operową. Nigdy moim marzeniem nie był teatr muzyczny, opera. Pociągało mnie bardziej niesceniczne śpiewanie estradowe. Tutaj form i gatunków, które można uprawiać, jest bardzo wiele, chociaż to, co zależy tylko ode mnie, to formy mniejsze, przede wszystkim pieśni, które najczęściej są wykonywane z fortepianem. Natomiast partie oratoryjne, kantatowe pociągają za sobą konieczność udziału dużych zespołów wykonawczych i najczęściej jestem wówczas zapraszana do takich projektów. Współpracuję dosyć aktywnie ze środowiskiem zielonogórskim, z Uniwersytetem Zielonogórskim, w którym jestem zatrudniona, także z zielonogórskimi chórami, z którymi takie właśnie produkcje przygotowujemy.

– Jak odbierają tę „wysoką” muzykę słuchacze, nie zawsze przecież należący do grona wytrawnych melomanów?

– Mam satysfakcję, że publiczność, która przychodzi na moje koncerty, jest zadowolona i po reakcjach słuchaczy widzę, że cieszą się albo smucą w zależności od tego, jakie jest przesłanie muzyki. I takie żywe reakcje słuchaczy stanowią największą radość dla wykonawcy. Koncertowałam niegdyś w szkole ponadgimnazjalnej, słuchaczami byli chłopcy z zespołu szkół zawodowych. Kiedy usłyszeli pierwsze dźwięki pieśni Fryderyka Chopina, zaczęli się gremialnie śmiać. Reakcja była tak zaskakująca, że w pierwszym momencie przemknęła mi myśl, czy aby nie spadła mi spódnica. Ale dosyć szybko uświadomiłam sobie, że ci młodzi ludzie nigdy wcześniej nie słyszeli na żywo głosu innego od idoli z ich

zespołów. Po zakończeniu pieśni porozmawiałam z publicznością i okazało się, że dla nich było to coś tak niesamowitego, że wywołało salwę śmiechu. Pozwoliłam sobie upublicznić ten fakt, żeby pokazać, jaka jest ogólna kultura muzyczna wśród wielu młodych ludzi. Muzyka, której słuchają, tak bardzo zniewala wyobraźnię muzyczną, że w zetknięciu z innym dźwiękiem nie potrafią powstrzymać swoich emocji.

– W tym kontekście bardzo zasadne było przygotowanie i wydanie płyty *Pieśni dla dzieci Witolda Lutosławskiego*.

– Witold Lutosławski skomponował kilkadziesiąt pieśni do słów różnych polskich poetów. Pisane były z myślą o dzieciach, ale chętnie słuchają ich także dorośli. Są to znane piosenki *Idzie Grześ przez wieś, Pióreczko, O panu Tralalińskim czy Spóźniony słowik*. Rzadko uświadamiamy sobie, że ich twórcą jest wybitny polski kompozytor. To wyrafinowana muzyka, ale bardzo dobrze odbierana przez dzieci. Czasami dorośli zakładają, że dzieci nie będą chciały takiej muzyki słuchać. A dzieci, które nie są jeszcze muzycznie ukonstytuowane, chętnie słuchają tej muzyki i odbierają z dużym zainteresowaniem.

Myślę, że podobnie jest z teatrem, chodzeniem na koncerty lub czytaniem książek. Dorośli często uważają, że trzylatek jeszcze nie zrozumie przedstawienia kukielkowego, koncert w filharmonii jest nudny, książki są drogie. Jak w takich warunkach kształtować świadomych odbiorców sztuki?

Dorośli narzucają dzieciom swoje myślenie, uznając, że jeżeli oni czegoś nie akceptują, dziecko będzie odczuwać podobnie. A dziecko jest otwarte na różne rodzaje muzyki. Byłam zaskoczona, gdy maluchy z ogromnym zaciekawieniem słuchały awangardowej muzyki współczesnej. Muzyki, na którą większość dorosłych reaguje w wiadomy sposób – najchętniej przełącza stację radiową.

– Zachęcamy rodziców, aby sięgali do klasyki muzyki polskiej, do pieśni polskich, by

dobłą muzyką kształtowali gust muzyczny najmłodszych.

– Wielu tak czyni i wiem, że poszukują takich nagrań. Także wielu nauczycieli dba o estetyczne kształcenie młodych istot.

– Ma Pani w repertuarze utwory muzyki dawnej. Czy do ich wykonywania trzeba mieć specjalne umiejętności, które można zdobyć na kursach interpretacji?

– Podejście do muzyki dawnej ma swoje tradycje. Wykonywanie takiej muzyki wymaga podjęcia konkretnych studiów. Musimy dowiedzieć się o odległych historycznie czasach, o panującej wówczas w muzyce estetyce, poznać manieri wykonawcze, posiadać wiedzę o traktowaniu głosu czy instrumentu. W Europie jest bardzo wiele ośrodków, gdzie taką wiedzę można posiadać.

– Pani musiała wyjechać po tę wiedzę aż do Genewy?

– Chciałam wyjechać! Tuż po studiach. To była wspaniała przygoda. Zetknęłam się z zupełnie innym podejściem do muzyki z dawnych wieków.

– Skoro zbliżyliśmy się do czasów studenckich. Pamięta Pani „Orle Gniazdo”?

– Tak, oczywiście. Studenci zawsze podejmowali działania, dzięki którym mogli uzupełnić swój studencki budżet. Zostałam muzycznym instruktorem dziecięcego zespołu w jednym z poznańskich domów kultury. Uczyłam wówczas dzieci tzw. normalnych piosenek.

– A pamięta Pani 1989 rok, kiedy z poznańskim chórem kameralnym Collegium Cantorum wystąpiła Pani na Turnieju Chórów „Legnica Cantat”?

– To bardzo prestiżowy turniej, odbywający się do dziś. Otrzymaliśmy wtedy jedną z głównych nagród. Chór prowadziła wspaniała poznańska dyrygentka – pani Małgorzata Kwaśnik-Chmielewska.

– Kilka słów musimy poświęcić pieśniom Stanisława Niewiadomskiego.

– To kompozytor przełomu XIX i XX wieku. Wraz z pianistą Karolem Schmidtem nagrałam jego pieśni z cyklu *Jaśkowa dola*. Większość pieśni Niewiadomskiego powstało w duchu Polski zniewolonej, w duchu twórczości Stanisława Moniuszki. To pieśni tworzone w dużym stopniu ku pokrzepieniu serc. Była to niegdyś muzyka niezwykle popularna, wiele z pieśni Stanisława Niewiadomskiego śpiewano w polskich domach. Jednak przez wiele lat jego twórczość była zapomniana, dzisiaj podejmowane są działania, żeby przywrócić to dziedzictwo. A był to kompozytor niezwykle ciekawy, oprócz pieśni artystycznych tworzył opracowania pieśni popularnych, np. *Siedzi sobie zając pod miedzą czy Pojedziemy na łów*. Myślę, że te pieśni też warto przypomnieć i przedstawienia słuchaczom, szczególnie tym młodym, którzy tej muzyki często nie znają.

– Warto przywołać jeszcze Stanisława Moniuszkę, Mieczysława Karłowicza, Fryderyka Chopina. Pieśni tych twórców również nie są Pani obce.

– Mam nadzieję, że również nie są obce coraz większej liczbie słuchaczy. To perełki polskiej muzyki wokalne.

– Wykonuje Pani również repertuar musicalowy.

– To jest moja kolejna pasja. Szczególnie George Gershwin, wybitny kompozytor amerykański, postać niezwykle barwna: wrażliwy chłopiec, który robi karierę w iście amerykańskim stylu i który pozostawia wspaniałą muzykę. Dziś w wersjach oryginalnych niestety mniej znaną niż w wersjach jazzowych. Gershwin stał się kompozytorem, którego tematy często funkcjonują jako standardy muzyki jazzowej. A mnie pociąga Gershwin pierwotny, piszący dla amerykańskiej rewii. Nie arie, nie pieśni, coś pomiędzy tymi formami.

– Napisała Pani książkę *Mówię i śpiewam świadomie*. Jest to podręcznik z zakresu emisji i higieny głosu. Mogą z niej skorzystać nie tylko śpiewacy?

– Podręcznik adresowany jest zarówno do śpiewaków, jak i do mówców, do wszystkich, dla których głos jest narzędziem pracy. Czy w mowie, czy w śpiewie, często popełniamy te same elementarne błędy, powodujące nadwężanie narządu głosu. To z czasem powoduje, że głos staje się zmęczony, pojawia się chrypka, niewydolność głosu i zaczynają się problemy. W książce zwracam uwagę czytelnika na proste czynności, staram się przebudować jego świadomość w podejściu do głosu po to, by jak najlepiej radził sobie z głosem.

– Lubuskie Biuro Koncertowe nie tylko zaprasza na wspaniałe koncerty, ale również prowadzi działalność edukacyjną. Jak przyjmowane są Państwa propozycje w szkołach, przedszkolach, w innych miejscach?

– Realizujemy koncerty edukacyjne w ponad czterystu placówkach. Co miesiąc muzycy, z którymi współpracuję, odwiedzają przedszkola, szkoły podstawowe, gimnazja i szkoły ponadgimnazjalne, domy kultury, warsztaty terapii zajęciowej oraz Uniwersytety Trzeciego Wieku. Ogromnie nas cieszy, że z roku na rok wzrasta zainteresowanie naszymi koncertami. W nadchodzącym sezonie artystycznym zamierzamy zrealizować blisko 3 500 takich spotkań. Podkreślę, że na naszych koncertach nie ma muzyki tzw. komercyjnej. Okazuje się, że dla młodych ludzi muzyka Mozarta, Bacha, Beethovena i wielu innych może być interesująca. Wszystko zależy od tego, co wybierze się z ich twórczości i w jaki sposób się ją przedstawi. Jest dla mnie wielką satysfakcją, gdy po koncercie podchodzi młoda osoba i mówi, że nigdy nie sądziła, że Chopin może być tak bardzo ciekawy. Naszymi sprzymierzeńcami stają się dyrektorzy szkół i nauczyciele. To oni częstokroć przekonują rodziców o potrzebie takich działań. Rodzice czasami (pewnie przez pryzmat własnych muzycznych doświadczeń) obawiają się, że ich dzieci podczas koncertu będą się nudzić, że nie zainteresują się klasyką. Nigdy nie było tak, że wysoka muzyka interesowała sto procent społeczeństwa, ważnym

jest jednak, żeby młody człowiek mógł świadomie wybierać, żeby podczas szkolnej edukacji zetknął się z taką sztuką. Gdy takiej artystycznej inicjacji nie przeszedł, często w dorosłym wieku ma blokadę. Obawia się pójść do opery, filharmonii. Ktoś, kto nigdy nie był w operze, ma duży dyskomfort. Zachowanie się w tego rodzaju instytucjach to pewnego rodzaju konwencja. Trzeba się w niej odnaleźć. Jest to cudowny świat, ale wymaga on bycia odświeżonym. Nie tylko artysta przez szacunek do słuchacza ubiera się odświeżenie, ale także słuchacz przez szacunek do muzyki, którą artysta wykonuje, przychodzi ubrany inaczej. Tego też uczymy naszych młodych słuchaczy.

Do odbioru sztuki trzeba się przygotować. Nie można wybrać się na zbyt trudną operę, jeżeli na przykład nigdy wcześniej nie poznało się klasycznych tytułów. Jak we wszystkim trzeba mieć mistrza, który poprowadzi i dobrze, żeby to działało się na poziomie szkoły.

– Powrócę do wątku łemkowskiego i do pytania, jakie zadała Pani rozmówcom, zbierając materiały do swojej pracy: „dlaczego śpiewają te pieśni, dlaczego je tworzą”. Odpowiedzieli: „żeby było kraszsze”.

– Tak, żeby było piękniej. Dokładniej zapytałam, dlaczego za każdym razem te same pieśni śpiewają inaczej. Istotą muzyki tradycyjnej jest to, że jest to muzyka nie zapisana, lecz przekazywana na zasadzie ustno-słuchowej z pokolenia na pokolenie. W związku z tym poszczególne wykonania pieśni mogą nieznacznie się różnić. Jednak dla wielu ludowych artystów ta różnorodność nie jest sprawą przypadku. Wielu upiększa swe wykonania, zmienia je, bo świadomie zakłada, że dzięki temu jest ciekawiej, piękniej, że jest „kraszsze”. Od zawsze muzyka była językiem duszy, językiem wnętrza, językiem bardzo dobrze rozumianym, gdyż – bez względu na to, gdzie jesteśmy na świecie – przemawia do nas w taki sam sposób.

– Dziękuję za rozmowę.

Chorzy na raka

Dziadek leżał zwinięty jak embrion na wiecznie posłanej kanapie. Nad nim Matka Boska bezsilnie rozkładała ręce, a Chrystus patrzył z politowaniem. Ona ofiarowała mu śnieżnobiałą lilię, a On rozpromienione serce. Dziadek nie potrzebował już kwiatów ani otwartych serc. Był ciągle pijany od kroplówek. Pragnął... – nie wiem czego mógł pragnąć. Mogę tylko snuć przypuszczenia, że więcej morfiny. Dziadek wiedział, że tym razem nie pokona raka siłą woli. Nawet nie próbował. Jedną wojnę już wygrał, i co? Włosy mu odrosły, ale pozostał smutek. Smutek wszechobecny zawieszony w metalicznym, rozgrzanym i przesiąkniętym duszącym fetorem moczu powietrzu. Nieruchomy punkt, na który patrzyłam, lekko się poruszył. Dał się słyszeć tępy, krótkotrwały jęk. Wtedy zapłakałam.

Wpatrzona w jałowe oczy dziadka spowite mgłą bielma, myślałam: „oto jestem świadkiem agonii pięknych idei” i czułam się zupełnie bezsilna wobec nienamacalnej potęgi zwiastującej ich niechybną zagładę.

Nie byłam pewna, czy idee odchodzą wraz z ludźmi, czy pozostają, by oczekiwać na spełnienie? Patrząc na cierpienie dziadka, traciłam wiarę w człowieczeństwo, w jego sens. Czułam, jak ulatuje ze mnie siła, która niegdyś pozwalała mi wierzyć w twórczą moc istnienia. Oto na moich oczach dokonywał się akt składania życia najwyższej ofiary. I choć to ofiara całopalna, skrzydła Feniksa nie zmieniły barwy. Płomień objął

i je. To znak, że Feniks nie odrodzi się na nowo. Miłosierna i okrutna zarazem Matka Ziemia stała już u drzwi gotowa upomnieć się o każde ziarno prochu, z którego przed siedemdziesięcioma trzema laty zostało wskrzeszone to rozpadające się na atomy ciało. Ona nam daje, Ona odbiera. Potrzebuje nawozu, by stwarzać nowe życia. Co się stanie z ideami? Jeśli idee mieszkają w ciele, staną się cząsteczkami nowej materii. Jeśli ich domem jest dusza... Cóż, wówczas można by mieć nadzieję, że wraz z nowym strumieniem energii zasiedlą jakieś ciało, które właśnie wzrasta w ciepłym i wilgotnym wnętrzu matczynej łona. Ta myśl to mój daimonion. Tej myśli będę się trzymała. Może właśnie na tym polega nieśmiertelność? Wieczna wędrówka idei w eterze. Właściwie zastanawiam się, dlaczego naukowcy nie pracują nad wynalezieniem szczepionki przeciwko ideom, przynajmniej tym najbardziej szkodliwym. Może myślą, że są bardziej efemeryczne niż wirusy czy bakterie? Nie sposób ich spreparować. Tymczasem one spokojnie sobie mutują i wywołują śmiertelne choroby na masową skalę. Infekują ludzkie umysły i wyzwalając zabójcze toksyny, sieją spustoszenie w organizmie. To łatwo dostępna broń masowego rażenia. Nosiciela uodpornia na cierpienie, a dzieciątku nieświadome miliony istnień ludzkich, z których najpierw wysysa wolę życia.

Dziadek miał zaledwie szesnaście lat i wielką wolę życia, gdy zmuszony obowiązkami wobec

Ojczyzny, opuścił dom rodzinny. Piękne, zielone lasy nad Seretem, jesienią pachnące poziomkami, rankiem spowite mgłą, przepełnione szumem strumieni i śpiewem zawsze radosnych ptaków, w południe igrające rozproszonymi promieniami życiodajnego światła, o zmroku tajemniczo pोकukujące, aż z zachwytu drętwiała skóra. Ojciec i matka mu błogosławili, siostry i mały braciszek płakali. Żal, rozdzierający serce jak radło brunatną poław ziemi na przednówku, żal odczuwał dziadek, gdy przywdzawszy mundur, wyruszył w nieznany mu świat z karabinem i z duszą na ramieniu. Mimo strachu, mimo tęsknoty za rodziną przedzierał się przez front. Oszołomiony wrzawą wojennej zawieruchy strzelał do wroga. Wróg – człowiek, czyli kto? To nie tak miało być. To ziemię mieliśmy sobie czynić poddaną, nie ludzi. Strzelał, ale nie do ludzi. Strzelał do kul, żeby zmienić ich tor, żeby przetrwać, żeby żyć. Co znaczy „żyć”? Oddychać? Słyszeć w skroniach pulsującą krew? Czuć strach, bo się narobiło ze strachu? Dlaczego tak bardzo chcemy żyć? Przecież życie boli. Bolały odmrożenia i pęcherze, które smarował psim tłuszczem. A w trzecim roku wojny o psi tłuszcz było trudno, bo i psy ginęły na wojnie. Ludzie głodowali. W ostateczności zjadali swych odwiecznych przyjaciół, bo to była przyjaźń na śmierć i życie. Bolały kolana i łokcie gnijące od wiecznie ropiejących ran. Bolały poczerwiałe zęby wypadające z braku jedzenia. Bolało całe ciało, drażyła je najbardziej złośliwa odmiana raka – wojna. Idea wywołująca tę śmiertelną chorobę jest wszechobecna. Wsłizguje się do ludzkich umysłów, penetruje labirynt szarej substancji i czeka. Jeśli umysł w krótkim czasie jej ulegnie, zadawania się w nim na dobre i złe. Bywa, że poszukiwania są długotrwałe, co osłabia chorobotwórczą ideę. Kiedy jednak trafi na umysł wizjonera-zboczeńca lub wizjonera-szałęńca, przenika do jego krwiobiegu, nim biedak zdąży się zorientować, że jest nosicielem obcego. Ten nowotwór szybko się rozrastał. Pożywki mu nie mogło zabraknąć. Krew lała się strumieniami z pulsujących jeszcze poszarpanych tętnic. Ale to nie krwią żywił się rak. On karmił swoje tkanki ludzką wolą życia. Walka to była okrutna, bo ludzie

zażarcie bronili pragnienie istnienia. W końcu tylko to ich trzymało przy życiu. Dziadek też dzielnie stawiał opór. Wielu zabrakło determinacji, bo cierpienie stało się źródłem obłędu. Ludzie nauczyli się znosić ból fizyczny, ale nikt nie chciał być wariatem. Z dwojga złego lepsza była śmierć. Wkrótce między Wisłą a Bugiem uformował się mięsisty odwłok, przygniatając swym ciężarem trzewia i serce. Obosieczne szczypce siekały to, co jeszcze drgało w agonii na wschodzie i na zachodzie. Dziadek wiedział, że nie pomoże tu żadna chemioterapia. Jedyna nadzieja to walka siłą woli. Więc dziadek walczył. Jego wynędzniałe ciało wciąż stawiało opór. Najbardziej uciążliwy był ból duszy, gdy leżał wśród ludzkich zwłok zapomniany przez swoich i wroga. Przytulał ją wtedy resztkami sił do wystających spod bladej skóry żeber. Potem z pomocą Bożą (jak sądzę), czy za sprawą resztek dumy, z powodu błahego, że wciąż czuł się człowiekiem, bo tęsknił i płakał, spoglądając na jedyną fotografię matki, ojca, sióstr i brata ukrywaną w podszewce wojskowego płaszcza, wydostał się z niezasypanego grobu, by zostać dowódcą czołgu.

Dziadek – młynarz, który miłował ziemię jak swą rodzoną matkę, bo ona go karmiła złotym ziarnem, teraz musiał mieć wszystko, co stało na drodze przed jego czołgiem. Z tą tylko różnicą, że z tego, co zmielił, chleba upiec się nie dało.

Mijały lata, a on obwiązywał szmatami kolejne rany. Nie jadł już słoniny, bo nie było. Teraz została tylko lebioda, ale to wiosną i latem. Zimą musiał się zadowolić psim tłuszczem. Pęcherzy nie leczył, bo nie mógł zdjąć butów, które stały się nierozłączną częścią jego sponiewieranego, wyżartego przez raka ciała. Mimo wszystko nie żalił się nikomu. Zaciskał zęby, te które jeszcze jakimś cudem tkwiły w opuchniętych dziąsłach, nie żeby nie czuć bólu, bo ból był nawet pożądany, bo ból był świadectwem życia, ale po to, by zdławić eskalację cierpienia. Zaciskał zęby, żeby powstrzymać łzy, a to było trudniejsze, bo skąd czerpać siły, by nie runęła tama na rzece, w której woda czerwieńsza była niż krew.

W końcu nadszedł czas, kiedy dziadek mógł zdjąć buty. Kładł się wtedy na pachnącej żywicy

ściółce i patrząc na gwiazdy, pieczołowicie je liczył, jakby chciał sprawdzić, czy choć one są jeszcze poukładane według dawnego porządku, bo pośród okaleczonych drzew i ludzkich kikutów nic już nie było takie jak dawniej. Im dłużej rachował, tym większej doznawał ulgi, utwierdzając się w przeświadczeniu, że znany mu kawałek wszechświata trwa w nienaruszonym łańdźie. W razie czego będzie można z grafitowej mapy nieba odczytać wzory i przywrócić na ziemi dawny mores. Dziadek znał tę oczywistą prawdę, że dobry Bóg, w swej przeczorności, zaszyfrował całą mądrość świata tam, gdzie żadna ludzka ręka, choćby najpotężniejsza, nie dosięgnie. Tylko ten skorzysta z zapisanej w gwiazdach mądrości, kto unosi głowę ponad chmury. Leżał dziadek na rozgrzanym igliwiu, licząc gwiazdozbiory, a pęcherze na stopach się goiły. Zbliżniły się rany, ale tylko te widoczne dla oczu. Te w sercu i w umyśle zmieniły dziadka na zawsze. Pokonał dziadek raka, ale nie pokonał o nim pamięci. Zbyt wiele mu o nim przypominało. Wyjąłowane wnętrzości miast, spopielate wulkany wsi, tysiny pól i łąk, sine plamy po bolesnych naktuciach, brunatne plamy na skórze, plamy na honorze i milczenie, wszechobecne milczenie świata, w którym najcichszy nawet zgrzyt przyprawiał o skurcz mięśni. Najgorszy jednak był smutek. Smutku nie sposób było usunąć. Został siłą, wbrew woli, wtłoczony do krwiobiegu podczas transfuzji. Na wojnie nikt nie myślał, aby

sprawdzać krew wykrywaczem smutku. Dlatego dziadek został naznaczony, a jego brzemię dźwigać muszą jego dzieci i wnuki. Ja też jestem zapłodniona smutkiem. Chociaż wojna się skończyła, dziadek wciąż toczył walkę. Nie mógł się przyjąć na nowej ziemi. Ten przeszczep, choć przedłużył mu życie, uczynił z niego udrękę. Czasem siadał dziadek na tapczanie, na stole stawiał butelkę wódki i uśmierzał ból. Kiedy przekraczał półmetek, zaczynał śpiewać hymny na cześć swojego żalu, ku pokrzepieniu serca. Zaczynał smętną skargą na molową tonację... *nie wolno nam papierosów palić, nie wolno nam gorzałki pić...* Później następowała milcząca refleksja i atak... *my pierwsza brygada, strzelecka gromada, na bój ruszyliśmy, na życia bój, na bój, na bój!!!* Po ataku dziadkowi zasychało w gardle, więc wypijał kolejny kieliszek wódki, a po nim zwykle następowało przenikające atmosferę wzruszenie. Przerywanym głosem, raniąc dźwiękami jak serią z karabinu, toczył rzewną melodię... *rozszumiały się wierzby... płaczące, ...rozpłakała się... dziewczyna w głos... ...nie szumcie wierzby nam, z żalu... aż... serce... rwie...* Potem już tylko płakał.

Nie rozumiałam wówczas tego dziadkowego rytuału. Bo jakże można zrozumieć takie cierpienie? Tu rozum był bezsilny. Z takim smutkiem nie dało się walczyć. Jedyne co można było zrobić, to w nim współuczestniczyć.



Elegia na odejście, sierpniowa

pamięci Matki

I. 9 SIERPNIA 2011

9 sierpnia 2011 wtorek
Siedemnasta pięćdziesiąt
Uwolniłaś duszę od swego ciała

Pięć godzin wcześniej
Na twoim czole złożyłem
Pocałunek jak nigdy dotąd pełen
Metafizyki

Twój wnuk był mi świadkiem

I chociaż nikt
Nie zna dnia ni godziny
Jednak ta godzina i
Ten dzień nigdy
Już się nie
Odstanie

II. JAK NIGDY DOTĄD

Jak nigdy dotąd też
Miało się pod wieczór
Kiedy mama umarła należy więc przeżyć
I taki dzień wszystko bowiem
Wokół jeszcze sierpieje

III. MIŁOSIERDZIE

Sierpień i jego przeistoczenia:
Wykłoszony już doszczętnie snop żywota
Sposobi się pod zbożne wieko
Nieboskłonu. Bogu dzięki,
Że rozpogodzone mimo
Rodzimych burz

IV. BOSKI DOBROBYT

Jest nam ubogo podczas tych żniw
Mimo że rok ów nie obiecywał nic ponad
Jedynie jakieś wiązania końca z końcem
Czyli to co przyziemne (na przykład ciągła mordęga? udręka? bryndza?)
A także plagę mszyc i komarów i byłoby tak
Jak rokrocznie gdyby nie twoja śmierć
I gdzieś tam boski
Dobrobyt

V. TRZEBA

Trzeba jednak żyć ale
Trzeba też umierać tak samo jak
Trzeba pójść do ubikacji albo jak
Trzeba coś zjeść aby móc
Żyć

VI. NAWIAS (26.12.1926-9.08.2011)

Składałam kilka cyfr na krzyż,
Datę narodzin sprzymierzoną z śmierci bezduchem.

W taki oto nawias
Któregoś dnia niebyt
Weźmie każdego z nas pod ramię

VII. WYBACZ

Wybacz, mamó, moje
Znietrzeźwienia. Wybacz
Moje ślepe? Głuche? Nieme
Zwyrodnienia. Ty przecież
Nie przestałaś żyć. Przynajmniej
Dla mnie. Zdążę więc jeszcze się
Poukładać, jeśli nie
Pokalać

VIII. DWUGŁOS

– Co teraz porabiasz,
Synu?

– Snopowiążkę ślady i wspomnienia po tobie,
Mamo

Chluba salonu

Wdowa przypuszczała, że trzymanie wszechświata w tajemnicy nie będzie łatwym zadaniem. Musiała się trochę natrudzić, żeby nikt go nie zobaczył. Sąsiadów czy przyjaciół nie było trudno od siebie odstraszyć, zresztą odwiedzali ją coraz rzadziej i zwykła wymówka o złym stanie samopoczucia bardzo dobrze się sprawdzała. Listonosza, którego zawsze zapraszała do środka, przyjęła przed wejściem, ale chłopak był tak zapracowany, że nawet nie zauważył, że coś jest inaczej niż zwykle. Natomiast gdy przyszedł mężczyzna sprawdzający wodomierz, po prostu nie otworzyła, udając, że jej nie ma.

Okna salonu wdowa Miła zasłoniła ciemnymi kotarami, wygrzebanymi z głębokiej skrzyni na strychu, tak żeby nawet ktoś z ulicy przez przypadek nie dostrzegł latającego wszechświata. W półmroku, musiała przyznać, wyglądał bajecznie. Dni mijały, a wszechświat robił się coraz większy, wolno pochłaniając komodę. Wdowa powoli godziła się z jej stratą, sama bowiem, bez pomocy, nie mogła jej nigdzie przenieść. Wszechświat robił się także coraz jaśniejszy. Przybywało mu, jak wdowa dostrzegła, wielokrotnie go obserwując, galaktyk, gwiazd, planet, satelit, mgławic. Wszechświat stawał się coraz bogatszy, a wdowa była nim jednocześnie zachwycona i przerażona. W nocy niestety nie dało się go wyłączyć jak jakiejś lampki, czy zdmuchnąć niczym płomień świecy. Kolory przebijały się stłumione przez ciężkie, grube zasłony. Wdowa wychodząc na spacer z Stefanem, teraz krótkie i niedalekie, zawsze spoglądała zmieszana w okna. Przypominały one trochę okna w pomieszczeniu, w którym gra telewizja, światła jednak nie migotały, a z każdym dniem robiły się coraz jaśniejsze. Ktoś ciekawski mógłby pomyśleć, że wdowa lubi oglądać telewizję i zawsze zasypia przed ekranem, zostawiając włączony odbiornik na całą noc. Miała tylko nadzieję, że nikt nie będzie przeprowadzał bliższego śledztwa w sprawie wiecznie włączonego telewizora wdowy Miłej.

Najtrudniej było odpędzić od siebie panią Płotkę, która zaniepokojona o swoją kochaną Miłą, przychodziła niemalże codziennie. Pewnego popołudnia wdowa Miła zdenerwowana stała przed drzwiami i próbowała wyperswadować pani Płotce nachalne wprośnienie się do jej domu.

– Nie rozumiem cię, Miła – pani Płotka także była rozżłoszczona. Na rękach trzymała chihuahua, który swoimi wytrzeszczonymi ślepiami wpatrywał się w dół na Stefana. Wdowa Miła nienawidziła tej rasy, dla niej pies powinien być duży i najlepiej puszysty.

– Przychodzę do ciebie specjalnie, jak to już mamy w zwyczaju, na podwieczorek, a ty już od jakiegoś czasu mnie zbywasz. Czy coś się stało, Miła? Dobrze wiesz, że możesz mi o wszystkim powiedzieć.

– Stefan, chodź tu! – krzyknęła wdowa Miła, widząc, że pies szykuje się do spaceru po ulicy. Pani Płotka wzdygnęła się.

– To okrutne, że dałaś swojemu psu imię po mężu. Ja bym tak nie mogła – rzuciła z wyrzutem pani Płotka.

– Oczywiście, żebyś nie mogła. Bo twój mąż jeszcze żyje – odparła wdowa Miła.

Musiła zejść ze schodów, by złapać Stefana, zanim ucieknie przez otwartą furtkę, której pani Płotka nie raczyła zamknąć.

Zaciągając psa z powrotem, zobaczyła, że drzwi do domu są otwarte na oścież, a pani Płotka znikła.

Wdowa Miła pobladła i biegiem ruszyła do domu. Pani Płotka stała jak wryta w przejściu do salonu. Wszechświat zajmował już jedną czwartą pokoju, był kolorowy, poruszał się wolno i wydawał coraz głośniejsze dźwięki.

– Na Miłość Boską! Co to jest? – zapytała piskliwym głosem pani Płotka. Była bardzo pobożną osobą i nigdy nie pozwalała sobie na nadużywanie imion świętych, a już zwłaszcza samego Pana Boga.

– To jest wszechświat, moja droga – wytłumaczyła wdowa Miła, zamykając drzwi za Stefanem. Mogła wymyślić wiele rzeczy, którymi nakarmiłaby żądzę sensacji pani Płotki, ale nie wiedziała w tym sensu. Żadne jakieś tam kłamstwo nie było w stanie wytłumaczyć istnienia wszechświata. Wdowa miała teraz tylko nadzieję, że pani Płotka się przestraszy i nigdy więcej już do niej nie przyjdzie na podwieczorek. Jednak kobieta nie dosyć, że natychmiast uwierzyła, że to najprawdziwszy wszechświat, to jeszcze spojrzała się na wdowę tak, jakby ta była największą szczęściarą na świecie, po czym zajęła fotel, ulubione miejsce wdowy do podziwiania wszechświata.

– Jest piękny – dała upust swojemu zachwytowi pani Płotka, zaczynając mechanicznie głaskać psa. – Dlaczego nie pochwaliłaś się nim wcześniej? – dodała z pretensjami, jakby wdowa miała w obowiązku powiadamiać ją o wszystkim, co dzieje się w jej życiu.

– Pójdę zrobić herbaty – rzekła zrezygnowana wdowa.

– Nie zapomnij ciasteczek – krzyknęła za nią pani Płotka, gdy wdowa wyszła do kuchni.

W głębi duszy wdowa wiedziała, że może się już pożegnać ze swoją tajemnicą, wiedząc, że pani Płotka, posiadająca miano największej plotkary na ulicy, rozpowie każdemu, kto zechce ją wysłuchać, o wszystkim, co się dzieje u wdowy Miłej. Skoro tak miało już być, i nie było żadnego wyjścia, oprócz zamordowania pani Płotki (wdowa pomyślała o tym z nieskrywaną przyjemnością), wdowa podczas sączenia napoju z filiżanki, odpowiadała na każde pytanie pani Płotki. W ten sposób wyjaśniła całą historię wszechświata.

– Mówiłam ci tyle razy, żebyś nie ufała temu całemu Snowidowi – pani Płotka pomachał karcąco ciasteczkiem.

Wdowa Miła na to tylko westchnęła.

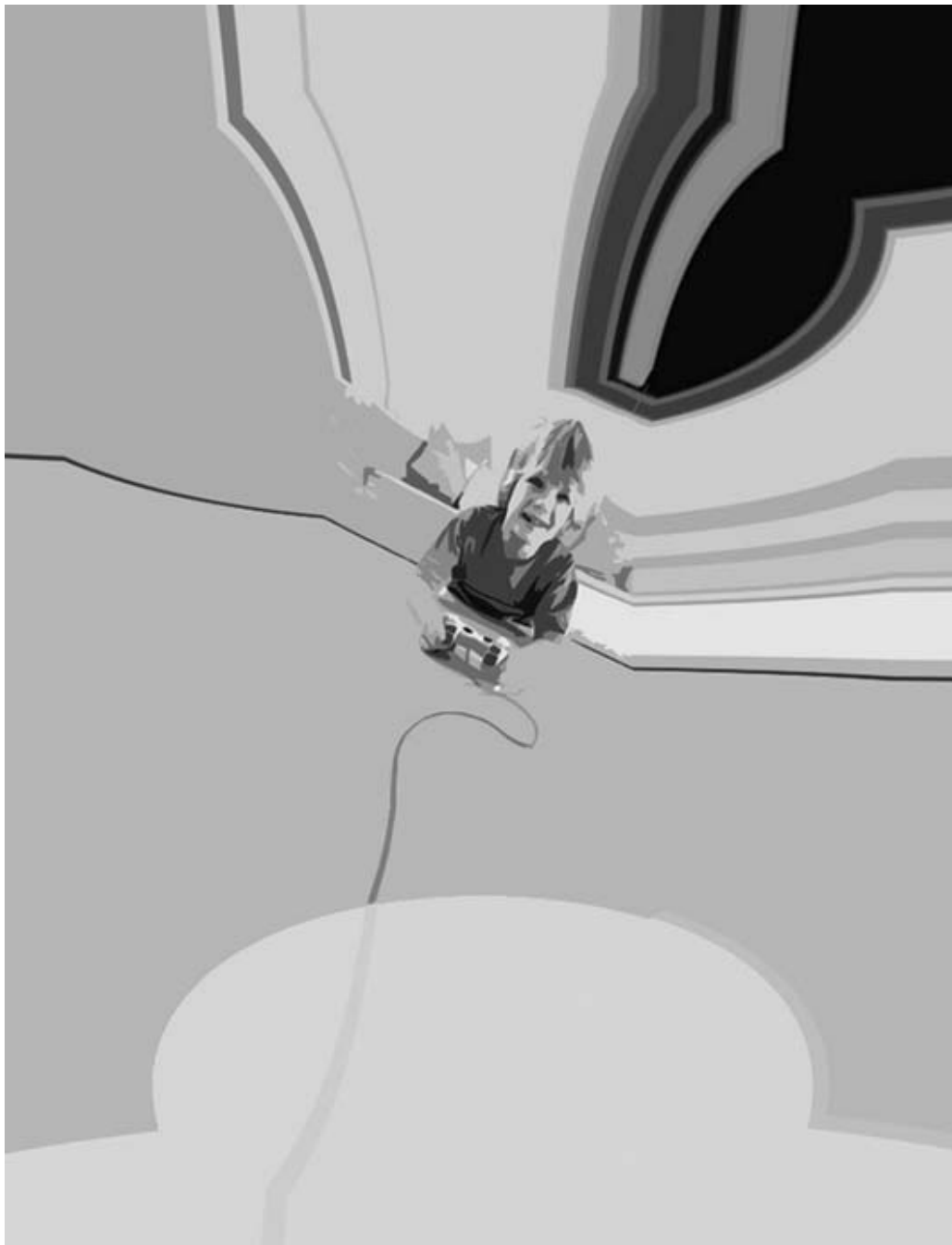
Gdy pożegnała już panią Płotkę, w myślach wzywała Snowida, aby się pośpieszył.

O dziwo, następnego dnia przed jej domem nie koczowali dziennikarze, a wozy transmisyjne nie zajeżdżały jej podjazdu. Nikt nie dobijał się do drzwi, krzycząc, że chciałby zadać tylko parę pytań i zobaczyć to niezwykle zjawisko. Nikt nie zaglądał ciekawsko do okien. Telefon milczał zamiast co chwilę buczeć, a w słuchawce nikt nie żądał wyjaśnień. Radio na ten temat milczało, telewizja też. Nawet nie przyszedł żaden z mieszkańców ulicy, by dowiedzieć się, co takiego niesamowitego wdowa Miła trzyma w salonie.

Albo pani Płotce nikt nie uwierzył, choć znalazłoby się parę wścibskich osób chcących sprawdzić, o czym tak niedorzecznie mówiła ich przyjaciółka. Albo pani Płotka trzymała swój gadatliwy język na wodzy i nikomu nie pisała ani słowa. Zdumiewające, ale możliwe. Wdowa powoli przekonywała się, że wszystko jest w życiu możliwe, wszechświaty można sobie trzymać w salonach, oczywiście nie bez konsekwencji, a pani Płotka potrafi dochować sekretu, oczywiście też nie bez konsekwencji.

Przyszła po południu podziwiać wszechświat i przychodziła tak codziennie na godzinę lub dwie. Znużona wdowa przyjmowała ją grzecznie, bojąc się, że jak odmówi, sprowadzi na siebie jakieś nieszczęście.

Wszechświat zajął już komodę, a także trochę ściany. Wdowa Miła musiała przenieść papugę i kanarki na drugi koniec salonu, by wszechświat ich nie pochłoniął. Dosięgał już ziemi i pewnego dnia zniknął jej żółw. Długo go szukała, ale wiedziała, że stało się najgorsze. Wyobraziła sobie żółwia pływającego w próżni z jej porcelanowymi słonikami, które stały na komodzie. Miała tylko nadzieję, że jest szczęśliwy i znalazł swoje miejsce we wszechświecie.



* * *

Idąc każdego dnia
czy tego chcesz czy nie
przesypujesz

z

i

a

r

e

n

k

a

piasku

Morze

Mewy płyną na wietrze
przysiadają na palach

kutry znikają
i pojawiają się
w rozkołysaniu wód

smak soli na ustach

ta cała przestrzeń
ukazująca się oczom
że chciałoby się zajrzeć dalej

a tam mgielka
i nieskończoność

tak pięknie jest pragnąć

* * *

Morze zabiera i oddaje

jego wody
w przyływach
odpływach
mielą jak młyny
nieustannie

perpetuum mobile

* * *

Sztorm poszarpał
brzeg i las

a kiedy ucichło
pośród ziarenek piasku
znalazłem bursztyn
okruch światła
z głębin
wyrzucony na brzeg

maleńki

Skarb

Corrida

Opowiadanie z cyklu „Brama”

Tak, to był piątek, pamiętam na pewno. Za oknem ciągle padał deszcz, a ja od dwóch godzin tępo gapiełem się w monitor. To musiał być piątek, bo wczoraj był przecież czwartek. Dopijałem kolejną herbatę, a kręgosłup łupał jak zwykle, gdy za długo siedzę w jednym miejscu. I właśnie wtedy, tzn. gdzieś w tym czasie, gdy patrzyłem w ten monitor, zadzwoniła komórka.

– Słucham – powiedziałem. Oczywiście to była Nadzia, na ekranie komórki wyświetliło się jej imię.

– Jacek, idziesz dzisiaj? – jej głos zawsze mnie irytował. Nie znoszę kobiet mówiących przez nos. Na całe szczęście przez telefon w trakcie całej rozmowy nie widać rozmówcy, ale już i tak widziałem oczami wyobraźni, jak zwężają jej się te dziurki w nosie i chrząstka winduje do góry. Głupia, piskliwa kurwa, zawodzi jak chór kastratów.

– Gdzie? Przecież dzisiaj jest... – odpowiedziałem i zamyśliłem się.

– No właśnie, sobota! – wykrzyknęła radośnie.

– Cholera – pomyślałem. Ma rację, czasami jej się to zdarza. No bo jeżeli wczoraj był piątek, to dzisiaj musi być sobota.

– Taak – rzuciłem przeciągle. – Jasne, że tak – dodałem pewniej. Będę u ciebie o 19.

– Nie spóźnij się tylko – zamruczała ostrzegawczo.

– Postaram się – uciałem.

– Kochasz mnie jeszcze? – zapytała prawie poważnie.

– Nie wiesz tego?

– No to pa.

– Pa.

Kurwa, kolejna sobota, powiedziałem półgłosem i spojrzałem na cassio, było kilka minut po 16. Za godzinę będzie Wojtek. Choćby świat się walił i B-52 bombardowały miasto, za 50 minut przyjdzie Wojtek. Przywlecze ze sobą Polara i Monię, wyciągnie flachę i zacznie polewać. A potem będzie opowiadać, że w pracy szef ich znowu okrada, że kupił sobie nowego Forda, no i że wiadomo, skąd miał na niego forszę. Monia zacznie się kleić do Polara, więc powiem, że jasne, że drugi pokój jest wolny. A Wojtek będzie polewał dalej, bo przecież trzeba się spieszyć, bo możemy nie zdążyć, chociaż spóźnić się nie da.

Obmyłem twarz nad umywalką i sięgnąłem po żel. Trzeba przecież jakoś żyć, pomyślałem, wcierając zieloną maź we włosy. Trzeba się z kimś spotykać, gdzieś wychodzić, inaczej się zwariuje. Zacząłem się

przebiegać i w ogóle doprowadzać do porządku, cokolwiek by to miało znaczyć. Bo przecież porządek musi być. Porządek. Ja sam staram się bardzo o jego utrzymanie, przywiązuję ogromną wagę do porządku, aby być porządnym, aby być w porządku. W końcu tak naprawdę poza nim niewiele człowiekowi zostaje. Rozsmarowałem krem na twarzy i wtarłem go starannie w skórę. Była sobota, a ja miałem iść na imprezę do Corridy, lokalu, klubu, świątyni, jak kto woli. Nikt jednak nie miał, nie ma i mieć nie będzie żadnej wątpliwości, że Corrida to kwintesencja życia. Była sobota jak każda inna sobota, ale ta, podobnie jak i inne, miała być wyjątkowa, zajebista, po prostu wyjebana w kosmos. Wziąłem stojące na półce perfumy i rozpyliłem je po ciele. Byłem zmęczony, wycieńczony na samą myśl o tym, że dzisiaj czeka mnie kolejny wieczór, wieczór z Nadią, Wojtkiem, Polarem i Monią. Cała ta ekipa najzwyczajniej w świecie mnie irytowała, powiem więcej, ciężko wkurwiała. Miałem ich dosyć. Wszystkich, ale zwłaszcza Nadi. Poznałem ją trzy tygodnie temu, oczywiście w Corridzie. Była napiędzona i biała jak noce Dostojewskiego. Przyłał jej jakiś solar Sycyliczyk z wioski pod Warszawą, więc skasowałem go bez ulgi biletowej. Od tamtego momentu ona mnie kocha, on unika i wszyscy są uśmiechnięci jak na zdjęciu rodzinnym. Pizda tak wyła, że w końcu odwiozłem ją domu. Nieważne. Jesteśmy razem i tylko to się liczy. Pytanie tylko – w jakiej punktacji i dla kogo.

Wyszedłem z łazienki, siadłem na fotelu w pokoju gościnnym. Nie chciało mi się iść z nimi, z nią, z nikim, nie chciało mi się iść TAM. Niedługo przecież przywleczę się Wojtek i – żeby oszczędzić fundusze – będziemy pić TUTAJ, szybko i do przodu. Naprawdę to będzie jazda, nie wiadomo dokąd, ale jazda bez trzymanki. A gdybym nawet nie otworzył drzwi, nie odezwał się, to i tak niczego nie zmieni. Tyle że ja będę do tyłu o jedną bibę. Poza tym, co tu pierdolić, z Wojtkiem znamy się od gówniarza. Rodziny się nie wybiera, przyjaciół tym bardziej. Z Wojtkiem dorastałem w jednym bloku: wspólna podstawówka, szkoła średnia, potem ja poszedłem na studia, a on zaczął pracować w zakładzie. Wspólne puszczenie pawia, napierdalanie kolesi z innej dzielnicy, wypadki na cielęcinki. Pytam więc: jak mógłbym nie przepadać za tym prostakiem, ruchaczem wszystkiego, co nie spierdala na drzewo?

Wyciągnąłem zippo i odpaliłem szluga. Zaciągnąłem się mocno i rozsiadłem się w fotelu na dobre. Właściwie to powinienem być szczęśliwy – strzeliło mi do łba – połowa gości w moim wieku dałaby sobie wyciąć nerkę, żeby przelecieć Nadię. Pewnie niejedna laseczka wyrwałaby jej wszystkie kłaki, żeby iść dzisiaj wieczorem ze mną do Corridy, więc w czym, do chuja, rzecz? Nie jestem przecież niedojebkiem, desperatem z greenpeace czy inną ciotą. Nie płaczę, że świat jest zły, a ludzie mnie nie kochają. Nie spowiadałem się dziwkom, że żona po urodzeniu dziecka zrobiła się za luźna.

Będą za 20 minut. Sprawdziłem, czy już jestem OK, czy buty są wyczochrane na wysoki połysk, czy sznurowadła nie są prześmigane, t-shirt i bluza w stanie właściwym, skóra bez zagięć. Ku uciesze mojej całej niepospolitej estetyki odkryłem, że jestem rulez. Reszta czasu jakoś zleciała i wreszcie zadzwonił dzwonek.

- Się masz, Jacek! – ryknął Wojtek, kiedy otworzyłem drzwi.
- Się masz – odpowiedziałem.
- Siemka – przywitała się Monia.
- Siemka – przywitał się Polar.
- Turlajcie się – odparłem (kurwa, jakie „odparłem”, odpiera się pizgnięcie bramkarza). – Turlajcie się – powtórzyłem i wpuściłem ich do środka.
- No, co tam u ciebie? – spytał, jak zwykle nerwowo, Wojtek i wszyscy zaczęli się rozdziewać z nakryć.
- A jak ma niby być? Pomału, jak na razie do przodu – odpowiedziałem, gdy wchodziliśmy do kuchni.
- No to spoksik, bo wiesz, u nas szef tak w chuja wali, że kiedyś to się naprawdę z chłopakami wkurwimy. Ja jebię, jak on nas na wszystkim tnie... – Wyłączyłem się. Naciśnąłem w mózgu przełącznik z napisem *off* i chciałem mieć już ten jego bełkot za sobą. Potem Wojtek wyciągnął litra. Szkło,

wlewanko, wszystko w tempie. Polar miał furę, robił za kierowcę, więc wiadomo, że pić może mniej. Po jakiejś chwili popatrzył na mnie, na drugi pokój, na Monię. Skinąłem głową. Monia uśmiechnęła się do mnie, złapała Polara i pociągnęła za sobą. Wojtek właśnie opowiadał jakiegoś joke'a, ale rozbawił tylko siebie. Co tu właściwie można dodać, flaszka się suszyła, wreszcie wróciła Monia, wrócił też i Polar. Szarpnęli po karniaczku, dorzneliśmy wodę i wszyscy byli już gotowi na eskapadę. Teraz trzeba jeszcze zahaczyć o moją dupę i możemy się już bujać do pałacu, do serca miasta, do Corridy, na dwór parkietowy.

W końcu zeszliśmy na dół, wpakowaliśmy się do gabloty. Polar odpałił muzę, co i tak nie zagłuszyło gadania Moni, której rzuciło się na ekspresję.

– A wiecie co? – zaczęła. – Wczoraj oglądałam taki film o samobójcy i wiecie co? On się zabił. Ale nie od razu, próbowali go najpierw ratować. Tylko on dziwny był jakiś taki. Taki... No, wiecie... No i on powiedział w szpitalu, że tak naprawdę, to on to z miłości tak. Nieszczęśliwej totalnie. I on tak mówił o życiu i o różnych rzeczach, ale że ta miłość to właśnie taka najważniejsza. Takie miał oczy ładne, jak husky...

– Daj trochę głośniej, leci mój kawałek – powiedziałem, ale kiedy Polar zaczął kręcić przy regulatorze głośności, o pół tonu w górę poszła też Monia.

Znów się wyoutowałem. Nie na długo jednak, na tylnym siedzeniu byli ze mną Wojtek i, co jasne, Nadzia.

– Fajnie dzisiaj wyglądam? – zapytała, eksponując obcisłą nową bluzeczkę.

– Dla mnie spox – powiedziałem i pozwoliłem sobie na półuśmiech. – W ogóle wyglądasz nieźle.

– Jak było dzisiaj w arbacjie? – rzuciłem.

– Czy możesz nie pytać mnie o robotę, kiedy wreszcie mam fajrant? Przecież jedziemy na balety. Czasami jesteś na serio wkurwiający. Musisz zawsze spierdolić mi nastrój? – w jej głosie mieszała się złość z głębokim brakiem akceptacji dla mojego niestosownego zachowania.

– Słuchaj, jak nie masz ochoty rozmawiać, to powiedz. A jak nie masz nastroju na zabawę, to może chcesz wrócić do domu? – Wiedziałem, że ją podkurwiam. Nawet gdyby jej rodzinę listonosz pokroił i powysyłał w częściach po całym świecie, poszłaby do Corridy. Pewnie założyłaby tylko żałobne czarne podwiązki.

– Ty jesteś nienormalny – zaczęła, ale Wojtek przyszedł z odsieczą.

– Dajcie sobie spokój, co? Jacek, nie dziw się jej. Pewnie jej szef to taki sam kutas, jak i mój. Może nie aż taki, bo ten mój, to naprawdę wielgachny kawał skurwysyna, ale może też jest kutasem. Zrozum Jacek, takie jest życie. Łapiesz?

– Jasne, że łapię, nie ma tematu.

– No, przecież się nie gniewam, mój ogierze – ja pierdolę, pierwszy raz poszła na jakiś kompromis, aż się zapowietrzyłem. – Tylko nie mówmy już o dzisiejszym dniu.

Polar tak podrasował radio, że dalszej gadki już nie było słychać. Muzyka rzeczywiście łagodzi obyczaje. W końcu dojechaliśmy na miejsce. Polar zaparkował na chodniku i wysiedliśmy z fury. Byliśmy u celu podróży, u bram ziemskiego edenu, przed nowoczesnym budynkiem wykonanym ze szkła i metalu na zlecenie współczesnych Medyceuszy. Drogi do pałacu broniło dwóch postawnych gwardzistów, dwa ogolone karki, pierdalone, na wpół ucywilizowane trolle. Mieliśmy banknoty, wyglądaliśmy konkretnie, więc dla nas droga była wolna, ale przed wejściem stały ekipy różnych ziomali, którzy starali się skądś wytrzepać jakieś siano na wjazd. Inni nie dostąpili tego szczytu, bo nie byli na bieżąco. Pikuś, jeśli chodziło o brak firmowej metki przy bluzie czy niewejściowy fryz. Następnym razem bardziej się postarają, coś wykminiają. Niektórzy jednak mieli zbyt zjebane facjaty, żeby nimi świecić w lokalu. Już tak to jest, że ktoś wygląda tak, jakby go wszyscy jebali i jeszcze tego nie klei. Jak nie załapie tego od razu lub po pierwszym wpierdolu, to nie załapie nigdy. Jeżeli wyglądasz jak pipa, masz dwa wyjścia: wyrzwasz gdzie indziej (może w świetlicy szkolnej albo na czacie) lub musisz mieć tyle cashu, żeby żaden jebany

kark nawet na ciebie wzroku nie podniósł za wysoko. Ale nas ten problem walił. Byliśmy tym, co jest tutaj pierwszą ligą, może nie najwyższą z półek, ale nigdy pewne problemy nas nie dotyczyły. Fakt ten powinien mnie dowartościować, pokazać mi, że to ja jestem naprawdę na górze, że jestem kimś.

Nie chciałem tam iść, była sobota, chociaż powinien być ciągle piątek. Może gdyby ten wieczór był jutro – pomyślałem – znalazłbym wreszcie ochotę, żeby się tu przywlec. Gdyby był piątek, może mógłbym zachorować i nie trafić tu nigdy. Była jednak sobota, a w życiu jest tak – jeżeli raz wylecisz z obiegu, już nie wrócisz. Tak to jest.

– Dużo dzisiaj wiary – odezwał się Wojtek. – Zupełnie niezłe towarki.

– Idziesz jakąś przygruchać za wejście? – spytał Polar i włączył alarm w bryce.

– Gówniary, zwykłe dziwki. Stać cię na więcej, Woj – wtrąciła Monia, wydymając wargi i podnosząc lekko głowę do góry.

Szmatka Monia sama chciałaby mieć teraz kilka lat do tyłu. Teraz jest stabilna, bo od dwóch miechów jest z Polarem i, co jasne, wszystkie inne ma za zdiury, a przecież to właśnie Monia zawsze była przechodzoną ruchadką, które dowolnie rznął prawie każdy, kto chciał.

– Wyrwę coś w środku, ale mogę wpuścić jakąś szesnastkę, jak się postara – wyznał Wojtek, a następnie zaczesał włosy do tyłu. – Spotkamy się w środku, łoża ta co zwykle?

– Jeep, nie inaczej – powiedział Polar. – Jak będzie fajna, to weź jej numer telefonu, callnę do niej – ze śmiechem wtrącił Polar, ale Monia zmierzyła go tylko nienawistnym spojrzeniem i wycedziła przez zaciśnięte zęby:

– Słuchaj, przecież jak chcesz, to możesz też iść sobie do tych wszystkich dziwek.

Polar zamyślił się przez chwilę i przypatrzył się Moni.

– Eeee, wiesz co, wolę instruktorkę niż amatorkę.

Monia zdawała się triumfować, ale wtedy odezwała się Nadzia:

– A Jacek to nie patrzy na żadne inne, bo ja jestem wyjątkowa, prawda, Jacuś?

– Prawda – odpowiedziałem i dodałem w myślach: bo niby po co, wszystkieście kurwy jednakie.

Skierowałem się w stronę wejścia, podobnie zresztą jak pozostała czwórka. Wyciągnąłem z kieszeni plik banknotów, odliczyłem wymaganą kwotę i dałem jednemu z bramkarzy. Drugi z nich trzymał w ręku stempel, którym oznaczył moje prawe przedramię, jak oznacza się konie. Teraz, na dzisiejszy wieczór należałem do tej stajni, do najbardziej prestiżowej stajni w mieście i byłem jej ogierem.

Zacząłem schodzić po schodach, mijając zapłakaną i napierdoloną dziewczynę podtrzymywaną przez dwie inne pipy, które pewnie uważała za swoje przyjaciółki. Dziewczyna wyglądała jak zwłoki zabal-samowane nędznym samoopalaczem. Siedziała na schodach rzucana spazmami paniki, bo co ona teraz robi, przecież on był dla niej całym światem, wszystkim, ona tak go kochała, a on ją zostawił. Znałem te wszystkie tandetne historie, bo to była jedna i ta sama historia, ale pomyślałem: nie martw się, przecież przyjdzie następny gość, zdejmie te twoje różowe stringi, zerznie cię, a później będzie całym twoim światem, wszystkim, co będziesz mieć.

Nie wiem dlaczego, ale miałem zajebistą chćić zająć jej tak, żeby spadła z tych schodów z całym tym jej wyciem, ale tylko przyspieszyłem kroku. Na dole ściągnąłem skózaną kurtkę i podałem koleśowi w szatni. Nie różnił się niczym od tych ćwoków na górze i, tak jak i oni, korzystał z ustnych usług gimnazjalistek, chcących zażyć trochę prawdziwego nocnego życia. Bez słowa zabrałem od niego numerek i ruszyłem na salę. Obok mnie pojawił się Polar, a za nim Monia z Nadzią.

– Mam ochotę naprawdę dzisiaj ostro poimprezować – poinformował mnie Polar i przytulił do siebie Monię.

– Masz ochotę na naprawdę wykurwistą imprezę? – zapytał Monię, która była teraz najszczęśliwszą pizdą pod słońcem.

– Nooooo – pokiwała głową Monia, a ping-pongi mało jej z orbit nie wylazły.
– A ty, Jacek? Nabrałeś trochę humoru? Bo ja dzisiaj nie mam ochoty na pogrzeb – powiedziała Nadzia i klepnęła mnie w dupę.

– Idziemy do łóż – odpowiedziałem. Dzisiaj – dodałem w myślach – dzisiaj nie masz ochoty? Jakbyś mogła, to przez siedem dni w tygodniu byś tu przylaziła. Dzisiaj, kurwa mać, dzisiaj, tak?

Corrida, to jest właśnie Corrida. Na parkiecie wyginały się, wytrząsały i macały lolitki w różnym wieku, wszystkie stylizowane na ponętne siedemnastki. Siedzący w kabinie samochodu marki Porsche didżej K.O. obracał i miksował talerze, a jego kurtka odbijała laserowe refleksy i stała je w eter. Było naprawdę w chuj głośno i wiara bawiła się zacie. Ometkowani kołesie szukali brania, dupensje rwania i wszystko było pod kontrolą. Na pytanie, pod czyją kontrolą, uśmiechnąłem się do siebie. Przypominało to wszystko gody: samiec pokazywał swoje kolorowe piórka, a kiedy już znalazł obiekt swojej chuci, robił, co się da, żeby ją zaruchać, a samiczki neglizowały się i kusily na wszystkie możliwe sposoby. Błyskotki ze szlachetnego metalu mile widziane po obu stronach migotały w świetle kolorowych lamp. Przy barze siedziały kiperki w poszukiwaniu darmowego drinka, do niektórych już podjeżdżali goście, by za cenę dwóch, trzech drinków urobić laskę na noc.

Tak, to jest właśnie Corrida. Tu wszyscy są bohaterami wieczoru, wszyscy są na arenie. Czerwoną płachtą jest pożądanie, a role byków i torreadorów wciąż się zmieniały – goście pizgający się o dupę to rzadkość, ale często było odwrotnie. Czasami facet przyjebał panience, bywało jednak, że panienka wypłaciła kołesiovi. Ciągła pogoń i nienasycenie, arena życia, mocne wrażenia, hera, koka, extasy, pulsująca krew i południowy temperament. Tu było naprawdę gorąco, parzył wnoszony tu towar, gorące były ciuchy Cyganów, paru rzeczy nie dało się określić co do temperatury, ale szło się domyślać.

Dotarliśmy do łóż, obita zieloną skórą wersalka była szeroka i wygodna. Może to nie rydwan Kommodusa, ale większość pozycji można było na niej odstawić. Nadzia zasiadła z piskiem i odrzuciła głowę na oparcie, a ja ściągnąłem ze stolika przed wersalką kartkę z napisem *rezerwacja* i podpaliłem ją płomieniem zapalniczki. Tłący się papier wrzuciłem do popielniczki i zapytałem:

– Nadzia, co dla ciebie?

– Kawasaki! – wykrzyknęła.

Polar po krótkiej chwili, którą poświęcił na oglądanie prawego bicepsa, powiedział:

– Idę z tobą Jacek, poczekaj na mnie.

Monia klapnęła obok Nadzi, a my z Polarem poszliśmy po drinki.

Za barem stał frajer z postawioną na sztorc platyną na włosach. Zamówiliśmy sprzęt i ze szkłem wróciliśmy do naszej łóż. Nadzia była już urobiona na amen. Nie łapała nic z tego, co działo się wokół. Byłem zły jak sam skurwysyn, bo nie wiedziałem, czy pizdę zabrać do chaty, czy zostawić w tym stanie. Dwa tygodnie temu, jak zaskunowała w Corridzie zupełnie, zawiąłem ją do siebie, a rano, kurwa, mało mnie nie zajębała, że zabrałem jej pół zabawy i żebym się nie wpierdalał, bo to jest jej broszka. Zanim zaczęliśmy być ze sobą, wiem, że bywała nieprzytomna, na niejednej dżamprezce częstowali się nią kołesie. Ale co mnie, do chuja, mogła obchodzić jej przeszłość, co obchodzić może mnie jej przyszłość? Tak naprawdę to miałem ją głęboko w pompie, podobnie jak wszystkie inne suki na świecie.

– Pierdolę to – powiedziałem – Polar, idę jeszcze się odlać, zamawiam taryfę i jadę z Nadzią na chatę.

– Jasne, ale wrócisz? – zapytał Polar.

– Nie, nie wracam, wóda mi nie podchodzi dzisiaj. – Właściwie to zajebiście, że Nadzia tak się zaprawiła – pomyślałem. Mam przynajmniej resztę wieczoru ze łba. Obejrzę film na DVD i zapalę sobie trawę. I tylko rano pizda będzie darła ryja.

– Jak chcesz – rzucił Polar – ale biba dopiero się rozkręca.

– Odbiję sobie następnym razem – odpowiedziałem z udawanym żalem.

Polazłem przez parkiet do kłopa. Kiedy byłem na środku sali, mignęła postać znanej mi dziewczyny. Nic się nie zmieniła. Miała proste blond włosy i poruszała się naprawdę dobrze. Koło niej zawijały się jakieś dwie cipki ubrane na różowo. Zbliżyłem się do niej lekkim węzłem i zacząłem:

– Cześć, Aga. Co tu robisz? Od kiedy jesteś w mieście? – spytałem i zacząłem przy niej niezgrabnie tańczyć. Alkohol robił swoje.

– Jacek? – zdziwiła się, nie przestając poruszać się w rytm muzyki. – Ile to już lat?

– Pięć – odpowiedziałem.

– To kawał czasu. Jak się bawisz? – spytała.

– Czy ja wiem? Chyba nie jest najgorzej – odrzekłem raczej niepewnie. – A ty? Zostajesz tu do rana?

– Za pół godziny wychodzę. Jutro mam samolot.

– Wracasz do Anglii?

– Tak, przyjechałam odwiedzić starych.

– To cztery ulice stąd. No, chyba, że się przeprowadzili.

– Nie, wciąż tam mieszkają.

– Słuchaj, jak chcesz, to mogę cię odprowadzić, tylko coś załatwię.

Popatrzyła na mnie lekko rozbawiona.

– Jeżeli chcesz.

– Będziesz na parkiecie?

– Jasne – powiedziała. Złapała jedną z tych różowych cip za rękę. Zaczęły tańczyć jakiś układ.

Odrzuciłem się i wróciłem do łóż. Nadzia leżała zresetowana. Wyciągnąłem ją z Polarem na zewnątrz i zadzwoniłem po taxę. Na górze ekipy się poprzeredzały. Dwaj bramkarze tańczyli kujawiaka nad jakimś najebanym gostkiem, który był na tyle głupi, by kozaczyć bez pleców. Kolejna zaryczana pizda krzyczała do drugiej, żeby się wszyscy od niej odpierdolili. Grano te wszystkie szopki po raz kolejny, a ich aktorzy mieli ciągle nadzieję, że następnym razem coś się poprawi.

– Wiesz, Polar, zawitam tu jeszcze, jak odwiozę Nadzię.

Polar popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakby rozumiał wszystko. Rozumiał mnie, ten głupi napakowany sześcian, pierdolony pustak. Uwielbiałem właściwie wszystkich moich znajomych. Każdy, kurwa, każdy wiedział o mnie więcej, niż ja sam o sobie, każdy mnie znał, rozumiał. I wszyscy dookoła wiedzieli, jak i kiedy powinienem postąpić, bo przecież mnie znali od jebanej podszewki. I Polar, kończący w tym roku prawo, też wiedział o mnie więcej, niż ja sam. Miał już gotową interpretację wszystkiego, ten jebany cwaniak, który połowę egzaminów pojechał na amfie, a drugą przepłacił, poeta od czasu do czasu (wtedy gdy się zakochał), wierny czytelnik pism o kulturystach akceptował mój wybór, bo przecież też był facetem i wiedział, wiedział na pierdolony bank, że tak jak i on mam chcieć wrócić, zaruchać i zarzucić jeszcze kilka drinków.

– Nic nie powiem Nadzi – powiedział Polar konfidencjonalnie.

Nadjechała taryfa... Wsiadłem z nieprzytomną Nadzią i podałem adres. Uregulowałem rachunek po dotarciu pod właściwą klatkę schodową i powiedziałem do ciula za kierownicą:

– Pan poczeka, ja będę wracał.

Jakoś dotarłem do swojej dziupli. Położyłem Nadzię na łóżku i wyszedłem. Wsiadłem do taksówki i wróciłem do Corridy. Chciałem pogadać z Agą, wspominać czasy liceum. Chodziliśmy do jednej klasy, a ja zawsze bardzo ją lubiłem. Była równa i chyba dobrze się dogadywaliśmy. Pamiętam, jak kiedyś rozmawialiśmy o tym, co chcemy robić w przyszłości. Ja tak naprawdę nie miałem o tym pojęcia, ale Agnieszka miała już sprecyzowane plany. Chciała wyjechać do Londynu, gdzie mieszkała jej ciotka, i tam pójść na studia. Mówiła, że w Polsce przez wiele lat nie będzie żadnych perspektyw, a ona nie będzie czekać do starości w nadziei, że coś tu zakwitnie. Poza tym, trzeba mieć, żeby coś zrobić. Podobała mi się

ta myśl. Kiedy to mówiła, miała na sobie zieloną sukienkę z wyhaftowaną gwiazdką. A potem poleciała. Słyszałem od jej kuzynki, że poznała kogoś Angola, że rzuciła studia, zaczęła pracować. Była w jakichś związkach, ale wszystkie się rozpadały. Więcej, niestety, o niej nie udało mi się dowiedzieć, ale pomyślałem, że dzisiaj wreszcie będę mógł z kimś pogadać inaczej i wspominać czasy szkoły średniej.

Po okazaniu pieczęci na przedramieniu bramkarz wpuścił mnie do Corridy. Szybko zbiegłem po schodach i zacząłem rozglądać się po parkiecie. W końcu ją zobaczyłem, ciągle tańczyła z tymi dwiema różowymi nimfomankami. Podeszedłem więc do niej i spytałem:

– I co, idziemy?

– No, chyba już czas – odparła. – Możemy iść.

Wychodząc, natknęliśmy się na Wojtkę, którego Polar na pewno zdążył wprowadzić w mój plan pokątnego jebanka. Wojtek uśmiechnął się do mnie szeroko i wywalił jęzora na niewyparzoną mordę. Pokręciłem tylko głową i wyszliśmy na zewnątrz. Wieczór był raczej ciepły i tylko wiatr lekko smagał nas w plecy.

– Dawno przyjechałaś?

– Dwa dni temu.

– I jak ci się żyje w Anglii?

– Nie narzekam, ty chyba też nie, co?

– Nie mogę.

– Jaki skromny... Słyszałam, że pracujesz w Primexie, tam chyba zarabiasz zupełnie nieźle.

– Trzeba mieć, żeby coś zrobić?

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz ten park? Wtedy jak poszliśmy na flek z biologii i Romek tak się spił, że...

– Wiesz, nie myślę za bardzo o Polsce. Nie ciągnie mnie do tego kraju. Wszyscy tu tylko narzekają.

Ogólna bieda i syf. Ale tobie się udało. Obrotny się zrobiłeś, co?

– Na to wygląda. Na studiach człowiek zaczyna myśleć inaczej.

– Chyba nie masz zamiaru filozofować?

– Nie, jasne, że nie. Co u rodziców?

– Jakoś, ale nie mamy tematów. Różnica pokoleń. Często chodzisz do Corridy na balety?

– W soboty.

– W Polsce ciągle nie ma tak naprawdę dobrych lokali. Przyjedź kiedyś do Londynu.

– Może kiedyś się wybiorę.

Weszliśmy na podwórko i stanęliśmy przed kamienicą, w której mieszkali jej rodzice.

– A tak w ogóle to twoja dupa nie ma nic przeciwko temu, że odprowadzasz mnie do domu? – spytała i zmierzyła mnie wzrokiem pełnym nieukrywanej kpiny.

Byłem przez nią przekreślony. Wiedziałem, że dalsza rozmowa nie ma najmniejszego sensu. Po pięciu latach nie mieliśmy sobie zupełnie nic do powiedzenia. Być może było tak zawsze? Ona nie pamiętała nic, a może to ja wszystko pomyliłem? Przecież dzisiaj powinien być piątek. Dlaczego dzisiaj znowu była sobota? Może to ja się myliłem – wtedy, kiedyś, teraz? Stała i patrzyła na mnie jak na przegranego gościa, jak na frajera, który ją odprowadza i zachowuje się jak uczeń, więc postanowiła dać mu nauczkę. Wyciągnąłem paczkę papierosów, otworzyłem ją i przybliżyłem do ust, a później zagryzłem zęby na jednej z fajek i wyciągnąłem ją. Ona patrzyła na mnie wciąż w ten sam sposób, a ja stanąłem na szeroko rozstawionych nogach, odpałem tego cholernego szluga, zaciągnąłem się, wypuściłem dym, odchylając głowę. Nie mam, kurwa, pojęcia, ale wolę uchodzić za dziwkę niż za chama. Tak bardzo chciałem, aby się ocaliła, aby przywaliła mi z liścia w papę. Żeby odwróciła się na pięcie i odeszła lub żeby zaczęła płakać. I żeby powiedziała, że nie spodziewała się, że ja jestem taki skurwysyn, że ze mnie jest takie bydlę,

taki gnój. Błagałem ją w myślach, żeby się rozżłościła, żeby zaczęła krzyczeć, albo nie, żeby zrobiła się czerwona ze wstydu. Ale ona uśmiechnęła się.

– Aha – powiedziała bez wyrazu.

Aha, kurwa, aha. Był, do chuja pana, taki zespół, A-HA. Aha... Kurwa... Miałem w głowie pustkę i nie wiedziałem, co mam zrobić, co powiedzieć.

– Aga... – wypaliłem. – Od pierwszej klasy liceum miałem ochotę cię gdzieś wyciągnąć. Zawsze miałem cię za najlepszy towar na mieście, a teraz wiem, że nic się nie zmieniło. Jesteś naprawdę zabiejstą szprychą. Nie wiem, kiedy znowu będzie okazja, więc może pójdziemy na górę na naprawdę zabiejsty seks? Wiesz, gdybym nie miał fury w zakładzie, odwiedziłbym cię jutro na lotnisko...

– Sama nie wiem – odpowiedziała.

Była tylko kolejną pizdą z triumfem w oczach. Czy one naprawdę tak muszą się dowartościowywać? Przyciągnąłem ją mocno do siebie i pocałowałem. I wtedy już była moja. Weszliśmy na górę, do jej pokoju. Kiedy było po wszystkim, wyszedłem bez słowa. I co żeście z nas zrobili, głupie, pierdolone szmaty? Wymieniliśmy kiryсы na skóry z metką, konie na białe BMW. Jesteście głupimi dziwkami, wymalowanymi jak ściany na dworcach PKP i tak jak one obrzydliwymi. Przecież to właśnie przez was, przez ciebie, pindo jedna, staliśmy się wydepilowanymi chłopczykami. Zapomnieliście już wszystko i nie pozostała wam żadna klasa, a przecież jestem samcem, zwykłym męskim samcem, który chce być w jakiś sposób wyróżniony. Więc jeżeli chcecie się o nas bić, róbcie to dalej. Jeżeli naprawdę was to kręci, pizdy jedne, pizdo jedna – niech tak będzie, bo przecież to wy zrobiliście z siebie towar.

Szedłem środkiem ulicy i nie zwracałem uwagi na nic, co dzieje się dookoła. Szedłem przed siebie, jak zawsze przed siebie i wciąż bluźrzałem ją za ten wieczór i inne, za wszystkie te soboty, za wszystkie wieczory. Nie to jednak wkurwiało mnie najbardziej, to co bolało, było znacznie głębiej. Nie była to przecież jednak ich wina – pomyślałem – nie była to wina do końca zawiniona, a może to w ogóle nie była żadna wina? Może nie było i nie mogło być mowy o żadnej winie? No bo kto miałby to osądzić?

Kto sprawił, że tak było, że jestem tym, kim jestem? Mam dwadzieścia cztery lata i nie ocalałem prowadzony na rzeź. Nikt mnie nie prowadził i nikt nie prowadził innych. Nie prowadził nas Piłsudski, nie znaliśmy Stalina i nic nie wiedzieliśmy o komunistach.

Mam dwadzieścia cztery lata i niezależnie od tego, czy ktoś mnie lubi, ceni – jestem elitą tego kraju. Kończę ekonomię na prestiżowej uczelni, zarabiam dobrze. Jestem młody, przystojny i kreatywny. Pracuję w reklamie i po studiach też będę pracował w reklamie. Nie znam innych wartości niż giełda. Za kilka lat to ja, Polar i tacy jak my będą decydować o losach tego kraju.

Mam dwadzieścia cztery lata i jestem już za stary, żeby mieć pretensje. Nie wiem nawet, do kogo mógłbym je skierować. Z przekonania jestem demokratą. Z przekonania jestem sobą i wybieram pepsi, chcę być wreszcie wolny, więc palę marlboro light.

Mam dwadzieścia cztery lata i nikt nie oddzieli mi światła od ciemności. Prawa rynku decydują o wszystkim, a ja nie dostałem żadnych innych podstaw.

Mam dwadzieścia cztery lata i zazdroszczę wszystkim tym, którzy mają iluzję przynależności do czegokolwiek.

Znajomy pożyczył mi kiedyś książkę o filozofii – nie rozumiałem jej i nie pamiętam tytułu, nie miałem ochoty siedzieć pół roku, żeby ją zrozumieć, w tym czasie zarobiłem na mieszkanie.

Ten sam kolega zabrał mnie do teatru, grali jednego z tych współczesnych debili, który ze sceny robi burdel, gdzie wszyscy ruchają wszystkich. Slang zbudował cię taki, jakby gdzieś podsłyszał od koleśi, którzy tak mówią, bo sam jest pryszczaty i rżnie kapucyna przed lustrem. Jak chce posłuchać takich dramatów, niech idzie do Corridy, po co kurwić kolejną instytucję.

Mam dwadzieścia cztery lata i nie wiem nic o Bogu.

Mam dwadzieścia cztery lata.

Chciałem odejść, ale nie wiedziałem od czego. Chciałem wrócić, ale nie wiedziałem gdzie. Chciałem przystanąć, ale wtedy wyprzedziliby mnie inni. Chciałem zostać, ale nie było z kim. Szedłem więc do przodu, do kolejnej soboty i kolejnej Nadzi, szedłem tam, gdzie świeciła się latarnia morska. Szedłem do Corridy.



Corrida Przemysława Grześnińskiego to drugie opowiadanie z cyklu zatytułowanego „Brama”, w którego skład wchodzi osiem utworów. Każdy z nich może być odczytany odrębnie jako samodzielny tekst, jednak dopiero lektura całości ukazuje prawdziwe intencje autora. *Brama* jest bowiem rodzajem obrachunku pokolenia urodzonego w latach osiemdziesiątych z przeszłością i teraźniejszością. Kreowany przez autora bohater to wnuk pokolenia Kolumbów, o których Tadeusz Różewicz mówił jako o „ocalonych”, „prowadzonych na rzeź”, „krzyczących w nocy”. To pokrewieństwo dotyczy nie tylko świadomego wykorzystania motywów i obrazów z pierwszego powojennego tomiku poety *Niepokój* (otwiera go wiersz *Róża*), ale jest przede wszystkim podjęciem próby wypowiedzi w imieniu generacji młodych spustoszonych wewnątrz przez swoje czasy. Okazuje się bowiem, że nie tylko koszmar wojny może stać się przyczyną zachwiania wszelkich wartości, lecz pozornie bezpieczny dla nich czas pokoju. Zdawać by się mogło, że pokolenie, które czas wojennej Apokalipsy zna jedynie z podręczników historii, nie powinno mieć trudności w odróżnianiu prawdy od kłamstwa, miłości od nienawiści – bowiem powtórne oddzielenie światła od ciemności zostało już dokonane, przywrócone. Co zatem się stało, że transmisja spuścizny wartości i dorobku kulturowego została zachwiana? Jaki popełniono błąd, że młode pokolenie nie chce, nie może, czy nie potrafi ich przyjąć?

Autor „Bramy” nie daje odpowiedzi na te pytania. Głos jego bohaterów to głos tych młodych, których oskarża się o sprzeniewierzenie się odwiecznym prawom, o nieznamość historii i tradycji, młodych nastawionych konsumpcyjnie do świata, wyzutych z wszelkich zasad, nieodczuwających żadnych więzi z minionym, dla nich już archaicznym i niezrozumiałym czasem. I zarazem to głos tych „ocalonych” z pożogi upadku wartości, którzy jednak nie potrafią odnaleźć swojego miejsca wśród rówieśników wyznających z rozbrajającą szczerością: „Mam dwadzieścia cztery lata i... jestem, jaki jestem”.

* * *

Już za widnokreśłem
pulsuje pomarańczowa kula
To wstaje słońce
Idźmy ku szczytom gór
co budzą się z mglistego odrętwienia
słyszę echo głosów
pośród zagajnika brzozowego
dotykajmy korę brzóz
by westchnęło niebo
gotowe na jasność w złocie
widziałem motyla co koniuszkami skrzydeł
dotykał kwiatów wrzosowiska na łące
I słońce wibrowało ciepłem na gałęzi
Korony drzew śpiewały na powitanie światła
wzdychały pola za zielenią
Widziałem jak obraz ten weseli gromadę ptaków
co ożywiała mą duszę śpiewem
a meandry leśnych ścieżek
prowadziły ku zachwytom
nad wodami nieskończoności

* * *

Szepty stukają do okien złociste
chcą mnie zabrać
w krainę radosnej samotności
Już otwierają mnie na wielką przestrzeń
widzę w dali horyzont
kołyszący leniwie tysiącem drzew
Powietrze wypełniają zapachy nowych narodzin
a wszystko uśnięte w białym niebie
choć takie żywe i pełne wdzięku
I kołyszą się włosy szepczące
wzdłuż drogi
Kręcą się wokół starych drzew
i w zagajnikach płyną w złocie
włosy cichego bluszczu
Uczesane
z licznymi liśćmi
szeleszczą i szepczą
przy każdym kwiecie kwitnącym
w Tajemnicy Światła
trwam pośród szeptów
by chłonać ich głosy

Polszczyzna pod respiratorem

Słowa – lepkie kruszyny wydobywające się z otworu człowieczych ust, obtoczone drobinkami śliny i niestrawionego jedzenia. Zaplątane gdzieś w długą wstążkę języka, której nikt nie zawiąże na włosach kilkuletniej dziewczynki. Tryskające z ruchliwych warg niczym pociski z zardzewiałej broni bojownika z Ameryki Łacińskiej. Słowa z duszą i ciężarem kamienia oraz łagodne, o fakturze przypominającej ulubiony budyń dzieciństwa. Nabrzmiwające strachem jak piersi nastoletniej dziewczyny, która pewnego dnia zachodzi w ciążę, pęczniące minutami i godzinami jak jej brzuch. Słowa ogolone z godności jak młody rekrut z majtkami pełnymi strachu i woni bezpiecznego dzieciństwa przy maminej spódnicy. Słowa z jadeitowym wnętrzem i jubilerskim szlifem, inkrustowane cennymi kryształkami dobra. Słowa brudne, wykopane przemocą z ust, pełne gleby zmieszanej z krwią, wijące się po ziemi w poszukiwaniu kawałków bandaży i dotyku czułości. Kiwające się na krawędzi mównic, wysokich katedr i stołów jak zapomniane sieroty, z brudnym, wystrzępionym flakiem szmat, który kiedyś był miściem-przytulanką. Słowa-śruby, wwiercające się głęboko w strukturę czaszki, by potem dostać się do gąbczastej materii mózgu, penetrujące oraz inwazyjne. Nie powiedzą „przepraszam” i nie wysyczą „sorry!”. Słowa bekające prostacko prosto

w delikatne nosy naszych kobiet, prychające jak narowiste konie, pełne zgnitego mięsa brutalności i bzyczące natrętnie muchami. Tylko chwycić za łapkę na owady i... Pac! Pac! Pac! Wyrazy przypominające świeże wymioty i wywołujące torsję, pełne nitek śluzu oraz cząsteczek jadu. Pełzające po duszy jak suche jaszczurki i badające nasze uczucia dwutorowym językiem. Skaczące jak sprężyny po ludzkiej pamięci, żyjące krócej od codziennego wydania lokalnej gazety i wieczne jak granit pomnika. Słowa bezimienne, z zakneblowanymi ustami, uśmiercone strzałem w tył głowy i pochowane w masowym grobie. Słowa odważne, biegnące wprost na atakującego wroga, wykrzywane i wyszarpane z duszy, położone na chybliwych szalkach wagi losu.

W *Słowniku frazeologicznym języka polskiego* opis i definicja dotycząca wyrazu „słowo” zajmuje aż trzy i pół strony¹. Okazuje się, że są słowa święte, wiążące, złote, wstępne, bez pokrycia, ostatnie, banalne, wielkie i pospolite. Można zmrozić komuś słowa na ustach, zapomnieć słów w ustach, słowa cisną się na usta, wpływają z ust, zamierają na nich, dźwięczą w uszach, nasuwają się, płyną równo, bez przeszkód, ciurkiem, z łatwością². Pojawiają się przysłowia dotyczące słów – „Mądrej głowie dość dwie słowie”, „Słowo się rzekło, kobyłka u płotu”, „Słowo wróblem

1 S. Skorupka, *Słownik frazeologiczny języka polskiego*, Warszawa 2002.

2 Tamże.

wyleci, a powraca wołem”³. Słowa przedostały się także do religii – *Ewangelia według św. Jana* zaczyna się od tych jakże znanych zdań: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo. Wszystko przez Nie się stało”⁴. Słowo – czyli greckie *Logos* jest tutaj synonimem samego Boga. Tym samym okazuje się, że może ono stać się nawet Bogiem, tak wielka jest jego moc i siła, tak wielkie zdolności do metamorfozy przechowuje w swym odwiecznym bycie.

Słowa mogą być także zastosowane w zmaganiach wojennych, są znakomitym orężem. Jeremi Przybora jest autorem jakże znanego zdania: „Słowa rozpalone nienawiścią podpalają nie gorzej niż zapalka”⁵. W *Księdze Hioba* możemy zaś przeczytać: „Ileż potęgi jest w słowach szczerych!”⁶. Emil Cioran w *Złym demiurgu* napisał: „Marzę o języku, którego słowa, niczym pięści, gruchotałyby szczęki”⁷. Pisarz Joseph Conrad wołał: „Daj mi właściwe słowo i odpowiedni akcent, a poruszę świat”⁸. Pozostając przy terminologii wojennej – może więc być słowo i twierdzą, co strzeże kultury i dziedzictwa narodowego danej społeczności. Jest niczym pies agresywnej, obronnej rasy, strzegący posiadłości swego pana. I tak samo jak ten czworonóg może zostać usidlone kagańcem – moralności, opinii publicznej, prawa natury. W podręcznikach do nauki historii nie brakuje przykładów na poparcie tej tezy. W warunkach polskich ani procesy rasyfikacji, ani germanizacji nie zdołały pokonać słowa polskiego. Czasami zniekształcały je, modyfikowały, bywało,

iż nawet wypaczały, ale nie zdołały doprowadzić do eksterminacji polskości. Wystarczy wspomnieć choćby strąk dzieci wrzesińskich, broniących mowy ojczystej.

Kobiety niańczące wyrazy

Na ogół zaszczytny obowiązek zaszczepienia w młodym pokoleniu miłości rodzimego języka spoczywał na polskich kobietach. Bezustannie zmęczone, senne, z podkrążonymi oczyma, ledwo widoczne zza sterty ubranek do cerowania i stosu brudnych naczyń do mycia, musiały znaleźć czas na wstrzyknięcie w żyły swoich pociech roztworu polskości. Uchodziły za te, które mają „moc kształcenia dusz, pobudzania do rzeczy wielkich, przekazywania [...] pierwszych i niezbędnych pojęć”⁹. To matka miała za zadanie nauczyć dzieci ojczystej historii, opowiedzieć o „wielkich i ważnych wydarzeniach oraz znakomitych i sławnych bohaterach narodowych”¹⁰ oraz przedstawić im podstawy posługiwania się językiem polskim, rodzinnymi tradycjami i obyczajami, religią chrześcijańską. „Swoje uczucia narodowe niewiasty polskie mogły manifestować między innymi przez uczenie się i szanowanie języka polskiego. Nie powinny wyjeżdżać za granicę, by tam się uczyć, lecz miały poznawać rodzinną mowę i język w kraju przez czytanie *dzieł jedrynych i poważnych*, a przez uczciwą i solidną naukę i pracę miały ugruntować przywiązanie do nieszczęśliwej ojczyzny”¹¹. Poza tym „język ojczysty powinien stać się dla nich najcenniejszym skarbem, który trzeba ochraniać

3 Tamże.

4 *Pismo Święte. Nowy Testament*, Poznań 1988, (J 1:1-3).

5 Cyt. za: www.cytaty.info/temat/slowo/1 [stan na 15.08.2011].

6 Cyt. za: aforyzmy.internetdsl.pl [stan na 12.07.2011].

7 *Pismo Święte* (Hi 6,25).

8 Cyt. za: cytaty.eu/motywy/slowo.html [stan na 15.08.2011].

9 H. Perreye, *Do matek i niewiast polskich*, Lipsk 1866; cyt. za: M. Stawiak-Ososińska, *Ponętna, uległa, akuratna... Ideal i wizje-runek kobiety polskiej pierwszej połowy XIX wieku (w świetle ówczesnych poradników)*, Kraków 2010.

10 M. Stawiak-Ososińska, *Ponętna, uległa, akuratna...*

11 H. Perreye, *Do matek i niewiast...;* cyt. za: M. Stawiak-Ososińska, *Ponętna, uległa, akuratna...*

12 J. Niemirowski, *Błogosławieństwo ojca, czyli nauka w dzień zaślubienia córki swojej, treści moralnej, użytecznej i wcale nowej, ułożone i całemu plemieniu ludzkiemu ofiarowane*, Lwów 1848; cyt. za: M. Stawiak-Ososińska, *Ponętna, uległa, akuratna...*

i hołubić. Tylko nim należało się posługiwać¹². Tak więc „w warunkach narzuconych przez zaborców za punkt honoru uważano doskonałą znajomość języka polskiego, zaś posługiwanie się obcymi językami w mowie i piśmie traktowane było jak hańba i zdrada narodowa”¹³. Wśród ówczesnych patriotów krążyło wiele utworów w tak zwanych odpisach, które pobudzać miały do większego patriotyzmu: „Nie ubiegajmy się o to, co obce, pielęgnujmy polskie cnoty, obyczaje i mowę narodową [...]”¹⁴. Kobiety – oprócz pracy w kręgu rodziny, powinny w ówczesnych czasach oddawać posługi także społeczeństwu, między innymi przez wspomaganie ochronek dla dzieci. I tam znów miały pobudzać miniaturowego ducha patriotyzmu podlegających im maluchów, „zająć wychowawców w sposób łatwy i przyjemny przez cały dzień, wdrażać pierwsze pojęcia przez zabawę, nauczyć poznawania liter, pierwszych początków czytania, baczyć na etyczną stronę duszy dziecka i na fizyczny jego rozwój”¹⁵. Wierne ojczyźnie kobiety powinny także opowiadać maluchom pokrzepiające bajki z morałem, a także nauczyć je śpiewać piosenki codzienne i pieśni o charakterze religijnym¹⁶.

Nie można zaprzeczyć, że budowanie w dzieciach uczuć patriotyzmu za pomocą cegieł słów było niezwykle ciężkie i wymagało codziennej, czasami monotonnej pracy. Nic zatem dziwnego, iż: „W literaturze są tylko woły, orzą przez osiemnaście godzin na dobę, niezmordowanie. Słowa to ciągle wysiłek” – jak zapisał w *Dziennikach* Jules Renard¹⁷. Bywają jednak i tacy twórcy, których

można nazwać „le narcisses de l'écrivoire” – co po francusku oznacza narcyza kałamarza, czyli autora, który ceni sobie wszystko, co tylko napisze¹⁸. Zdaniem Paulo Coelho: „Pisanie nie polega jedynie na wyrażaniu myśli, to także głęboka zaduma nad wymową danego słowa”¹⁹. Kobiety nie mogły jednak oddawać się w tamtych czasach luksusowi pisania. Pisarstwo uchodziło bowiem za zajęcie typowo męskie, a damy, które odważyły się chwycić za pióro, na ogół pochodziły z wyższych sfer – przede wszystkim arystokracji. Ich pisanina była traktowana jako kaprys, zabawa, nieomal smakowite ciasteczko – ptifurka, które jest, a za chwilę już go nie ma. Przepadło, zniknęło w chciwych ustach łakomczucha. Klementyna Tańska była jedną z pierwszych publicystek, które utrzymywały się z wymachiwania piórem i stawiania na papierze liter, kolejną – Narcyza Żmichowska, która swoje utwory starała się zaopatrzyć w przekaz patriotyczny²⁰. Słowa były więc twierdzami, bastionami polskości również w drobnych, delikatnych dłoniach kobiet i nic nie traciły ze swej mocy i możliwości wpływania na czytelników.

Współcześnie postawa nieomal miłośnego przywiązania tylko do jednego języka, słodko brzmiącej mowy rodzimej, nie znajduje wielu naśladowców, choć jeszcze kilkanaście lat temu było inaczej. Badania CBOS z roku 1997 wykazały, iż 63 procent mieszkańców naszego kraju nie znało żadnego języka obcego, w roku 2009 było takich osób zdecydowanie mniej – już tylko 53 procent²¹. Z roku na rok rośnie zainteresowanie nauką języka angielskiego – badania z roku 2009

13 I. P. Legatowicz, *Prawidła pocziwego życia, czyli zadania rozmaite z różnych autorów, mianowicie greckich i łacińskich wyjęte, do moralnej nauki zastosowane, w porządek ułożone i uczącej się młodzieży obojej płci na pożytek poświęcone*, Wilno 1852; cyt za: M. Stawiak-Ososińska, *Ponętna, uległa, akurтна*...

14 *Polki do Polek*, Kraków 1848; cyt za: M. Stawiak-Ososińska, *Ponętna, uległa, akurтна*...

15 Ż. Grotowski, *Rozwój zakładów dobroczynnych w Warszawie*, Warszawa 1910; cyt za: M. Stawiak-Ososińska, *Ponętna, uległa, akurтна*...

16 *Egzamina w ochronach warszawskich*, „Czytelnia Niedzielną” 1861, nr 34; cyt za: M. Stawiak-Ososińska, *Ponętna, uległa, akurтна*...

17 A. Domosławski, *Kapuściński non-fiction*, Warszawa 2010.

18 W. Kopaliński, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, Warszawa 1968.

19 P. Coelho, *Czarownica z Portobello*; cyt. za: cytaty.eu/motywy/slowo.html.

20 M. Stawiak-Ososińska, *Ponętna, uległa, akurтна*...

21 „Gazeta Wyborcza”, 15.04.2011.

pozwołyły stwierdzić, iż 24 procent potrafiło posługiwać się językiem angielskim, a 20 procent – rosyjskim. Warto także przypomnieć, że co trzeci ankietowany przyznał się do znajomości przynajmniej jednego języka obcego, co dziewiąty – dwóch języków, a trzy procent badanych deklarowało znajomość przynajmniej trzech języków obcych²². Ankietowani okazali się być wyposażeni w szereg umiejętności językowych, potrafili poruszać się we współczesnym świecie, tej globalnej wiosce Ludluma. Czy da się jednak stworzyć świat posługujący się jednym określonym językiem, używający tych samych słów na określenie pewnych stanów emocjonalnych? Czy słowa rodzimego języka mogą przestać być swoistymi twierdzami ochronnymi? Okazuje się, że prawdopodobnie nie byłoby to dobrym rozwiązaniem. Zdaniem filozofa Leszka Kołakowskiego: „Wierzyć w uniwersalność europejskiej tradycji nie znaczy jednak bynajmniej głosić ideał świata ujednolitego, dzielącego wszędzie te same gusta, te same wierzenia (czy raczej żadne), ten sam sposób życia, czy wręcz ten sam język [...]”²³. Jednocześnie myśliciel ten dodawał: „Technologiczna ekspansja Zachodu oznacza zarazem obumieranie dziesiątków małych jednostek kulturalnych i języków, a jest to proces, z którego doprawdy nie ma powodu się cieszyć. Nie ma nic radosnego w tym, że wielka rodzina języków indoeuropejskich, gałąź celtycka, umiera na naszych oczach nieodwracalnie, jak się zdaje, mimo wszystkich wysiłków, by jej wygasanie zatrzymać. [...] Nawet języki starych kultur, jak arabski lub hindi, ustępują pola językom europejskim na nauczaniu nauk nowoczesnych, nie dlatego, rzecz jasna, by były niezdolne do nadrobienia dystansu, ale dlatego, że chodzi o szybkość i współzawodnictwo. Żałosne widowisko, którego korygować nie mamy prawie sposobu”²⁴.

Słowa mogą wypadać z ludzkich ust szybko jak pociski z karabinu maszynowego, mogą ranić

rozmówcę i pozostawiać z bolesnymi śladami, doprowadzić go do wykrwawienia. Słowa mogą też koić ból pojedynczego człowieka lub grupy ludzi, potrafią działać niczym znieczulenie i szamański okład z magicznych ziół oraz chleba z pajęczyną. Mogą także być niczym twierdza – budowana z cegieł słowo po słowie, zdanie po zdaniu. Zaprawą jest ślina, poziomica – ludzkie doświadczenie, a kielnią – koniec języka. Słowo nałożone na słowo, podmiot na orzeczenie – szybko rośnie mur obronny przed atakami lingwistycznych wrogów oraz logopedycznych szaleńców. Bywają także słowa-zagadki, słowa-frankensteiny ulepione z różnych, czasami nawet niepasujących do siebie elementów. Zdaniem filozofa Leszka Kołakowskiego, wyrazy te pojawiają się przede wszystkim w żargonie dziennikarskim, przenikają do prasy i innych środków masowego przekazu, by ostatecznie uwić kokon w umysłach zwykłych ludzi. Wśród takich słów wyróżnił szczególnie jedno – „europocentryzm”. Cierpliwie wyjaśniał czytelnikom swojego eseju *Szukanie barbarzyńcy. Złudzenia uniwersalizmu kulturalnego*: „Słowo samo należy z pewnością do tej obfitej klasy pojęć skomponowanych jak worki na śmiecie. Wiele jest takich słów wygodnych, których beztrudno i o definicję się nie troszcząc używamy i do których upychamy zazwyczaj pewną ilość absurdów jawnych, niewartych zwalczania, pewne stwierdzenia faktycznie prawdziwe czy fałszywe, pewne oceny nadające się lub nie nadające się do obrony, przy czym dobry użytek słowa polega na tym, że skupiając niszczycielską uwagę na absurdach mgliście z nim skojarzonych, atakujemy idee, które nie tylko na obronę zasługują, lecz których obrona może okazać się kluczowa dla losów cywilizacji. Są to zatem słowa par excellence ideologiczne, lecz nie dlatego, iż zawierają składniki normatywne, ale dlatego, iż funkcja ich na tym polega, by nie dać rozdzielić

22 Tamże.

23 L. Kołakowski, *Szukanie barbarzyńcy. Złudzenia uniwersalizmu kulturalnego*, [w:] L. Kołakowski, *Nasza wesoła apokalipsa. Wybór najważniejszych esejów*, Kraków 2010.

24 Tamże.

kwestii logicznie niezależnych, a treść normatywną utaić w pozornych stwierdzeniach opisowych²⁵. Jakie to są zatem słowa? Ciekawość czytelnika została pobudzona, z niecierpliwością skoncentrowaną w żrenicy poszukuje on odpowiedzi wśród kolejnych wersów eseju Leszka Kołakowskiego: „Lista takich słów w żargonie dziennikarskim jest dość długa; obok europocentryzmu mieszczą się tam, po stronie czarnej, słowa takie jak elityzm lub liberalizm, a po stronie białej – takie jak egalitaryzm, sprawiedliwość społeczna, humanizm, wyzwolenia i tym podobne²⁶”.

Co dzieje się ze słowami, które dany autor wydobyl z wnętrza swego drogiego wiecznego pióra, zwykłego długopisu, pogryzionego ołówka czy zakurzonych klawiszy na komputerze? Zgodnie z teorią informacji amerykańskiego matematyka i inżyniera Claude E. Shannona – trafiają w formie komunikatu do odbiorcy, oczywiście pod warunkiem, że po drodze nie natkną się na szumy, wszelkiego typu zakłócenia. Wwiercają się w uszy drgające nerwowo w poszukiwaniu wiedzy, zostają zapisane na pomiętych kartkach, w notesach, w formie plików komputerowych. Jeden z bohaterów powieści Eugeniusza Paukszty *Przejaśnia się niebo* ujął to tak: „Wielcy ludzie zawsze notują swe myśli gdzie bądź. Treść ważna²⁷. To notowanie słów może mieć jednak również charakter negatywny. Wówczas zapisane wyrazy stają się niczym groźny, poszczekujący agresywnie pies sąsiada – chcą nas ugryźć, zranić. Tak było na przykład w powieści *Znak żółwia* Eugeniusza Paukszty. Wujek jednego z bohaterów książki starannie, z pedantyczną dokładnością zapisywał wszelkie poniesione na niego wydatki: „Zapisywał dokładnie koszty mojego utrzymania. Pranie, jedzenie, książki, bilet do kina, mydło... Że kiedyś to zwrócę, z jego strony to tylko pożyczka²⁸”.

Słowa z podkulonym ogonem

Słowa nie zawsze mają współcześnie tyle mocy, by uchodzić stale za solidnie zbudowane, mocne twierdze polskości w ogniu hartowanej. Być może powinny trafić pod szpitalny respirator? Zresztą jakże mają takimi być, skoro tak wiele osób odmawia słowom znaczenia w XXI wieku. Polskie słowo jest coraz słabsze, blednie, ma pewnie anemię – powinno trafić pod wzmacniającą kroplówkę ustawy o języku polskim z roku 1997. Skąd taka diagnoza? Może pan doktor postawił błędną? Niestety, wyniki ankiet wykonanych przez Pracownię Badań Czytelnictwa Biblioteki Narodowej, we współpracy z TNS OBOP przeprowadzone w listopadzie 2010, a upublicznione w lutym 2011 – nie nastrajają optymistycznie. Okazało się bowiem, iż jedynie tylko ponad 40 procent mieszkańców naszego kraju miało w ostatnim roku kontakt z książką²⁹. Z kolei aż 57 procent badanych w wieku 30-39 lat nie przeczytało w ciągu ostatniego roku ani jednej książki³⁰. Oznacza to, że w naszym kraju rośnie pokolenie czytelniczych analfabetów. Nie trzeba już przeprowadzać akcji wynaradawiających, germanizacji czy rusyfikacji – skoro sami stronimy od aktywnego używania rodzimego języka. Co stanie się z nim w przyszłości? Już pisarka Anna Kamińska zadawała sobie trwożliwie pytanie: „Cóż może powiedzieć ktoś opuszczony przez słowa?”³¹.

Jaki nasuwa się wniosek? Czyżby polska mowa była zagrożona? Czy język polski stanie się martwym, włożony do zapomnianej, ciemnej, ponurej szary, pełnej fruujących moli? Bohaterowie książek Eugeniusza Paukszty bardzo często podejmowali walkę z niesfornymi literami, buńczucznymi słowami, które nie dawały się okiełzać na papierze. Niektórzy nawet ledwo

25 L. Kołakowski, *Szukanie barbarzyńcy...*

26 Tamże.

27 E. Paukszta, *Przejaśnia się niebo*, t. 2, Poznań 1976.

28 Tenże, *Znak żółwia*, Poznań 1986.

29 Zob.: <http://www.rp.pl/artykul/613345.html?print=tak>.

30 Tamże.

31 Zob.: cytaty.eu/motywy/slowo.html.

posiedli umiejętność zapisania swojego imienia i nazwiska. W powieści *Przejaśnia się niebo* ojciec Budniak tak wypowiada się o swej córce Stefie: „Głupia? Pewnie, że jej wiele brakuje, szkół nie ma, z biedą się teraz potrafi podpisać, nagryzmolić parę ubogich zdań”³². Pewne problemy, choć zapewne o wiele mniejsze, ma z pisaniem także pułkownik, jeden z bohaterów powieści *Buntownicy*: „Lakował pieczęcie, zebrało się sporo tych pism [...]. Przeciągnął ramiona. Przez czas niewoli odzwyczaił się od pisania, nużyło go teraz”³³. Wśród wielu bohaterów stworzonych przez pisarza, byli jednak tacy, którzy doceniali wagę słowa, widzieli w nim twierdzą i obronę przez zapomnienie, pędzącym, miażdżącym wszystko walcem historii. Warto w tym momencie przypomnieć choćby Pawła z powieści *Wrastanie*, który snuł takie oto refleksje o tworzonemu przez siebie pamiętniku: „Patrzę na zeszyt i myślę: *Na co ci Paweł to pisanie potrzebne?* Ludzie mówią, że teraz nic, tylko głębie trzymać zamkniętą na skobel. Co zaś dopiero pisać... Ale ciągnie od tamtego czasu, jeszcze sprzed wojny, kiedy to w *Wiciach* namówiono mnie, żeby coś posiać na konkurs pamiętników chłopskich. *Ty potrafisz, nauki liznąłeś, działacz jesteś społeczny, dużo wiesz i wieszaleś...* Bogać tam prawda, ale napisałem. Wyróżnili, wydrukowali. Od tego czasu lubię notować swoje i nie swoje sprawy, łatwiej mi przy tym myśleć”³⁴. Okazuje się zatem, że pisanie jawi się wielu twórcom jako swoista forma terapii, próba ułożenia chaosu myśli i naskórkowych czy głębszych wrażeń. „Dużo czytałem w tym czasie, trochę jakby uporządkowało się we łbie”³⁵. Wspomniany już Paweł wspominał na gęsto zapisanych przez siebie kartach: „Pan Tadeusz zawsze radził, żebym pisał, notował, że to naj-

lepszy materiał, dokument na przyszłość”³⁶. I znowu autora ogarnia zwątpienie, niemoc twórcza: „Głupota, że w ogóle piszę, nieszczęścia wyzywam. Ale wciąga mnie, myślę też, że dopomoże w końcu zrozumieć, na jakim świecie jestem”³⁷. Przed śmiercią ma życzenie, by jego syn z owych pamiętników wyciągnął dla siebie wiedzę wspartą doświadczeniem: „[...] gdy umrę, niech ten zeszyt i wszystkie poprzednie spakuje razem i dobrze schowa. A odczyta dopiero, jak dorośnie, jak skończy naukę. Nie wcześniej. I wtedy niech bierze przykład z tego, co w ojcu było mądre i dobre, a głupstw ma nie naśladować”³⁸.

I rzeczywiście, Tadeusz, uzdolniony syn Pawła, wcześniej zaczyna kontakt ze słowem pisanym. W domu brakuje książeczek dla dzieci, więc maluch podkrađa ojcowskie gazety, odczytuje z nich literę, mozolnie składa w słowa, choć początkowo nie rozumie ich znaczenia. Nie poddaje się jednak, maszeruje dalej po ciemnych ścieżkach wersów, badając je ostrożną, uważną stopą. W tym czasie wśród ludności wiosek czy małych miejscowości pojawiły się ciekawe inicjatywy. Mam wrażenie, że część z nich mogłaby być przetransportowana także do rzeczywistości XXI wieku. Ot, choćby taka – tanie książki można było wówczas kupić u listonosza.

Może więc warto i w czasach nam współczesnych sięgnąć po porady Eugeniusza Paukszty, który ustami Pawła radził, by wciągnąć się w czytanie jak w nałóg i nawet wtedy, gdy roboty powyżej uszu, choć na krótko sięgać chciwą dłońią po słowo pisane³⁹. Mimo iż ten nałóg grozi poważnym uzależnieniem się, warto go w sobie wyhodować. Nie zaprowadzi nas przecież przed oblicze wymiaru sprawiedliwości, nie będziemy oskarżeni o stosowanie dopalaczy – co najwyżej

32 E. Paukszta, *Przejaśnia się...*

33 Tenże, *Buntownicy*, t. 1, Warszawa 1963.

34 Tenże, *Wrastanie*, Warszawa 1976.

35 Tamże.

36 Tamże.

37 Tamże.

38 Tamże.

39 Tamże.

dorobimy się alergii na kurz biblioteczny. Za cenę zdobycia wiedzy warto zdecydować się na katar sienny i częstsze sięganie po chusteczkę higieniczną.

Degradacja słowa publicznego

Zdaniem Leszka Kołakowskiego: „Degradacja mowy publicznej, gdyby przyjęta została jako trwały składnik życia i gdyby udała się całkiem, oznaczałaby śmierć każdej zbiorowości, również zbiorowości narodowej i byłoby tak nawet wtedy, gdyby mowa życia codziennego przechowywała swój autentyzm. Wówczas bowiem mowa służyłaby przekazywaniu prawdy tylko w prywatnym małym życiu, ta zaś mowa, która jest niezbędnym narzędziem kulturalnej wspólnoty, przestałaby istnieć, wyparta bez reszty przez co dzień inny, a zawsze trupio sztywny hałas obrzędowych zaklęć i egzorcyzmów. Naród straciłby narzędzie, w którym wypowiada zbiorową swoją świadomość, utraciłby przeto poczucie, że sam jest podmiotem stających się dziejów własnych, czyli – co na jedno wychodzi – przestałby być tym podmiotem faktycznie. Nie twierdzę, że tak już się stało, ani nawet, że już jesteśmy na progu śmierci, ale nacisk, co zmierza do wyjąłowania słowa polskiego i odebrania go Polsce, nie ustaje ani na chwilę i bynajmniej nieskuteczny nie jest”⁴⁰. I tak przy okazji dodawał ostrzegawczo: „Oto, w jaki sposób wynaradawiać się można niepostrzeżenie prawie, nie tracąc, ściśle biorąc, mowy ojczystej, ale tracąc wartość mowy jako narzędzia narodowego trwania, odzierając mowę publiczną z sensu i oddając w ręce cudze”⁴¹. Choć filozof pisał o procesie sowietyzacji w naszym kraju, ujął jednocześnie proces uniwersalny. Mając na uwadze, jak ważne funkcje pełni język w życiu narodu, nazywał go

z rozmysłem „spoiwem narodowej świadomości”⁴². Przestrzegał czytelników: „Kultura narodowa nie jest wszakże złotą sztabą, którą można w ziemi zakopać i po latach nietkniętą wydobyć, nie jest także zabytkiem muzealnym albo biblioteką chwilowo nieczynną. Jest formą aktualnego trwania narodu. Przechować ją można tylko jako kulturę żyjącą, a więc tylko w oporze przeciw degradacji mowy publicznej [...]”⁴³.

Degradacji słowa publicznego trzeba zapobiegać – starał się to zresztą zrobić sam Eugeniusz Paukszta. Cenił sobie choćby spotkania z czytelnikami – chętnie nawiązywał z nimi konwersację, która często wykraczała poza tematy książkowe, dotykała także spraw narodowych, politycznych – jak wspominał syn pisarza, Dominik Paukszta⁴⁴. „Ojciec zawsze bardzo starannie przygotowywał się do tematów, które miał zamiar poruszyć w swojej twórczości. Spędzał dziesiątki godzin w bibliotekach, zapoznawał się z niezliczoną ilością publikacji dotyczących konkretnego tematu. Przede wszystkim szukał informacji u źródeł, u osób, które były autorytetami w danej dziedzinie lub które były w danej dziedzinie profesjonalistami”⁴⁵. Uznawał, że zawód pisarza to olbrzymia moralna odpowiedzialność. Swemu synowi pozostawił nawet dedykację dotyczącą tych spraw: „[...] Dominikowi, aby pamiętał, że pisarstwo jest zawodem bardzo trudnym, angażującym całe wnętrze ludzkie: serce, duszę, nerwy; że jest równoległym życiem za wielu, wielu innych; że pisarz bardziej może od innych tęsknić i potrzebuje tkliwości, czułego słowa, muśnięcia przez włosy, dobrego wejrzenia; że dając wszystko, chce także brać...”⁴⁶. Słowo czułe mu się marzyło – jawiło, nie mocarne i odważne, w pełnej zbroi i z szablą w dłoni, ale rachityczne, wiotkie, do-
brotliwe.

40 L. Kołakowski, *Sprawa polska*, [w:] L. Kołakowski, *Nasza wesoła...*, op. cit.

41 Tamże.

42 Tamże.

43 Tamże.

44 *Wspomnienia o Eugeniuszu Paukszczie*, Stowarzyszenie Przyjaciół Gminy Koczała, 2008.

45 Tamże.

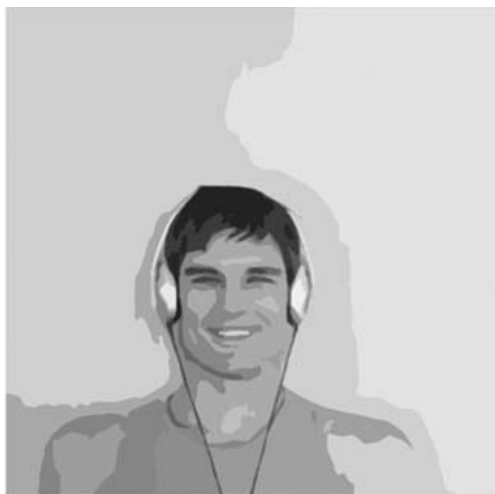
46 Tamże.

Cenił każdy napisany przez siebie wyraz, smakował go czasami długo, nim pojawił się nieodwracalnie na kartce papieru i skaleczył czystą przestrzeń swoim cieniem. Takie to było to jego uszanowanie poskręcanych, sprężynujących literek. Przez wiele lat słuchał uważnie przekazów w Radiu Wolna Europa i wzmagał w ten sposób swój pisarski patriotyzm w dżungli sowietyzacji⁴⁷. To na falach eteru on i wielu jemu podobnych wychwytywało swoje słowa-twierdze, których nie musiało odwozić karetką na sygnale do szpitala, by je zaintubować i umieścić pod respiratorem.

47 Tamże.

W poprzednich latach takie słowa-twierdze niczym grody warowne pojawiały się na kartach książek, okolicznościowych odezw czy też były dyskretnie przenoszone z ust do wnętrza ciekawskich uszu. Dzięki nim my, Polacy, mamy teraz swoją ojczyznę na mapie Europy i ta biało-czerwona łątka, przypominająca nieco krzywy, wyszywany, kolorowy patchwork, jest najbliższa naszej duszy.

(II nagroda w XII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszy w Kargowej ph. „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów”).





Maria Jazownik, Leszek Jazownik

Jak wyrazić wojenną traumę? O wierszach poetów lubuskich

W tomikach, które wyszły spod pióra starszego pokolenia poetów naszego regionu, można znaleźć sporą grupę wierszy, traktujących o rzeczywistości II wojny światowej. Utwory te ukazują obrazy okupacji hitlerowskiej oraz agresji sowieckiej, zawierają literackie zapisy doświadczeń frontowych oraz przeżyć wyniesionych z łagrów i łagrów, przywołują wspomnienia zbrodni dokonanych zarówno przez hitlerowców, jak też przez kolaborujących z nimi ukraińskich i litewskich nacjonalistów. Jest to

liryka przesiąknięta ogromem ludzkiego cierpienia. Nie jest łatwo je wypowiedzieć, a tym bardziej – ująć w artystyczną formę. Rodzą się dylematy: czy lepiej tragizm wojennej rzeczywistości zobrazować, czy też podjąć próbę jego wyartykułowania? czy ból człowieka należy wykrzyczeć, czy też może trzeba mówić o nim ze ściśniętym gardłem? z jakiej pozycji ukazywać doświadczenia wojenne, aby czytelnik lepiej je zrozumiał i głębiej uświadomił sobie płynące z nich przesłanie? Tego rodzaju pro-

blemy skłaniają do eksperymentowania w dziedzinie konstrukcji podmiotu lirycznego i jego wypowiedzi, a także – w dziedzinie kreacji adresata monologu lirycznego¹.

Sposób funkcjonowania podmiotu lirycznego

Niekiedy poeci dostarczają zobiektywizowanego opisu prezentowanych zdarzeń i sytuacji oraz akcentują autorytatywność opinii i ocen wyrażanych przez postać mówiącą. Służy temu usytuowanie podmiotu lirycznego poza światem przedstawionym utworu, np. w wierszu Henryka Szyłkina, ukazującym obraz Polaków uwolnionych z syberyjskich łagrow:

Zesłani Polacy wracają ze Wschodu:
zaszczuci, opluci, obdarci, ubodzy...
W oczach ich błyszczą ciagle łód Workuty,
a w uszach wyje nieprzebyta Tajga.

Henryk Szyłkin, *Powrót* /Pc/

Częstokroć postać mówiąca uwikłana jest w świat przedstawiony jako świadek prezentowanych sytuacji:

Rok to był czterdziesty, luty, chyba dzień trzeci,
Widziałem ich na wozie, matkę z trojgiem dzieci
Zawiniętych w kądziel, bo były tęgie mrozy
Bronisław Suzanowicz, *Nad „Anhellim” i „Dziadami”* /Pc/

Bywa też, że postać mówiąca występuje w roli uczestnika opowiadanych przez siebie zdarzeń.

Sytuacja taka ma miejsce w wierszu Bronisławy Wajs-Papuszy *Smutna pieśń* /PPm/, ukazującym prześladowania cygańskiej społeczności przez Niemców:

Ja, Cyganka, nie płakałam nigdy,
z płonącym sercem, konno szukałam Niemców
nocami, lasami, błędnymi drogami
i tak śpiewałam:
Ja, cygańska dziewczyna, bać mi się nie czas!
Raz mnie matka rodziła, umrę tylko raz!

Interesującym eksperymentem w dziedzinie konstrukcji podmiotu lirycznego stało się wykreowanie go na uczestnika zdarzeń, reprezentującego jednakże nie ofiary, ale oprawców. Oto w opublikowanym pod pseudonimem Antoni Nosewicz wierszu Henryka Szyłkina *Do wyzwolonych Polaków* /Wopk/ zaprezentowany został zbiorowy podmiot liryczny – żołnierze sowieccy, którzy we wrześniu 1939 roku wkroczyli na tereny Polski. Takie wystylizowanie podmiotu pozwala poecie ukazać skrajne zindoktrynowanie i prymitywizm myślenia stalinowskich żołdaków:

Zapomnijcie Polacy o Wilnie, Lwowie, Podolu –
Ziemia kułaków i panów – to już sowieckie pola.
Na nich kołchozy rozkwitną, a w nich
stworzymy raj.
Zostanie za Bugiem biedny – Nadwiślański Kraj.

Różnym sposobom kreacji podmiotu lirycznego towarzyszą urozmaicone metody operowania orientacją jego wypowiedzi. W wielu utworach

¹ Szkic powstał na kanwie referatu przygotowanego na konferencję naukową *Pamięć czasu Zagłady*, zorganizowaną 13-14 października 2009 r. przez Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego dla upamiętnienia 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Przedmiotem interpretacji stały się teksty zamieszczone w następujących tomikach poetyckich (po adresie bibliograficznym podany jest stosowany w artykule skrót tytułu tomu): J. Koniusz, *Ład i chaos*, Zielona Góra 1992 /Łc/; Z.B. Morawski, *Odrą pisane*, Gorzów 2005 /Op/; Z.B. Morawski, *Pejzaż myśli. Wiersze*, Poznań 1959 /Pm/; Z.B. Morawski, *Pieśni moich rzeczy. Wiersze*, Gorzów 1990 /Pmr/; *Pamięć i cierpienie. Antologia wierszy sybirackich*, wybór, wstęp i oprac. H. Szyłkin, Zielona Góra 1988 /Pc/; H. Szyłkin, *Powroty krajobrazów (wiersze)*, Zielona Góra 2005 /Pk/; B. Wajs-Papusza, *Pieśni mówione*, wybór, przekł. i wstęp J. Ficowski, Łódź 1973 /PPm/; B. Wajs-Papusza, *Pieśni Papuszy*, przekł., oprac., wstęp J. Ficowski, Wrocław 1956 /PP/; J. Werstler, *Ocalone w słowie*, Zielona Góra 2003 /Os/; J. Werstler, *Psalm o mieście*, Żary 2005 /Pom/; J. Werstler, *Rozpytywanie sumienia*, Żary 1988 /Rs/; *W ogniu, pyłe i krwi. Antologia wierszy o Wrześniu 1939*, wyb. i wstęp J. Koniusz, H. Szyłkin, Zielona Góra 1999 /Wopk/.

postać mówiąca koncentruje się na wojennych przeżyciach bohaterów. Na przykład opuszczający Syberię Polacy „gorzkie mają myśli”, „ponure wspomnienia” (Henryk Szyłkin, *Powrót* /Pc/). Technikę introspekcyjnej orientacji wypowiedzi podmiotu lirycznego zastosował także Janusz Werstler w wierszu *Kresy* /Os/, aby wyrazić nostalgię za ziemiąmi utraconymi przez Polskę w wyniku traktatu jałtańskiego. W wierszu tym narzędziem komunikowania uczuć żarski poeta uczynił grę słów, zasadzającą się na sympleke (tj. powtarzaniu początkowych i końcowych części wersu) oraz na antonimicznym zestawieniu wyrazów „kresy” – „bezkresne”:

bezkresna boleść i pamięć
bezkresny żal
bezkresne powroty
[...]
zwątpienia bezkresne
zatręsknienia i adresy
takie moje kresy.

Niekiedy poeci nadają wypowiedziom postaci mówiących orientację ekstraspekcyjną, pozwalającą na skoncentrowanie się na zachowaniach i wyglądach bohaterów. Anonimowo opublikowany wiersz Henryka Szyłkina *Polowanie na oficerów polskich* /Wopk/ ukazuje żołnierzy Armii Czerwonej, którzy we wsi na Wileńszczyźnie poszukują polskich dowódców wojskowych. Podmiot liryczny rezygnuje z dokonywania charakterystyki „krasnoarmiejców”, zastępuje ją opisem ich wyglądu:

Jeden z okiem Azjaty
trzymał karabin na sznurku,
drugi o posturze niedźwiedzia
nagan za pasem.

Wypowiedzi liryczne ujawniają rozmaity poziom kompetencji postaci mówiących. Daleko idące ograniczenie ich kompetencji cechuje technikę „oka kamery”. Wypowiedzi liryczne sprowadzają się do rejestrowania danych obserwacyjnych. Tego rodzaju ascetyzm uwidacznia się wyraziście

choćby w następującym fragmencie wiersza Zdzisława B. Morawskiego *Wspomnienie* /Pm/:

Alarm – bombowców miękkie ślizg
różańcem bomb w pacierz katakumb
ziemia poranek pieszczota mgieł
kikut z fontanną w czarny krzyż.

Wykorzystany w utworze zabieg artystyczny, polegający na nagromadzeniu rzeczowników, a także – metafor rzeczownikowych, *notabene* bardzo przypominający praktykę poetycką rosyjskich imażynistów, pozwala poecie osiągnąć trzy cele. Po pierwsze, sprawia, iż wiersz staje się niezmiernie ekspresywny; niczym na szybko przewijanej taśmie filmowej pojawiają się tu kolejne, dynamicznie następujące po sobie obrazy, pozwalające uwidatnić chaos zdarzeń wojennych. Po wtóre, wspomniane nagromadzenie powoduje, że czytelnik uzyskuje wizję świata uprzedmiotowionego, a przez to – „odczłowieczonego”. Po trzecie wreszcie, skumulowanie konstrukcji eliptycznych powoduje dużą kondensację myśli, a ponadto nadaje wypowiedzi swoisty dynamiczny, „nerwowy” rytm.

Skrajnie odmienna od techniki „oka kamery” jest technika kreacji podmiotu komentującego, kategoryzującego i oceniającego świat przedstawiony. Podmiot taki pojawia się np. w *Monologu zaprzyszłym* /Rs/ Werstlera. Bohaterem, a zarazem adresatem lirycznym wiersza, jest „porządny Niemiec”, który znalazł się w komendanturze obozu koncentracyjnego. W kierowanej do niego wypowiedzi podmiot liryczny wspomina jego przeszłość (opowiada o dzieciństwie spędzonym w Baden-Baden, o miłości do zwierząt, o planach zostania misjonarzem), ale także wyjaśnia i ocenia motywy jego aktualnego postępowania oraz kategoryzuje ludzi, za których śmierć ponosi on odpowiedzialność:

czyliś starania by ofiarom
zaoszczędzić cierpień
i zaoszczędziłeś
pierwszy raz wyręczył cię w tym fritsch

i zastosował preparat do zabijania robactwa
potem na zasadzie kojarzenia zaczął tępic

robactwoludzi
robactwożydów
robactwopolaków
robactworosjan
robactwocztery miliony.

Uposażenie podmiotów lirycznych w zdolność wyjaśniania, kategoryzowania i oceniania poszczególnych elementów świata przedstawionego pozwala poetom, wobec których podmioty owe pełnią z reguły funkcje *portes paroles*, na prezentowanie przemyśleń, podsuwanie skojarzeń, a wreszcie – prezentowanie konkluzji oraz point.

Charakter wypowiedzi postaci mówiącej

W większości przywołanych wierszy wypowiedzi postaci mówiących mają charakter relacji, opowieści o zdarzeniach minionych (*Powrót i Do wyzwolonych Polaków* Szykina, *Nad „Anhellim” i „Dziadami”* Suzanowicza, *Smutna pieśń* Papuszy, *Monolog zaprzeszy* Werstlera). Niekiedy wypowiedzi liryczne przybierają kształt prezentacji, w ramach której zdarzenia i sytuacje są uobecnianie i uaktualniane. Szczególną odmianą prezentacji jest uobecnianie zdarzeń za pomocą dialogu, jego przytoczenia lub zreferowania. Użycie dialogu pozwala wprowadzić czytelnika *in medias res*, wrzucić go niejako w sam środek wydarzeń i dać mu odczuć ich grozę. Dialogiem posłużyła się np. Papusza w wierszu *Krwawe łzy co za Niemców przeszliśmy na Wołyniu w 43 i 44 roku* /PP/:

Partyzantka „Czapajew” nadchodzi śmiało
i pyta Cyganów, co się tutaj stało.
– Niemcy chcą nas wymordować,
w las musieliśmy wędrować!
– Ach, biedniście, mnóstwo was – aż stu!

Trzecią – obok relacji i prezentacji – formą wypowiedzi stosowaną w wierszach jest refleksja. Pozwala ona poetom na dzielenie się przemyśleniami

i spostrzeżeniami. Postać refleksji nadał wypowiedzi lirycznej H. Szykin w wierszu *Obrazy* /Pk/. Liryk przynosi zadumę nad upływem czasu, wywołaną obserwowaniem przemian krajobrazu nad Wilią:

Krótką pamięć świata. Nie rób z niej nadziei.
Krajobraz też inny. To przywilej czasu,
aby pola ojców zarastały lasem.

Wykorzystywaniu form relacji, prezentacji i refleksji towarzyszy w liryce wojennej poetów lubuskich różnicowanie kreacji postaci mówiących pod względem motywacji ich wypowiedziania się. Zdarza się, że poeci sięgają po motyw oniryczne. Wspomnienia wojenne zostają wprowadzone wówczas jako koszmary lub mary senne. Oto np. bohater liryczny poematu Morawskiego *Ziemia dla żywych* /Pmr/ z powodu dręczącego bólu nie może zasnąć. Gdy zaś nad ranem przychodzi upragniony sen, przynosi on ze sobą obrazy wyrastające z traumatycznych doświadczeń wojennych:

Byłem w środku boju
Leżałem na lodzie cieniutkim wśród bagna
Kule dokoła obcinały trzciny
Ciałem lód dusząc wciskałem brzuch w wodę
I powtarzałem:
– Bagno częścią ziemi Ziemia jest dla żywych [...]

Z czasem następuje ocknięcie. Nie przynosi jednak ukojenia, przeciwnie, do sennych koszmarów dodaje koszmar na jawie – okazuje się, że został ogłoszony stan wojenny...

Niekiedy podmioty liryczne odwołują się do tego szczególnego źródła wiedzy, jakim jest empatia. Ich wypowiedzi są wówczas rezultatem rozumiejącego wczuwania się w postaci, których poglądy lub przeżycia starają się przybliżyć:

chodzę po tej ulicy twoimi stopami
oglądam stare witryny
twoimi oczami
moim sercem czuję
twój przyśpieszony puls [...]

Werstler, *Spacer po Niederstrasse Dolnej Osadników
Wojkowych* /Os/

Czasami postaci mówiące skazane są na przypuszczenia i hipotezy. Zdarza się, że postaci te gubią się w domysłach, a ich wiedza jest fragmentaryczna:

a głowa czyja to
a kosmyk a usta
a dłoń co rozpięchła

Werstler, *Brzezinka* /Rs/

Najczęściej monologi liryczne motywowane są retrospekcją. Ich wspomnieniowy charakter bywa sygnalizowany w tytułach utworów (*Pamięć głodu* Janusza Koniusza /Ł/, *Pulchne wspomnienia pulchnych berlinianek* /Op/ i *Wspomnienie* /Pm/ Zdzisława Morawskiego), częstokroć jednak uwidatniany jest w sposób bezpośredni: „Pamiętam ziemię zoraną ogniami” (Z. Morawski, *Pergamon* /Op/); „Dotąd to pamiętam” (B. Suzanowicz, *Nad „Anhellim” i „Dziadami”* /Pc/); „tyle lat trzeba pamiętać” (J. Werstler, *Cmentarz Wojenny w Żarach* /Pom/).

Wypowiedzi liryczne o charakterze retrospektywnym z reguły na różne sposoby są uwiarygodniane, np. poprzez wprowadzanie do nich rzeczywiście istniejących nazw własnych. W niektórych utworach mamy do czynienia ze znacznym nagromadzeniem tego rodzaju realistycznych elementów „scenerii”: „ja z Tarnopola / ja z Kałusza / ze Stanisławowa / ze Lwowa z Wilna / z Buczacza Drohobycza” (Werstler, *Narodziny miasta* /Os/).

Szczególnym sposobem uwiarygodniania wypowiedzi lirycznej jest zamieszczanie przez poetów objaśnień rzeczowych i językowych. Na przykład Henryk Szyłkin, świadom tego, że przeciętnemu odbiorcy mało znana jest dziś historia i kultura Północno-Wschodnich Kresów Rzeczypospolitej, opatruje swoje wiersze przypisami. Ich istotnym zadaniem częstokroć staje się ocalanie od zapomnienia jakiegoś fragmentu polskiej kultury, ginącego w pomrokach dziejów.

Wykorzystywanie przez poetów omówionych tu sposobów zwiększania wiarygodności wypowiedzi lirycznych sprawia, że wypowiedzi te traktowane są przez czytelników nie tylko jako komunikaty

artystyczne, ale również jako swego rodzaju artystycznie opracowane zapisy doświadczeń wojennych o istotnych walorach dokumentarnych.

Adresat wypowiedzi podmiotu lirycznego

Interesującym obszarem poszukiwań twórczych i eksperymentów artystycznych jest kreacja wizerunku postaci, do których kierowane są wypowiedzi podmiotów lirycznych. Częstokroć adresatami słów postaci mówiących stają się ofiary działań wojennych: Polacy, którym żołnierze Armii Czerwonej każą zapomnieć o Wilnie, Lwowie i Podolu (Szyłkin, *Do wywołanych Polaków* /Wopk/), Maria, która „w pośpiechu z naręczami swoich dzieci” biegnie przez kartoflisko w czasie nalotu bombowego (Werstler, *Odejście Marii* /Os/), Bóg (Papusza, *Smutna pieśń* /PPm/, *Krwawe łyżo co za Niemców przeszliśmy na Wołyniu w 43 i 44 roku* /PP/), lasy chroniące Cyganów (Papusza, *Leśna pieśń* /PP/), rumowisko (Papusza, *Gruzy wszystko przypominają* /PPm/). W poezji twórców lubuskich adresatami wypowiedzi lirycznych częstokroć są Niemcy traktowani jako ofiary wojny (Werstler, *Monolog zaprzyszły* /Rs/, *Spacer po Niederstrasse Dolnej Osadników Wojskowych* /Pom/, *Powalone miasto* /Pom/; Morawski, *Pulchne wspomnienia pulchnych berlinianek* /Op/).

Czasami postaci mówiące kierują swe wypowiedzi do Niemców, reprezentujących pokolenie powojenne. Taka kreacja wizerunku adresatów wypowiedzi lirycznych z reguły wykorzystywana jest przez poetów lubuskich do komunikowania idei pacyfistycznych, np. w wierszu Morawskiego *Pergamon* /Op/:

Wielkie ofiary padały
na stopniach ołtarza
Płonął tam Berlin
Ginęła Warszawa
– Wolfgang, usiądźmy
przy zniczach ludzkości
Porozmawiajmy o Helladzie

Formę przyjacielskiego zaproszenia adresowanego do byłego mieszkańca Żar ma wypowiedź postaci mówiącej wiersza Werstlera *Spacer po Niederstrasse Dolnej Osadników Wojskowych /Os/*:

przyjedź do mnie na spacer
po Dolnej przywitam
Cię szczerą dłonią
wszak nie ma we mnie
żadnej winy ani zawiści

Niekiedy do adresatów wypowiedzi lirycznej kierowane są słowa napomnienia:

Sąsiedzie nie podnoś na mnie ręki gdyż czuję
jeszcze stary ból
[...]
ucz się gestu otwartej dłoni
wszak ból nadszedł z Braunau nad rzeką Inn
a nie znad Wisły.
Werstler, *Do sąsiada zza Odry /Rs/*

Zdarza się, że adresatem wypowiedzi lirycznej jest po prostu człowiek współczesny. Z tak ukształtowanym adresatem nader chętnie identyfikuje się odbiorca tekstu. Odnosi on bowiem wrażenie, że poeta bezpośrednio przemawia do niego. Okoliczność ta sprawia, że utwory o wskazanym typie adresata częstokroć służą twórcom do tego, aby komunikować za ich pośrednictwem szczególnie ważne przesłania. Charakterystyczny pod tym względem jest poemat Janusza Werstlera *Rozpytywanie sumienia /Rs/*². Odbiorcą mono-

logu lirycznego jest tu człowiek, który wojnę zna tylko z opowiadań, książek i filmów. Poeta wprost zwraca się do niego:

już cię nie straszą
wyjące syreny
wilgotne oczy
ojca matki dziecka
obozowe majaki
przepastne doły
skażone wapnem

nie znasz tego przecież

a tymczasem
wojska dalekiego półwyspu,
odparty kolejny atak
napalm wypalił oczy
wszystkim dzieciom przedszkola
samolot z bombą
kręci piruety nad dachami miasta

Słowa utworu brzmią jak *memento*. Uświadamiają one, że człowiek współczesny całkowicie uodpornił się na ludzkie cierpienie. Z obojętnością odnosi się zarówno do wojennych doświadczeń ojców, jak też do dramatów otaczającego go świata. Nie wyciągnąwszy wniosków z przeszłości, nie jest w stanie przeciwstawić się otaczającemu go złu. Konieczność sięgania myślą do minionych zdarzeń wyrasta więc nie tylko z potrzeby upamiętniania przeszłości, ale przede wszystkim – z troski o przyszłość.

2 W około 300-wersowym utworze pojawiają się również inne jeszcze kreacje adresata wypowiedzi lirycznej. Instancja, która dałaby się określić jako „człowiek współczesny”, jest tylko jedną z tych kreacji.

Jedna chwila

Nie zmiany lecz powrotu do siebie potrzeba
by los nam pozwolił pozostać sobą
tym co się zawsze rozkoszuje w „jestem”
tak wciąż stoimy na życia okręcie
jedną chwilę

22.01.2007

Zapełnia myśl

Ta myśl
nieprzerwanie
myśl

wyobraźnią
czereśniami w sadzie
dojrzałymi
zapełnia się ta myśl

tobą
księżycem w nocy
światłem gwiazd
i cicho we śnie
wzdycha

29.03.2007

Małe akwarium

Za szybą otwarta przestrzeń
filozofia wchodzenia ciągle w inną wodę
ma się nijak z przemieszczaniem się
na krańcach tego samego H₂O
czasem tylko zmiana dekoracji

a co z wnętrzem samej ryby

nawet nie wie jak to jest...
płynąć ku szerokiej paszczy
i uniknąć zatracenia
jaka to siła pozwala iść
wciąż w nieznane

rozpacz i szczęście
smutek i radość
i zawsze nowe
może lepsze
akwarium świata

19.04.2007

Warto z przeprowadzką

Zdzisławowi

Wspomnień nie zabieraj
do innego świata
opatrzonych pólek
tych z kulawą nogą
nie zabieraj
stołu zgarbionego
na miarę do krzesła
na nie nawet dzisiaj
już nie spojrzysz
nie porzucasz przecież
a odchodzisz z twarzą
zostawiając
smutny wzrok
a teraz z tobą
w nową drogę idzie

7.08.2007

Przypomnienie Michała Kaziowa

W sierpniu tego roku minęło już dziesięć lat od śmierci (6.08.2001) Michała Kaziowa, który do ostatnich w zasadzie dni starał się aktywnie uczestniczyć w życiu literackim i społecznym nie tylko Zielonej Góry. Chcę przy okazji zauważyć, że coraz liczniejsze jest grono lubuskich pisarzy, którzy już wpisali się na listę umarłych. W tzw. międzyczasie mieliśmy do czynienia z kilkoma zmianami pokoleniowymi. Politycznymi i cywilizacyjnymi. Powoli, bo powoli, ale powstaje w oparciu o ten nieuchronny rytm biologiczny, pisarska tradycja, a wraz z nią dorobek literacki, który mam nadzieję kiedyś będzie odczytywany i weryfikowany.

Po przyjeździe z Poznania był tutaj Michał Kaziów jednym z niewielu, którym towarzyszył przez cały czas nimb niezwykłości. Znajomość z nim poczytywano sobie za zaszczyt. Przez wiele lat publikował w „Gazecie Lubuskiej” swoje coniedzielne felietony *Włącz radio*. Napisał ich kilkaset. Jako jeden z nielicznych w Polsce rozpoznawał i opisywał sztukę radiową, dzisiaj już w zasadzie prawie nieuprawianą. Przed nim różnorakie otwierały się drzwi, a także on w ludziach za każdym razem jakieś drzwi otwierał. Miał dobry dar słuchania. Na jego twarzy często gościł uśmiech. Wypracowany czy autentyczny, tego nie wiadomo. Dla ludzi zawsze miał czas, był otwarty na ich sprawy. W ten sposób niekiedy ciężkie, gorzkie, osobiste doświadczenia, z którymi się zmagali, nabierały innego wymiaru. Kaziów o tym wiedział

i starał się według swoich możliwości tę zdolność i szczególnie swój status wykorzystywać ku ich pożytkowi. To jego duża zasługa i osiągnięcie. Wiedzy o tym mogłyby dostarczać listy, które otrzymywał i do innych przez niego pisane. Jego dewizą było: dostrzegać człowieka nawet w sytuacjach świadczących o nim negatywnie. Starał się nikogo nie przekreślać, ale otwierać szansę drogi i wartości. Oczywiście nigdy nie stwarzał iluzji, że jej osiągnięcie będzie łatwe i możliwe bez wysiłku. Sam był przykładem w tej kwestii niezwykle wiarygodnym. Myślę, że ze względu na szczególność swojego losu miał prawo wskazywać taką szansę. Jeśli ponadprzeciętnie interesowano się jego zdaniem na różne tematy czy problemy, to dlatego, że jego opiniom przypisywano szczególną wartość, tak jak właśnie człowiekowi ślepemu czasem się przypisuje wartość pod każdym względem inną od obiegowej, potocznej czy oficjalnej. Wartość prawdy bezstronnej. Czystej, uczciwej. Do takiego odbioru przyczyniała się wiara w obowiązywanie tego wszystkiego, co płynie z głębi ciężko doświadczonego człowieka (jakby przez to innego), przepuszczone bowiem zostało przez wielorakie filtry i poddane próbom. A ta inność, czego nie trywializuję w żadnym razie, polegała – moim zdaniem – nie na jakichś wyjątkowych zdolnościach autora autobiograficznej książki *Gdy moim oczom*, w których byłaby wielka magiczna moc, ale po prostu brała

się z większej staranności i przykładania uwagi do wszelakich, duchowych problemów. To było Michała Kaziowa najważniejszym celem i przedmiotem, obrazowanym także w utworach literackich (opowiadaniach, powieściach) oraz w dość rozległej felietonistyce, w znacznym stopniu poświęconej zagadnieniom życia ludzi niewidomych i kwestiom moralnym. Oczywiście w takim odbiorze społecznym Michała Kaziowa ujawniała się ogromna potrzeba dotarcia do pewników, na których można byłoby się w życiu wesprzeć. Ludzie potrzebowali zaufania, ulgi w cierpieniu, pocieszenia, potrzebowali przekroczyć propagandowe wymiary, odciąć się od demagogii i kłamstwa, w czymś losie ujrzyć własny los, w akceptacji podmiotowych realiów egzystencji pozyskać impuls do zaakceptowania także własnego (lub bliskiej osoby) cierpienia czy klęski życiowej, by w ten sposób móc ją przewyciężyć. Wyrwać się ze swojej ciemności. Ten, któremu się udało to osiągnąć w o wiele gorszych warunkach, zasługiwał więc na uwagę.

Kaziów był w swoim kalectwie kimś zrehabilitowanym, choć przecież nie takim samym jak funkcjonujące obok niego społeczne otoczenie. Wszystkie podstawowe determinanty jednak niezmiennie określały jego codzienny byt inaczej niż kogokolwiek. O czym zresztą zapomniano. O tym, że jest ogromna różnica w zdobywaniu drogi życiowej w każdym momencie zupełnie samodzielnie, własnowolnie, od tej, na którą jest się zdany codziennie, w każdej godzinie, by spełniać wszelakie potrzeby biologiczne, kulturalne i intelektualne, nie muszą chyba nikogo przekonywać. Tu nie chodzi tylko o potykanie się o sprzęty i meble we własnym mieszkaniu, o niemożliwość zrobienia sobie nawet herbaty lub kawy, ale o konieczną obecność (i to nie jednej) pomocnej osoby. Każda z nich musiała w tym kontakcie wyjść naprzeciw, przekroczyć jakieś trudne granice. Zrezygnować z części własnego „ja” na rzecz drugiej strony. Wybrać życie nie do końca dla siebie. Michał Kaziów ogniskował w swojej osobie zagadnienia służenia drugiemu człowiekowi. Nie teoretycznie, w postaci pięknych intelektualnych

formuł, metafor poetyckich, co jest łatwe, ale konkretnie, realnie, bez żadnej zdobniczej oprawy. Tego wymagał brak wzroku (zwłaszcza wzroku), ciężkie kalectwo, a na dodatek brak obu rąk. Kto te dwa ucięte powyżej łokcia kikuty widział, ten wie, jak bardzo dramatyczny to obraz i ciężka sytuacja. Fundamentem, na którym mógł i musiał Michał Kaziów polegać, był więc zawsze ktoś obok. Ale zbudowanie harmonijnej relacji z drugim człowiekiem, z którym się skutecznie współpracuje, mogło być możliwe po zbudowaniu także siebie na nowo, poniekąd od początku. Młodzieńcowi wywodzącemu się z kresowej koropieckiej wsi, pełnemu witalności i planów na życiową, powojenną przyszłość, w jednej chwili dosłownie zawałił się świat. Nastąpiło cierpienie, ból, samotność, wyłączenie, ciemność. Na takiej klęsce przyszło Kaziowski jakby powtórnie się narodzić dla ogólnych wartości. Narodzić się, aby funkcjonować nie jako pacjent, nie skazaniec losu i tragicznego przypadku, i okoliczności. Ten proces, który w nim się wtedy dokonał, opisał w swej biograficznej powieści, wydanej w bardzo dużym nakładzie. Polegał on na zrealizowaniu żelaznej konieczności przesterowania, przekierkowania życia (odrzucając egotyzm, a wraz z nim bierność) na cele zewnętrzne, wspólnotowe, na bycie za wszelką cenę z innymi. Książkę jego czytał w swoich późnych latach, jak wiem, Jan Paweł II i fakt ten jest poświadczony listem do zielonogórskiego pisarza. Ponadto, to, co w lekkich rodzajach inwalidztwa lub kalectwa, a więc życiowej inności, może czasami być skutecznie przewyciężone, na tyle, że staje się w odbiorze niezauważalne, nie było możliwe do zrealizowania w przypadku Michała Kaziowa.

On zawsze był widocznie naznaczony, inny. Inny w swoim wnętrzu i w realnym obrazie. Pokonywanie oporów materii miało stale miejsce i zawsze taki sam był tego charakter. We wszelkich wysiłkach Haliny Lubicz – jego wieloletniej opiekunki – która wykonała ogromną pracę w przywróceniu Kaziowa światu, w takim momencie nie było ważne to, na ile została osiągnięta zwyczajność, bo było to raczej niemożliwe, ale

jakie przesłanie i wzór humanistyczny się w tym wysiłku realizował. Wszystkie jego osiągnięcia, które miały miejsce, a było ich sporo – zdobycie wykształcenia, doktorat, publikacja książkowa o radiowym słuchowisku, czyli radiowym teatrze wyobraźni, postaci niewidomego w oczach poetów polskich, uprawiana felietonistyka, książki prozatorskie poświęcone ludziom poszkodowanym, niewidomym (Silhan, Dolański), których cechowała wybitność w jakiejś dziedzinie, dzielność postawy, pracowitość, napisane poniekąd „ku pokrzepieniu”, lepsze, gorsze, i można je podawać zwłaszcza teraz ocenie nie według taryfy ulgowej – więc wszystkie dawały obraz ambicji i filozofii człowieka, który głosił, że „światło jest w ludziach”. To znaczy, że wielkie dokonania możliwe są we współpracy i przy respektowaniu idei poświęcenia. Kaziów marzył i wierzył w realność swojego prze-

fot. Cz. Łuniewicz



konania. Na jego przykładzie, jak w eksperymencie laboratoryjnym, został przeprowadzony dowód, iż każda nawet tragiczna sytuacja jest do przezwyciężenia pod warunkiem uwzględnienia racji i wartości drugiego człowieka. W tym nie było miłośności ani banału, ale raczej znamiona czegoś wielkiego, co powinno być przedmiotem powszechnego starania. Dlatego w wysokim stopniu Kaziów nie mógł pogodzić się z uzasadnieniem wprowadzenia stanu wojennego jako „mniejszego zła”. Natychmiast jego pozorną racjonalność zane-gował. Nadał własnemu twierdzeniu sens ogólniejszy i często w ogóle używał go w argumentacjach o charakterze aksjologicznym. Spojrzenie miał na temat zła i dobra – wydaje się – szersze. Ta chęć zaprezentowania odrębności myślenia przyczyniała się na różnych etapach życia, zwłaszcza od momentu obrony pracy doktorskiej, czemu nadano spory rozgłos (dokumentalny film Edwarda Skórczewskiego *Doktorant* z 1973), do unadzwyczajnienia osoby Michała Kaziowa, do tworzenia wokół niego, jak i Haliny Lubicz mitologicznej aury. Zdobywał Kaziów przyjaciół, łatwo nawiązywał kontakty, różni lektorzy służyli mu pomocą w kontynuowaniu pracy. Myślę także o cyklu fotografii Czesława Łuniewicza ukazujących zetknięcie ludzkiego z nieludzkim, a zarazem wizję człowieka odniesienia do drugiej osoby. Wystarczy też prześledzić publicystykę i reportaże poświęcone ich obojgu. Nieustający zachwyt i gloryfikacja. Również kilku poetów dedykowało mu swoje wiersze. Mogło się wielu wydawać, że Lubicz i Kaziów są nadzwyczajnymi ludźmi. Poniekąd odnieśli sukces. Na takich coraz usilniej media ich kreowały. Konotacje polityczne tego typu zabiegów były oczywiste. Funkcjonował wyidealizowany obraz, za którym nieobecna była druga, ciemna strona medalu. Nie da się ukryć, że Kaziów, a jeszcze mniej Lubicz, temu sposobowi widzenia swojej osoby się nie sprzeciwiali, co jest zrozumiałe. Kaziów lubił tę aurę uznania i docenienia. To był jego dorobek. Prestiż i autorytet. Jednak przyszedł czas lat osiemdziesiątych, kiedy zaczął mu bardzo uwierać taki usztatyniony model. Niezgoda, która w nim rosla, na otaczającą

rzeczywistość sprawiła, że zaczął się politycznie dystansować wobec samego siebie. Autokrytycyzm, chęć przewartościowania własnego światopoglądu, poszukiwanie innych niż doraźne sankcje egzystencjalne, kazały mu zwrócić się – najogólniej mówiąc – ku metafizyce.

Z racji częstego bywania w domu Michała Kaziowa obserwowałem jego poszukiwanie siebie innego, bardzo dramatyczne i konsekwentne, które dać mu miało nową wiarę i nadzieję. W jednym z felietonów z tego okresu, publikowanych w „Aspektach”, w uniesieniu iście mistycznym napisał, że wręcz dosłownie odzyskał wzrok, oczy, dostrzegł światło, wyszedł z ciemności. Ten zwrot,

publicznie potwierdzony, sprawił, że niektórzy spośród przyjaciół odsunęli się od niego albo zachowali dystans. A dla niego był to wybór najważniejszy – jak mi mówił – powrót do korzeni, a poniekąd do dzieciństwa. Był przekonany, że to, co zyskuje, jest o wiele ważniejsze od tego, co traci. Od czego odchodzi. Można rzec, że życie Michała Kaziowa dało obraz, a raczej obrazy, wkraczania na różne drogi. Raz z losowej konieczności, a innym razem z przemyślenia i wyboru. Poszukiwanie inności, innego siebie, także innych form wyrazu, w których mógłby pełniej wypowiedzieć swoje „ja,” stanowiło jeden z motorów jego działania.

fot. Cz. Łuniewicz



Granice, rubieże i progi... rozczarowań

Przestrzenie refleksji Kingi Mazur

Kilkadziesiąt wierszy Kingi Mazur, zebranych w tomiku *Już wiem* (Gorzów Wlkp. 2008), niewątpliwie może zapaść w pamięć m.in. dzięki niejednej interesującej refleksji, ujętej celnie i lakonicznie. Zresztą wydaje się, że to duży atut tekstów autorki, hołdującej zasadzie *brevitas* i dbającej o jej realizację z nadzwyczajną sumiennością. Narzucony reżim okazuje się również pierwiastkiem składowym decydującym o tajemniczych (czasem tylko pozornie) ścieżkach, jakimi zdąża myśl piszącej, wielokrotnie jedynie można się ich domyślać, zresztą nierzadko trafnie ze względu na szczególnie sadowione w konkretnych zapisach punkty zwrotne, wzmagające intensywność zdefiniowanych bardziej lub mniej precyzyjnie napięć. Te zaś, stare jak świat, wcale subtelnie indywidualizuje poniekąd odrębność zestawianych zjawisk, zmuszając do zastanowienia wobec niepowtarzalnego stanowiska, wynikłego zapewne z rozmaitych uwarunkowań, w jakich znalazła się K. Mazur, niemniej już w dziewiętnastym roku życia nagrodzona drukiem swojej twórczości w szesnastej „książce poetyckiej” z serii „Biblioteka Pegaza Lubuskiego”.

Do osiągnięcia rangę głównej strategii opisu urasta kontrastowanie odległych żywiołów, ich skrajne pozycje wskazują Boga, miłość, dobro, zło, śmierć itd. Te właśnie pojęcia – denotujące najszerszej pojmowane kresy ludzkiej wyobraźni, będące przedmiotem niewzruszonej wiary czy tylko

imaginacji albo też absolutnie niekwestionowanej rzeczywistości – to swoiste odniesienia kolejnych wynurzeń. Ich sens rodzi się dopiero wskutek poznania biegunowo antynomicznego „towarzysza”, najczęściej nieoczekiwanego i zaskakującego, niczym w barokowej syntezie niemożliwych, wydawałoby się, do połączenia przeciwieństw, choćby ognia z wodą. Mariaże tomiku wszakże otrzymują delikatniejszą formę, gdyż lokują w bezpośrednim sąsiedztwie fenomeny zupełnie odmiennych kategorii, jak np. modlitwa do Najwyższego za pośrednictwem Anioła Stróża i „stary miś / z oberwanym uchem” (*Do Anioła Stróża*). Taki grunt pozwala zmierzyć się z nieuniknionym, z odejściem z krainy dziecięcej beztroski, by już na kolejnym etapie życia ledwo poczuć „resztki świata niewinności”.

Znany ten motyw nieuchronnego porzucania wieku młodzieńczego oraz towarzyszące temu procesowi emocje nie opuszczają lektora zbioru zwierzeń z 2007 roku ani na chwilę, „kiedyś / troski ważyły tyle co motyl...”. W tym mitycznym „kiedyś” (*Kiedyś*), co należy rozumieć jako „dawniej”, „przynajmniej / był jakiś bóg...” (***) „Została sama”), choć raczej nie można powiedzieć, że – paradoksalnie – było różowo, skoro *Niedzielę Palmową*, mimo „wiary / zamkniętej w złożonych / dłoniach”, wieńczy „prima aprilis”. Dojrzałość prowokuje do kolejnych pytań,

o milczenie Pana Zastępów, literacka fikcja wszakże umożliwia sformułowanie odpowiedzi – „dziś Bóg jest stary i zmęczony / Bogu się nie chce” (*Bóg się starzeje*). Religijny dukt namysłu przydaje Bohaterowi ostatnich zacytowanych wersów potencjalny wygląd, w efekcie widzimy Go niskiego, piegowanego i z odstającymi uszama, oto przyczyna, dlaczego „nie schodzi / na ziemię” (*A gdyby*), ale nie tylko – zwłaszcza Jego strach przed zamarciem wiary (samego) „w siebie” oraz (samego Boga i zarazem człowieka) „w Boga” ponoć skutecznie odstręcza od takiego ruchu. Nienowa, wyjąca żalem i arbitralna ocena, aczkolwiek wypisana utalentowanym piórem, z wyższością mówiącego „ja” naiwnie rozstrzyga o motywach postępowania przeleknionego Jahwe. Ale wymykająca się z rąk stabilizacja z jasno wyznaczonym celem skutkuje wstrząsem, akcentującym potrzebę harmonii: „dogorywały ostatnie ideały” (***) „Dom udręki zasypiał”).

Wielokrotnie boleśnie zawiedziona nadzieja, jakby niezrekompensowany dług szczerej, prostodusznej wiary – „czubek drzewa łaskotał stopę Boga” (*Kiedys*)... I na ten dysonans znalazło się rozstrzygnięcie, bardziej przyziemne, bliższe ludzkiej istocie – „to wiara cię prowadzi” (*Wiara*), a zatem w zastępstwie pojawia się inne remedium, tytułowa ufność – „podsusza przyjaciół”, gwarantuje nawet wieczność, a to przecież „nie Bóg”. Może dlatego, że podmiot w innym wierszu donosi, iż wolałby „być diabłem” (*Mówisz mi...*), choć to raczej prowokacyjna poza, podobnie jak insynuacja kierowana do Śmierci – „jakże tobie musi być nudno...”, bo przecież tam „nie ma / ani kropli alkoholu” (*Śmierć*). Nie trzeba się łudzić, Pani *Mors* na pewno nie narzeka na brak atrakcji, tańczy, i to nie w pojedynkę, lecz w całych korowodach, zabawia się słabościami jednostek, więc bezsprzecznie znajdzie się w jej otoczeniu jakiś podczaszy... Tam w zaświatach na biesiadach nie oszczędzają, wszak „scałowane” anioły nie zdołali ukryć „wczorajszego alkoholu” (*Twoje anioły*).

Ostatni wzmiankowany tekst, choć sięga poetki nieba jedynie ilustracyjnie, zwraca uwagę na

inne wyznania spod znaku powszechnie odczuwanych uczuć granicznych. *Nienawiść* „jest piękna”, „bardzo szczupła” i „zagląda do serc”, nadto jest „dużo silniejsza od miłości” i „łatwo wciska się między dwoje”. Tak skonstruowany ciąg logiczny oddaje jedną z wielu wstydliwych prawd o mechanizmie sączenia wzajemnych niechęci. Tę siłę namierza autorka bezwzględnie, a w kolejnym wierszu pt. *Ona* dopowiada m.in.: „zapraszała mnie”, ale „Już wiem / nie jestem [...] ciekawa”. Grupa tych enuncjacji, zebrana pod wspólną nazwą *Personifikacje*, ugruntowuje topografię aksjologiczną tomiku, oto tytuły niektórych utworów – *Miłość*, *Zła miłość*, *Dobra miłość*, *Moralność* czy wspomniana *Nienawiść*. W antologii tych wartości nie mogło też zabraknąć namysłu nad wiecznością, smutnym jej losem – „Oto szara rzeczywistość / wieczności” (*Wieczność*). Wypełniona emocjami książeczka unika kompromisu przynajmniej w jednej kwestii, mianowicie nudy, choćby za cenę szaleńczej niedorzeczności aktu lkar – „i z wielkim guzem / spadłam na ziemię // – Uderzyłam się o siódme niebo” (***) „Chmury wyglądały na miękkie”) czy przesadnych uciech biesiadnych – „I zawsze o pół litra / za bardzo zmęczona” (*Błogozniewstawiona*). Nawet w zastoj zimowego bezruchu „nosi letnie sukienki”, by „drzeć rozsądek na strzępy” (*Depresja*).

Jak gorzyc poznania rodzi całe serie rozczarowań w aspekcie religijnym zrelatywizowanym wobec kanonu norm chrześcijańskiej nadziei, tak też objawiające się prawie dwudziestolatce horyzonty życia ukazują swoje kanciaste kształty, raczej odpychające aniżeli zachęcające do kosztowania owoców dorosłości. Ta ostatnia przybiera portret kobiety w podeszłym wieku, „nie wygląda olśniewająco”, a jednak jest „jak młoda dziewczyna” (*Miłość*), czasem objawia się znikomym, ale jakże wymownym gestem, „przynosi kaptcie i termofor do łóżka” (*Dobra miłość*). I to może jedyne jaśniejsze blaski dojrzałości. Cienie wszakże dominują w rekonstruowanym krajobrazie nowych doznań, góruje *Tęsknota*, mająca postać m.in. „dwóch warkoczyków”. Zresztą rekwizyt dla K. Mazur stanowi szczególnie istotne narzędzie

w kondensacji prezentowanych treści, mimo iż niepozorny — komunikuje wiele, a zwłaszcza pozwala antagonizować dzisiejsze z wczorajszym, doskonale z ułomnym, nie bez pierwiastka wyrazistych oznaczeń emocjonalnych, jak np. „»Aniele Boży« przed snem” (*Teśknota*).

Wprawdzie „czerwoną sukienkę” wybacza podmiot mówiący Miłości, ale „wyzywająco uszminowane usta” oraz „zapach drogich perfum” poważnie niepokoi, stąd następna bolesna konkluzja: „Inaczej wyobrażałam sobie / moralność” (*Moralność*), a „czerwoną torebkę” — obiekt pożądania dziewczynki — dumnie odepchnęła już kobieta (*Czerwona torebka*). Najwyklesze rzeczy codziennego użytku, po prostu drobne detale, wypełniające teksty K. Mazur, roztaczają wizję cyklu nieuniknionych odkryć, a wśród nich, powiedzmy przykładowo, pomada — nie oznacza teraz sensów związanych z atrybutami wyśniewanej księżniczki, lecz oddaje prawdziwość jej przeznaczenia, to wszakże instrument skrywający niedoskonałości starzenia, pojawiają się inne rozpoznania, a w ich obliczu można zareagować wyłącznie szlochem — „nauczyłam się więc / płakać po cichu” (*Samotność księżniczki*). Zwłaszcza że przedwczesną świadomość i niechcianą, jak się okazuje, „wszechwiedzę” demonizują „Przeklęte / niewyrośnięte diable”, o których autorka pisze — z troską bądź wściekłością albo może zazdrością — „dziewczynki / co strasznie chcą / być już stare”, one bowiem chyba też marzą (jak potrafią), bo noszą „wysoko głowę i majtki” (*Trzynastolatki*). Rozumiemy podnoszone wątpliwości — „a ona biegła / kłóży chciał / wracać tam, skąd ona / wracała” (*Biegła*).

Konfesyjne, indywidualne zwierzenia noszą znamię buntu rozstrzygającego w pewnym stopniu przynajmniej niektóre doświadczane właśnie dylematy. Wyniosłe brzmią słowa skierowane do torby „zza szyby sklepowej witryny”: „patrz na mnie / póki możesz” (*Czerwona torebka*). Postawę nonkonformistyczną uwypuklają manifestacyjnie „dorosłe” porównania alkoholowe, co chyba sygnalizuje przepustkę do oczekiwanej rozputy czasu umierania, mającej rekompensować

dramaty wywoływane coraz lepiej pojmowanego scenariusza zdarzeń, a właściwie niezłomnie zbliżającej się śmierci. Trunek zatem towarzyszy błogiemu znieśławieniu lub błogostanowi ekstazy (*Błogozniesławiona*), pieszczotom kochanków (*Twoje anioły*), przewyciężaniu koszmarów beczynności (*Śmierć*) i in. Osobiście, jednostkowo wyznaczona ścieżka, wiodąca przez przyszłość, nie przetnie się zwyczajnie z linią życia innych, chyba że, buńczucznie, z małym, choćby obyczajowym skandalem w tle. Nie ma w tej wędrówce miejsca dla szminki, wyzywającej czerwieni czy „złotych włosów”, jest raczej fantazja i odwaga, z jakimi chce się podjąć ryzyko trwania: „Zagrajmy w karty / Ja postawię życie / a ty nienawiść” (*Poker*).

Penetracji ziemi nieznanej w tej książce służy leksyka abstrakcyjna, na jej tle mocniejszej wymowy nabierają tkliwe sploty dzwoczeń fryzury bądź wręcz wulgarne sztucznie wzmocone kolory kresek ust. Tego pokroju konfrontowane symbole wyznaczają granice prywatnego obszaru. Podobnie jest i z lustrem, można się z nim nawet kochać, gdyż inni, ci z rodzinnego zdjęcia wzbudzają tylko frustrację (*** „Całować się z lusterkiem”), choć chłodna tafla zwierciadła rozwiewa ułudę i trzeźwo przypomina, że „Tylko prawda / stoi sobie spokojnie // po obu stronach lustra” (*Lustro*). I właśnie prawda, obojętna na krzywizny srebrzystej powłoki, otrzymuje wagę przewodnika po globie ludzkich namiętności, upadków, zarazem wydaje się antidotum na jego przedziwne zawikłania, ale nie wyłącznie, pozostaje jeszcze wiara w miłość, dająca szansę triumfu w batalii z niepojętą brzydotą, zewnętrzną i wewnętrzną, wszystkich i wszystkiego.

Twoja ciepła krew
Jak alkohol
Rozlewa się w moim ciele

Kłękam przed tobą

(*** „Twoja ciepła krew”)

Stąd też „warto codziennie / budować życie od nowa” (*Spacer*), znajdzie się też dłoń, która

„zgarnia smutki” i „głaszcze delikatnie / troski tego świata” (** „Zimna dłoń mojej żony”), a noc, choć zdążyła już odejść, „Zostawiła na stoliku / wizytówkę / obok kluczy do serc”, a wcześniej „Ułożyła dla nas / receptę na szczęście” (*Noc*), by znaleźć oparcie w chwilach grozy, gdy „niebo było ciężkie od gromów” (*Burza*) albo gdy to „lalki bawiły się dziećmi” i w „domu udręki” powstawały następne niekanoniczne ewangelie (** „Dom udręki zasypiał”). W imię miłości – zazdrosnej, dozgonnej, zmitologizowanej – wzmiankowane już wyżej zdecydowanie wzmacnia potęgą specyficznej, jednostkowej determinacji, gotowej na wszystko, gotowej nawet posunąć się do przestępstwa, a co więcej – do śmiałego wyznania: „to ja zleciłam zabójstwo” (*Zbrodnia*).

Wcale nieźle wyrobione pióro pozwoliło wydobyć z tego zbioru wierszy, naszkicowanych ostro i wyraziście, wyłaniający się z nich obraz istotnej dla Autorki przestrzeni, tej bliskiej oraz odległej, w wymiarach czasowych i przestrzennych, dosłownie, jak i w przenośni. Całość układa się w kilka linii tematycznych, skoncentrowanych wokół problemów egzystencjalnych ewokowanych przez pojęcia: wiara, nadzieja, miłość – z jednej strony, z drugiej zaś to krajobraz po bitwie stoczonej w imię dojrzałości, wszakże gdy już zdobyte bastiony odstończył swój bardzo dyskretny urok, K. Mazur nie usiłuje namawiać do kurtuazyjnej zabawy w celu karmienia się iluzoryczną ambrozją dorosłych rozczarowań. Kładzie raczej akcent na niewzruszalne, sprawdzone gwarancje szczęścia – szczerość i miłość. A i sylwetka Boga skarłowaciła.

Refleksje, choć nie wolne od zadłużeń w przeszłości, odznaczają się niekiedy świeżością ujęcia, czasem nawet dramaturgią ewoluujących myśli, prowadzonej od dobrze osadzonego wśród ikon kultury szczegółu do jeszcze dobitniej odczuwanych w wieku trzydziestu czy czterdziestu lat zupełnie niekrzepiących wniosków. Tomik pozwala przeżyć całą gamę tego rodzaju rozterek ponownie, ponadto dowodzi uniwersalności fenomenu zderzania się z bodaj oczekiwaną „wolnością” – słowem jednak „wyjęczanym”, „ostatkiem sił”,

będącym „ostatnim celem życiowej podróży” (** „Freiheit”), może znacznie przedwczesnym. Ostatecznego i absolutnie pewnego panaceum na ciągły uśmiech tu wszakże nie znajdziemy, beznadziejność, niepewność i osamotnienie we własnych wyborach – wyrażone „retoryką” dziewczęcia – kolejny raz pozbawia jakichkolwiek złudzeń: „Niestety – książkę z bajki / nie przybył / na czas” (*Ślub*). Ciężka próba, przeżyta wyjątkowo intensywnie, przynajmniej jak to wynika z książki *Już wiem*.

Chciałoby się rzec, że wiersze oddają postawę K. Mazur, niemniej wędzidło teoretycznoliterackie jednoznacznie określa linię demarkacyjną rozgraniczającą domenę autora, z konkretnym imieniem i nazwiskiem, oraz podmiotu mówiącego. Przykuwa bowiem uwagę cokolwiek autoironiczne, krojone z nonszalanckim zawadiactwem i pewną ekstrawagancją (jak w wypowiedziach o stanie uśpionym bądź może raczej rozbudzonym wodą życia), wyznanie pt. *Poeta*:

baldachim z gwiazd
pijane zdrowaśki
w przydrożnym rowie
wystrzępiony notes
pióro z wygiętą stalówką
kawałek chleba
wódka do torby
i krzyżyk na drogę

Mimo wszystko warto wierzyć, że Autorka zaostrezy jeszcze bardziej swoje pióro (choć posiada przenośny komputer), by może porzucić manierę komponowania struktur uprzywilejowanych rozmaite antynomie. Zresztą to nie zarzut, gdyż zespalone zjawiska nie dowodzą po prostu, że czerń lśni bielą mleka, lecz że np. *Słowa mają smak*. Wybrane z otaczającej nas semiosfery znaki, językowe, ikonograficzne, nieraz zilustrowane filmowo z podkładem dźwiękowym, spisane też wielokrotnie przez wybitnych tuzów literatury rodzimej czy światowej dowodzą doniosłości problematyki, pozostaje więc czekać na deskrypcje kolejnych erupcji myśli oraz uczuć,

byleby fikcyjnych i nieznajdujących swoich źródeł w rzeczywistości. I z dala od „przydrożnego rowu”!

Z całego tomu, usianego najdrobniejszymi wizjami okrucich rzeczywistości, jej ułamków powstaje wcale spójny obraz, rodzaj syntezy mikroświata otwartego na prawdę i prawdziwość za wszelką cenę. Paradoksalne, niczym w koncepcjach Jana Andrzeja Morsztyna, dostrzeganie urody w brzydkim, szczerości w nieprawdopodobnym, po prostu – autentycznych wartości w pozornie bezwartościowym rysuje pełnię osobistej mapy ontologicznej i aksjologicznej, wyłaniającej się z *Już wiem*. Szczątkowość i analiza pojedynczych fenomenów egzystencji, „momentalność” obserwacji, skrót myślowy – rozpięty, jak w barokowej puencie, między biegunowo skrajnymi „naj” – oddaje istotę strategii wierszowych enuncjacji tomu.

Kilka uwag porządkujących

K. Mazur debiutowała w 2007 roku w dwudziestoczterostronicowym „czasopiśmie literackim »Pegaz Lubuski«, nr 2 (25), „z rekomendacją Marka Grewlinga” (s. 22), nadto jej utwory zasiliły antologię z serii „Młodych Poetów Ziemi Sulęcińskiej” pt. *Smak na wiersz* z tego samego roku, w której słowem wstępnym (pt. *Po obu stronach lustra*) całość poprzedził wspomniany odkrywca talentu (*Już wiem*, s. 5-6), a posłowiem, zatytułowanym *Personifikacje Kingi Mazur*, uświetnił Ireneusz Krzysztof Szmidt (*Już wiem*, s. 44-45). Zeszyt pt. *Już wiem* ukazał się pod patronatem Związku Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wielkopolskim oraz dzięki wsparciu Torzymskiego Ośrodka Kultury. Cenna i zasadna inicjatywa. W książkowej edycji ponadto w dużej mierze powtórzone krótki rys biograficzny autorki, towarzyszący debiutowi (*Już wiem*, s. 46), wykreślając zeń m.in., że poezja „jest tyranką, której można się oddać w słodką niewolę” („Pegaz Lubuski”, s. 22). Wtedy marzyła o filologii polskiej, dzisiaj – w 2011 roku – jest jej absolwentką (licencjat), ponadto studiuje kolejny kierunek na Wydziale Pedagogicznym. Skromniejszą sylwetkę

po dwóch latach, i to dwukrotnie, dała nam redakcja „Pro Libris”, nr 2 (27), nr 4 (29), informując, że „poetka [...] mieszka we wsi Kownaty” (s. 123, s. 142).

Zespół tekstów przed drukiem poddano selekcji, wykonali ją wydawcy – I. K. Szmidt oraz Krystyna Kamińska, rzecz jasna, przy współudziale K. Mazur. Tytuł zbioru z 2007 roku – *Już wiem* – choć znakomity i trafny, nie pochodzi od Autorki, podobnie z nazwami poszczególnych działów tomiku, ich brzmienie zaproponował uważny czytelnik tych wierszy, mianowicie I. K. Szmidt, a ich sprawczyni zaakceptowała podane propozycje wypowiedzi inicjalnych. Poza wydrukowanym w Gorzowie Wielkopolskim w 2008 roku kanonem pozostaje jeszcze sporo tekstów, wśród nich m.in. ten, który – dzięki życzliwości Pani Kingi – ogłasza my po raz pierwszy niżej. Przykuwa uwagę detal, szczególnie sygnał miłości – pojmowanej inaczej (rano, po przebudzeniu), bo zwyczajnie, ale i z lupą na codzienność – choć poddańczej i oczywistej, niby z książek, a jednak... w dziwnym miejscu oraz w nieoczekiwanych okolicznościach zaspokojoną, po prostu... „nagle bezpieczną”, a skalę wymowy tekstu (i jego niewypowiedzenia) powiększa męska tożsamość podmiotu mówiącego:

Chcę ciebie takiej nieuspokojonej
kiedy jeszcze włosy masz w nieładzie
kocham ciebie
kiedy modlisz się i klniesz
na kolanach przede mną
lubię ciebie taką tulić
drżącą wilgotną
i nagle bezpieczną

Piękna chwila – utajniona, osobista – ujarzmiona pięknym, może niezbyt estetycznym spostrzeżeniem (w obwarowanej schematami kulturze pop), ubrana w logiczną fabułę momentu, daje wyraz codziennego zaangażowania w ekstazę więzi, pogmatwaną, bezceremonialną i zwłaszcza – bezwarunkową. Nie przeoczamy drżącej,

wilgotnej kobiecej wiotkości; przeciwnie – klniemy i modlimy się o jej erupcję. To nie tylko zobowiązuje, a może aż zobowiązuje...

Debiut nie przeszedł bez echa. Czesław Sobkowiak podjął się trudu pochylenia nad tomikiem (*Wtajemniczenie*). Wystąpił w roli starszego brata, po mentorsku uwypuklił „dość typowy przykład osobowości dopiero kształtującej swój poetycki świat” (*„Pegaz Lubuski”* 2008, nr 1 (30), s. 9), po czym zachwalał przynajmniej niektóre ujęcia. Rzecz może usprawiedliwiać autorytet mówiącego, ale i konwencja całej recenzji... ujęta w rubrykę „Szkoła krytyków”. W tym samym numerze „Pegaza” – dla przeciwwagi chyba – ukazały się dwa omówienia *Już wiem*, napisane przez... M. Grewlinga i I. K. Szmidta (podjęli rękawicę?), wcześniej odbite w 2007 roku... (s. 14-15), minimalnej zmianie uległ jedynie szkic Szmidta – tytuł otrzymał nieco zmieniony kształt (*W personifikacjach Kingi Mazur*), a materiał ilustracyjny rozszerzono o przytoczenie wszystkich słów z *Mówisz mi...* (*Już wiem*, s. 25), przy czym wcześniej były to tylko dwa skrajne – pierwszy i ostatni – wersy (s. 44). Aczkolwiek oba teksty krytyczne otrzymały wspólny i wymowny tytuł – *Jeszcze raz o udanym debiucie* [...]. W numerze zamieszczono też wybór wierszy (*Śmierć, Namietność, Zła miłość, Moralność, Miłość, Wieczność, Tęsknota, Depresja, Ona*, s. 16) oraz rodzaj sprawozdania ze spotkania autorskiego z publicznością i uczucia, jak „smakuje sława” (s. 14).

W 2009 roku we wspomnianym numerze „Pro Libris”, 2 (27), obok tekstów m.in. M. Grewlinga (s. 24-25), co znaczące, ukazały się również znane nam wyznania: *Namietność, Miłość, Zła miłość, Moralność* (s. 40-41). Kilka miesięcy potem na kartach publikowanego kwartalnie „Lubuskiego Pisma Literacko-Kulturalnego” odbito cykl trzech bajkowych i jednej dziecięcej transformacji, podejmujących twórczy dialog z tradycyjnym postrzeganiem *Kota w butach, Kopciuszka, Pinokia* i *Śnieżki* („Pro Libris” 2009, 4 (29), s. 42-45). 2010 rok przyniósł kolejne nowe wiersze w znanej konwencji – *Wspomnienie z wakacji* oraz *Tęsknota Safony* – „Pegaz Lubuski”, nr 4 (43) (s. 11),

równie powściągliwie rok wcześniej na łamach tego samego tytułu, nr 3 (38), Mazur wystąpiła z utworami pt. *Pierwsza kobieta* oraz *Powroty* (s. 12), a ten ostatni – przysłowiowe witanie starych śmieci – zamknęła frazą bliższą ciału, niby koszula, może bardziej czystą (higienicznie) i tym samym bardziej godną zaufania, własną pościelą. Lojalnie autorka zaszczyliła dubletem swoich myśli, tym razem poniekąd świątecznych, „Pegaza Lubuskiego” nr 6 (35) w rok po edycji *Już wiem* (s. 21), zagrała na nosie rodzimej martyrologii, objawiającym się „bałwochwalczym tańcem kruków / w miejscu / które dopiero się obudzi”, czciła bowiem ojczystą, znaczoną krwią, historię „poduszką” i „dymem z papierosa” (*Erotyk patriotyczny*) oraz milczącym smakowaniem wolności (*Święto spokoju*).

Miarę zainteresowania twórczością K. Mazur niewątpliwie stanowi wcale nie tak, jak się okazuje, rzadkie zapraszanie autorki *Już wiem* na łamy lubuskich wydawnictw ciągłych. W końcu od 2007 roku treść kryjącą się pod dobrze znanymi szyldami – *Namietność, Miłość, Zła miłość* oraz *Moralność* – mogliśmy czytać co najmniej trzykrotnie, a więc najpierw w omawianym tomiku (2007), dalej w „Pegazie Lubuskim” (2008), aż wreszcie i w „Pro Libris” (2009). Fenomen tego pióra dostrzegło lokalne środowisko akademickie – w miesiącach letnich 2010 roku Kinga Mazur uczestniczyła w programie uniwersyteckiego Radia Indeks z serii „Milion Myśli” i zaprezentowała swój poetycki autoportret, po drugiej stronie mikrofonu – Ula Seifert. Wcześniej zaś, w 2008 roku, znalazła się wśród laureatów międzynarodowego konkursu „Świat bez wojny i przemocy”, wzięła w nim udział, przedstawiając pod osąd jury trzy teksty. Przywiązanie do słowa albo raczej do pisma łatwo udowodnić, w tym samym czasie wygrała szkolne „dyktando” – okolicznościowy sprawdzian ortograficzny na Uniwersytecie Zielonogórskim, sukces ten powtórzyła w roku akademickim 2010/2011. W kwietniu 2011 roku jej „zacztyany” portret fotograficzny, na tle zastawionych książkami regałów, mogliśmy podziwiać w „Gazecie Wyborczej” – wypowiedzi

K. Mazur stanowiły dobrą przeciwwagę dla tezy artykułu zawartej w jego tytule: *Dawno temu studenci czytali książki*.

Włączone do debiutanckiego tomu utwory to około dwie trzecie ówczesnego dorobku, powstałego właściwie w ciągu jednego, 2007 roku. Kolejne zapisy trafiały do specjalnie w tym celu zakupionego brulionu, często powstawały jako swoiste odbicie konkretnych zdarzeń, następnie kojarzonych z autorsko przetworzoną refleksją, zatem pierwowzory „inspirujących” bohaterów istnieją, niemniej w sumie zawsze jest nieważne lub nie-możliwe odtworzenie ich imion i nazwisk. Wyjątkowo tylko niektóre prace podlegały ewolucyjnym korektom, w rezultacie z warsztatu K. Mazur wychodziły gotowe już do publikacji formy, niewymagające skreśleń, uzupełnień czy zmian. Podobnie powstają kolejne wiersze, oto jeden z nich – zapowiedź następnego tomu, obok innych wzmiankowanych już wierszowych zwiastunów – *Śpiąca królewna*, nie bez prowokacyjnych insynuacji oraz już dobrze znanych w wypowiedziach

K. Mazur rozczarowań, uwypuklonych m.in. dramatycznym, a może jedynie ironicznym (i zarazem gorzkim w tym kontekście) wulgaryzmem. Jeszcze raz sprowadzimy się na ziemię, bo rozmaite odgłosy męskiego snu brzmią mało poetycko i średnio współgrają z pięknym wyśnioną książniczką... Zreinterpretowana, wzbogacona bajka nie pozostawia złudzeń.

Kiedy śpiąca królewna
wreszcie została obudzona
pokrywały ją pajęczyny
a kot na jej kolanach
zrobił się całkiem suchy

jej pierwsze słowa brzmiały:
„ja pierdołę!”...

potem jeszcze przez wiele nocy
przeklinała bezsenność
i uwierając papiloty
podczas gdy książkę
spokojnie chrapał obok.





Aga Migdałek

Ur. 1974, Wydział Artystyczny, Uniwersytet Zielonogórski, dyplom w 2005 roku w pracowni prof. Witolda Michorzewskiego (prezentacja w Galerii BWA, Zielona Góra).

Wyróżnienia: 2008 Stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego; 2003 Stypendium Twórcze i Artystyczne Miasta Zielona Góra.

Wystawy indywidualne: 2011 Wireless, Galerie Sandhofer, Innsbruck, Austria; 2009 Malarstwo, Galeria Artinfo.pl w Fabryce Trzciny, Warszawa; 2008 Bezprzewodowo, Galeria BWA, Zielona Góra; 2008 Symulakry – płęć, Galeria El, Elbląg; 2008 Symulakry – płęć, Galeria Art Agenda Nova, Kraków; 2006 Człowiek – komputer – sieć, Bałtycka Galeria Sztuki Współczesnej, Słupsk; 2006 Moduł 6/użytkownicy, Galeria Entropia, Wrocław; 2005 Człowiek – komputer – sieć, Galeria BWA, Zielona Góra.

Udział w wystawach zbiorowych: 2011 Odsłony kobiecości, Galeria Polswiss Art, Warszawa; 2010 AAF, Vernissage, London 2010; 2010 Salon Jesienny, Galeria BWA, Gorzów Wlkp.; 2009 Inspiracje, Galeria Artinfo.pl w Fabryce Trzciny, Warszawa; 2007 Salon Jesienny, Galeria BWA, Zielona Góra; 2005 Prawdziwe kolory, Samsung Art Master, edycja II, Warszawa; 2004 Finał Konkursu Debiut Roku 2004 – Tolerancja, Warszawa.

Aga Migdałek – Malarstwo

Wystawa Agi Migdałek w Galerii Artinfo.pl w Fabryce Trzciny, nosi prostą nazwę *Malarstwo*. Wiele może się kryć pod tym słowem i tak jest w tym przypadku.

Proces twórczy Agi jest skomplikowany i dokładnie przemyślany. Na początku artystka robi zdjęcia, tnie je na kadry. Postaci rysuje, obrabia wszystko na komputerze. Tak powstaje szkic pod obraz. Oglądając z daleka prace Migdałek, ma się wrażenie, że to tętniące barwami zdjęcia, podchodząc bliżej, widzimy plamy malarskie. Aga nie sili się na hiperrealizm, widać pociągnięcia pędzla, warstwy akrylu, czuje się warsztat. Na wystawie w Artinfo.pl, artystka prezentuje dwa cykle: *Bezprzewodowo* i *Townee*. Jeden i drugi cykl charakteryzuje jasna, wręcz pastelowa paleta barw. Artystka podkreśla, że są to mieniające się kolory z monitora komputera. Rzeczywiście można odnieść takie wizualne wrażenie. W cyklu *Bezprzewodowo* mamy do czynienia z próbą opisania różnych relacji, relacja z drugim człowiekiem, człowiek w świecie technologicznych gadżetów, samotność oszukana poprzez kontakt z wirtualnym światem. Na jeden obraz składają się mniejsze kadry. Każdy z tych kadrów możemy rozpatrywać osobno, oglądając go w całości, mamy do czynienia ze swoistego rodzaju komiksu, z pewną historią. Aga umieściła na obrazach znane sobie osoby, z rodziny, przyjaciół, jak i wymyślone postaci. Można zadać sobie pytanie:

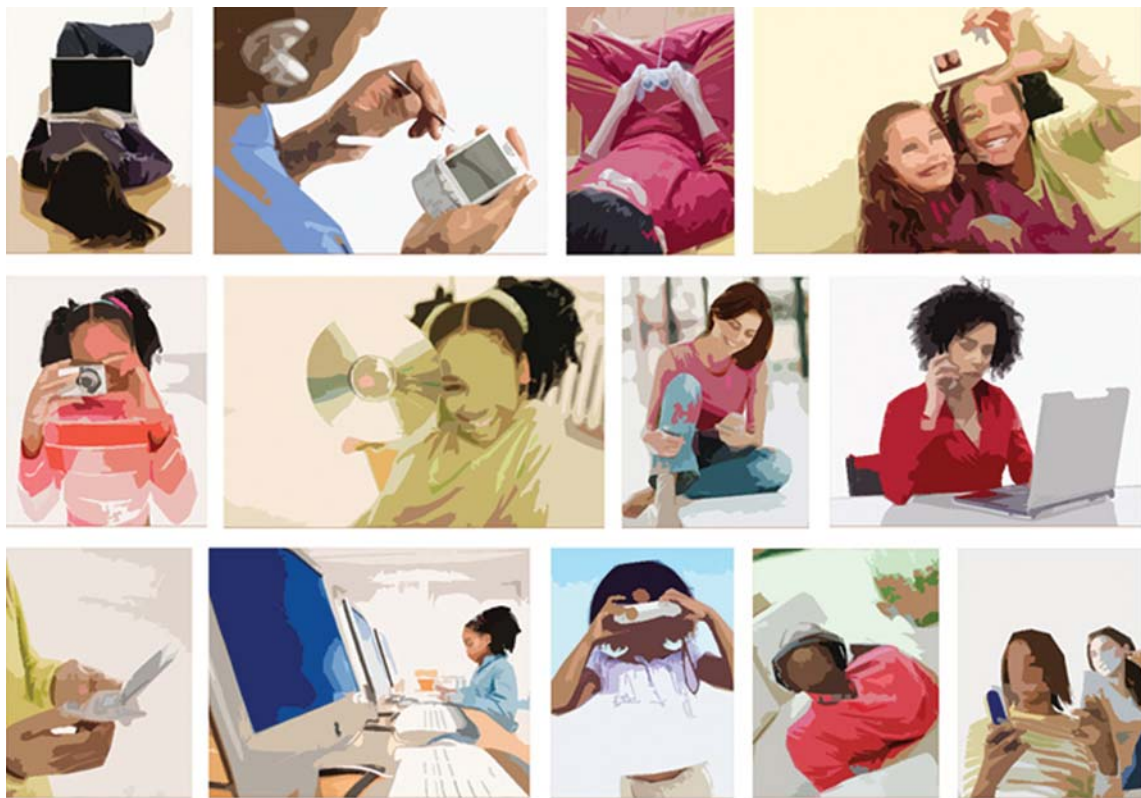
jakie relacje towarzyszą nam w zdigitalizowanym świecie? Czy kontakt za pomocą skype'a, GG jest normalny? Czy stanowi pewną sublimację do podtrzymania związków i innych relacji na odległość? Artystka na te pytania odpowiada częściowo. Obrazy Agi Migdałek wpisują się w stylistykę najnowszego designu laptopów, iPodów czy telefonów komórkowych. Być może dzięki temu, że artystka operuje współczesnym językiem pokolenia internetu, tak dobrze odczytujemy jej przekaz i odbieramy jej malarstwo. Drugi cykl pokazywany w Galerii Artinfo.pl to *Townee*, ta sama stylistyka świetlistości i pastelowej kolorystyki, pięknie zrównoważona czarnymi plamami postaci. Cykl ten pokazuje, że artystka bardzo dobrze czuje kompozycję obrazu, lawiruje bezbłędnie między ciężkimi a lekkimi elementami kadru. W tym przypadku także zmusza nas do myślenia. Nie tylko oferuje nam doznania estetyczne, ale przede wszystkim znowu zadaje konkretne pytania. Kim jestem? Gdzie biegnę? Dlaczego czas tak szybko mija? Postaci z cyklu *Townee* zastygają, stojąc lub kucając, a reszta świata kręci się prawie z szybkością światła. Czarne postaci bez twarzy reprezentują everymana, każdego z nas. Możemy się utożsamić z postaciami, które żyją w wielkich aglomeracjach miejskich. Oprócz estetycznej wizji codzienności, jaką serwuje nam Aga Migdałek, malarstwo to ma wymiar ponadczasowy, także dostosowany do współczesnego świata.



Music, akryl, płótno, 60x60, 2011



Observe 1, akryl, płótno, 60x60, 2011



Bezprzewodowo 1, akryl, płótno, 100x140, 2008



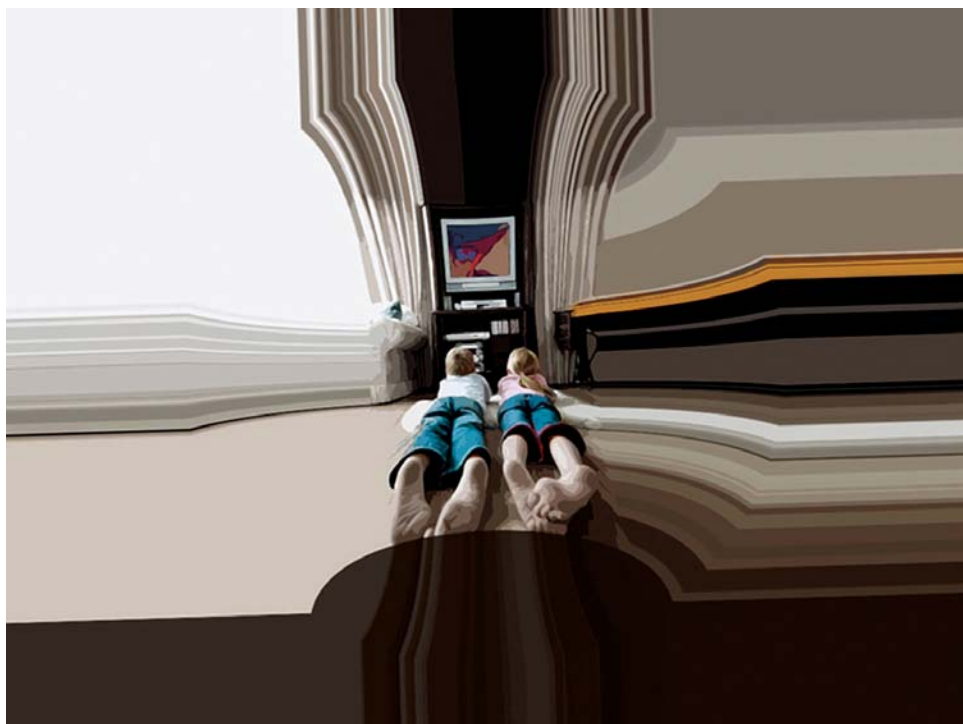
Galeria Fabryka Trzciny, Warszawa



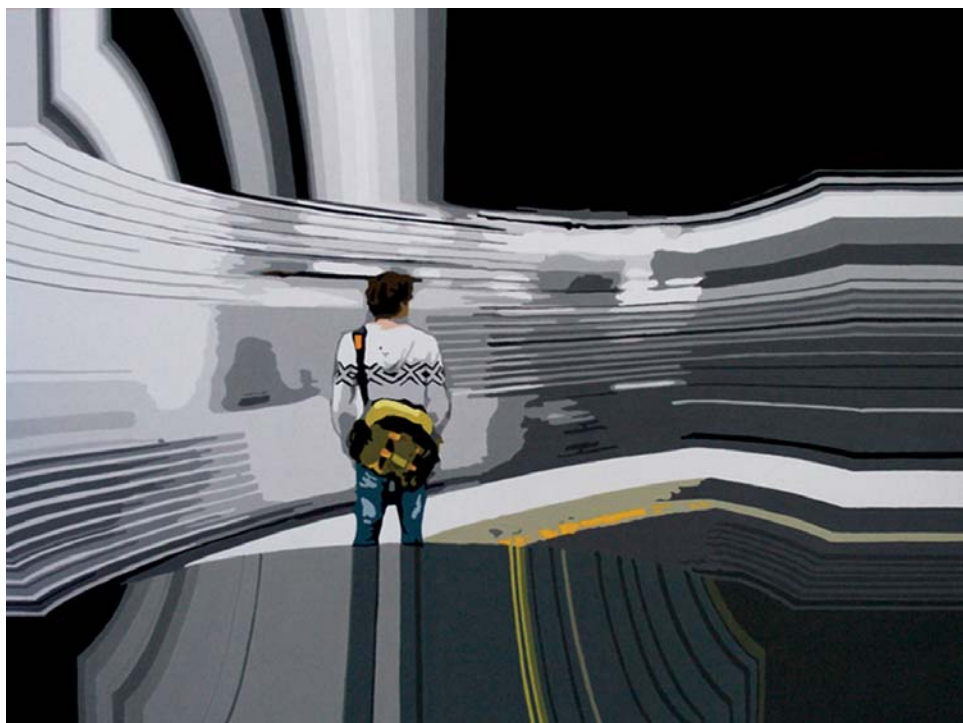
Bezprzewodowo 2, akryl, płótno, 100x140, 2008



Galeria Fabryka Trzciny, Warszawa



Yellow line, akryl, płótno, 60x80, 2011



Yellow bag, akryl, płótno, 60x80, 2011

Wireless

*Przytapać rzeczywistość po to, by ją unieruchomić,
zaskoczyć ją na granicy jej sobowtóra.*

Jean Baudrillard

Jeśli chcieć zastanowić się nad obrazem sztuki współczesnej dziś, to należy zauważyć, że poza tradycyjnymi technikami plastycznymi trwa obecnie eksplozja prac audio-video. Media cyfrowe stały się kolejnym narzędziem twórczym, umożliwiającym tworzenie prac zarówno prostych, jak i niezwykle skomplikowanych wizualnie i narracyjnie. Niektóre realizacje współczesnych artystów stoją już na pograniczu filmu atystycznego i filmu fabularnego, nie ustępując temu drugiemu ani jakością obrazu, ani rozmachem produkcji.

Obok wybitnych prac prezentowanych w galeriach, powstają również te o niskim poziomie artystycznym, wykorzystywane do tanich materiałów reklamowych. I właśnie nieprofesjonalne i brzydkie obrazy cyfrowe zafascynowały młodą polską malarzkę Agnieszki Migdałek, której wystawa zatytułowana *Wireless* prezentowana była w Galerie Sandhofer od lipca do września 2011 r. Artystka stworzyła kolekcję obrazów opartych na fotografiach stockowych mających służyć do reklamowania mobilnych urządzeń bezprzewodowych.

Z płóci uśmiechają się do nas dzieci grające w Play Station i w gry komputerowe. Nastolatki, zasłuchani w muzykę z mp3 playerów i zapatrzeni w monitory laptopów, nie dostrzegają nawet, że obok nich nikogo nie ma. Obrazy Agnieszki Migdałek to tak naprawdę obrazy o samotności współczesnego człowieka, który zatopiony w sieci wirtualnych relacji nie jest w stanie

pielęgnować relacji międzyludzkich poza nią. Znajomi z komunikatorów i portali społecznościowych są bardziej namacalni niż człowiek mijany na ulicy. Żeby nie przekroczyć naszej wirtualnej przestrzeni życiowej, należy odgrodzić się od niego słuchawkami z doskonałą jakością dźwięku.

To właśnie to zatopienie w nierelanym, sztucznie wygenerowanym świecie jest potwierdzeniem słów francuskiego socjologa i filozofa Jeana Baudrillarda: „Żyjemy w świecie symulacji, w którym najwyższą funkcją znaku jest wymazanie rzeczywistości i jednocześnie ukrycie jej zniknięcia”. Zafascynowana tą teorią Migdałek doskonale ukazuje rozdźwięk między bujnością życia w sieci, rozgrywającego się w sferze intelektualnej, wyobrażeńowej, a wizualną pustką, samotnością i deformacją naturalnej potrzeby bliskości.

Dla wzmocnienia owego wynaturzenia emocjonalności ery komunikacji globalnej, Migdałek dokonuje manipulacji fotografii stockowych, deformując je najprostszymi filtrami z Photoshopa. W ten sposób traci realizm na rzecz efektu wycinankowej gradacji kolorystycznej. Dodatkowo deformuje przestrzeń, która rozciąga się w przestrzeni i załamuje, dając wrażenie schizofrenicznych omamów, rozbijających sztucznie szczęśliwy świat z tanich fotografii. Artystka świadomie i z premedytacją posługuje się kiczowatymi efektami i banalnymi fotografiami, dla wydobycia głęboko skrywanej pustki i bezsensu.

Gniazdowanie

trudno określić czy to regularność naszych spotkań
czy zdrad sprawiła że poczuliśmy parzyste zobowiązanie
może nawet bardziej wobec miejsc niż samych siebie
bo we wspomnieniach widać było tylko łóżko obrys pościeli pokój

spokój z jakim pozwalaliśmy uwalniać ściśnięty ruch bioder
z krępujących go spodni był oszukańczy i opętańczy
jak tłumaczenie się wyłącznie niewygodą dbałością o kanty
jak każda litera krzyku ze snu o kimś innym i dalekim

myślałam o włoskich książkach które czytałeś
w oryginale na przystankach i w tramwajach a nigdy wcześniej
nie zastanawiałam się dokąd wtedy jechałeś
czy może od kogo wracałeś do kogo może

pytałeś co znaczy wymościć a niedługo potem czy było dobrze
mówiłam to to samo co więc gniazda znaczyć miejsca
nie umiałam nie kłamać chociaż połykałam jęki i oddechy
które mogły znaczyć więcej niż tylko przestrzeń

takie wiersze moglibyśmy pisać na akord dlatego
nie braliśmy zleceń ani nie spisywaliśmy umów między
nami był tylko obszar który można opuścić mimo że
od kiedy mnie poznałeś zacząłeś się zagnieżdżać

Zwrotnica

niech się znajdzie w nas głód co poprzestawia nam kości
w wieże strzeliste jak kościół krwi
niech wymości się w nas krzepliwa rana snu
jak szansa co się wciąż na nowo pojawia i powrotnie znika

to nie zmienia nas w nic więcej niż pobożne zwierzęta
przełamujące się językami bydłęta komunijne

nie będziemy dłużej forsować tego mięśnia
co ociera nam żebra tłocząc podział w kolejne parcele
udamy że jest światło że się jeszcze w nas porusza
że nie widać
jak matowieje w nas ślina
zamarza biały gotyk limfy

zawsze pozostaje noc która nas wygładzi
naprowadzi na szlaki w peryferie miasta w perfumerie snu
choć już zaczyna przez nas przeciekać jak ból
gorliwy w sobie niczym smutna madonna

i będzie to długo zanim celnie chybimy
zgodzimy ciało z ziemią jak należność i spłatę
oddamy się sobie zwrócimy powrotnie
nie bardzo zmartwieni zmartwiali całkiem

Kobieta jako punkt odniesienia w malarstwie współczesnym

(Przy okazji wystawy obrazów Grzegorza L. Piotrowskiego)

W powszechnej opinii króluje przekonanie, że figura ludzka to swoista *summa* malarstwa, ten jego rodzaj, do którego dochodzi artysta w pełni dojrzały, pewny swoich decyzji, zdobywanych żmudnymi ćwiczeniami oka, ręki i wrażliwości. To temat malarzski ceniony ponad „widoczki” czy „sceny rodzajowe”.

Przedstawianie postaci ma też swoją wewnętrzną gradację; w niej to akt zajmuje pozycję najwyższą – malarstwa „dla wtajemniczonych”. Można tu na dowód przytaczać liczne przykłady z historii sztuki i popierać je przypadkami z bliższych nam dziesięcioleci. Wszystkie one budują i utrwalają przytoczoną wyżej, powszechną opinię, ilustrując rozmaite trudności i niebezpieczeństwa, na jakie naraża się artysta, podejmujący ów mistrzowski (to jest zarezerwowany dla mistrzów) temat.

Aleksander Jackiewicz, malarz znakomity, uczestnik słynnego *Arsenatu* '55, wystąpił na wspomnianej wystawie wdzięcznym akademickim portretem młodej kobiety z bukietem kwiatów¹, poświęcając tyle samo zainteresowania kwiatowym gałązkom i płatkom, jak policzkom, oczom

czy włosom modelki. Natomiast dojrzała twórczość Jackiewicza wypełniona jest w całości malarskim zmaganiem się z oddaniem – nazwaniem i wyrażeniem – tajemnicy *sui generis* niewyraźnego, to jest ciała. Jego materialności i duchowości: pulsowania i migotliwości skóry nabrzmiałej krwią, rysującego się pod nią zmiennego napięcia mięśni². Ten upór malarza stawia go wśród tych, co pragną przejrzeć prawa natury – astrofizyków, kosmologów i poetów *maudit*, mocujących się z Bogiem i często mu bluźniących. To piękne, wysmakowane malarstwo, pozornie delikatne, nawet ulotne, jest w istocie silne i odważne, a fragmenty (poddane oglądowi) postaci analizowane są z rozmysłem, w którym brak bezwzględności. Wspomniana fragmentacja figury jest wyrazem postawy badacza, jakby malarz przybliżał się do modelu ze szkłem powiększającego okularu w rękę. W polu widzenia jest czasem fragment biodra, innym razem miejsce wygięcia szyi i odrzuconego gwałtownie w górę ramienia. Malarz pracuje wolno, z namysłem nakłada na realnie oddany obraz kolejne, coraz bledsze woale cieniutko kładzionej farby³.

1 Obraz znajduje się w zbiorach Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta w Gorzowie (kolekcja „Arsenal 1955”), w części ekspozycyjnej.

2 G. Balcerzak, [wstęp do katalogu:] *Aleksander Jackiewicz. Malarstwo*, Zielona Góra – Gorzów Wielkopolski – Jelenia Góra, Gorzów 2006, s. 6.

3 Tamże; są to warstwy cienkiego jasnego gruntu (zwykle stosowane w fazie przygotowawczej do malowania).

W innym przykładzie figura staje się narzędziem, może pretekstem, do poszukiwania innych jeszcze, tajemniczych źródeł demonizmu. Może idzie o seksualizm, perwersję, czy też archetyp prasiły, jaką uosabia i syntetyzuje kobiecość... Tu znów można mnożyć przykłady; doskonałym, a bliskim nam regionalnie, jest malarstwo Andrzeja Gordona. Obsesyjnym tematem jego twórczości jest właśnie niebezpieczna zagadka mrocznej, demonicznej kobiecości, a nie figura kobieca jako przedmiot malarskiej kontemplacji. Za taką wykładnią przemawia specyfika kompozycyjna tych obrazów, której zasadą jest dekapitacja. Gordon⁴, przedstawiciel neofiguracji, też dojrzewał do swego „flagowego” tematu, który ostatecznie zdominował i opanował całkowicie jego malarstwo i wyobraźnię. Jest w zbiorach Muzeum Lubuskiego w Gorzowie urbanistyczny portret miasta (Gorzów), wczesny obraz z końca lat siedemdziesiątych, gdy młody absolwent akademii sztuki przyjechał i osiadł w Gorzowie. Wtedy pewnie decydowały się jego ideowe (może też warsztatowe?) preferencje.

Znacznie rzadziej ma miejsce sytuacja, którą ilustrować może przypadek Michała Bajsarowicza. Formalnie bliski malarstwu Gordona: tu i tam uproszczona sylwetka kobieca i – co ważniejsze – konsekwentna dekapitacja, lecz autor doświadcza innych mąk, wynikłych z decyzji podjęcia tego tematu. Gdy u Gordona czujemy jakąś bezradność wobec siły i niejasnej tajemnicy seksualizmu, Bajsarowicz podąża za innymi tajemnicami samego kształtu z jego rozlicznymi doskonałościami. Jest wytrawnym rysownikiem – kontur przedstawianych form wyznacza nerwowa, szybka kreska, złożona z wielu krótkich dotknięć pędzla czy ołówka. Nigdy nie jest cienką, bezwzględną linią wahlowej granicy między konkretem a wiecznością. Swoisty dramat tego artysty bierze się stąd, że właściwie od początku świadomego malowania, z uporem, uprawia ten trudny temat. Zawsze

maluje to samo – nie licząc całkowicie juvenilnych, zarobkowo traktowanych zadań, w postaci gustownych „marszczonek” – jakby przekonany był, że zbliża się do uchwycenia (to jak przytłapanie na gorącym uczynku!) chwili stawiania się, czy może decydowania o ostatecznym przeznaczeniu, kształcie i formie rzeczy. Nie eksponuje „pierwszorzędnych cech płciowych”, a kolor też wydaje się u niego sprawą drugorzędną. Jest rodzajem „żelu”, w jakim zanurzone są – niczym w akwarium – bezgłowe korpusy. Czasem jest zielonkawy, czasem fioletowawy. Powoduje to wrażenie, że formy zostały świadomie „utopione” (ale to oznacza także: pozbawione grozy!). Bajsarowicz⁵ jest autorem przynajmniej kilkunastu – może kilkudziesięciu – mistrzowskich, przejmujących wyrazistych obrazów, z których każdy oddzielnie silnie dominuje wyobraźnię widza, a których suma jednak obnaża pewną słabość: czuje się niemal fizycznie niemożność pójścia dalej i współodczuwa się z artystą ten ból. – Cóż, gdy podejmuje się temat aż tak niebezpieczny, łatwo wpaść można na rafa banału. Pewnie dlatego, broniąc się przed pójściem drogą „łatwizny”, artysta od dłuższego czasu albo milczy, albo wypowiada się w innych materiałach: glinie lub klasycznej rzeźbie w brązie. I czyni to nie bez sukcesu. Wciąż jednak ufam, że Michał wzniesie się ponad własną słabość i – nawet raniąc się bardzo – dopadnie sensu czy sedna rzeczy. Mam też niczym nie poparte przekonanie, że gdyby pokornie przeszedł nudną (może) drogę dochodzenia do formy doskonałej, spinającej to, co zewnętrzne z tym, co przed oczami zakryte, dziś byłoby mu łatwiej. I jako artyście, i człowiekowi.

Wszystkie myśli o różnych aspektach postrzegania figury ludzkiej nachodzą mnie przy okazji oglądania wystawy prac Grzegorza L. Piotrowskiego w gorzowskiej Galerii BWA⁶. Pamięć przywołuje obrazy obrzydliwości, piękna, bólu, zdradliwości, doskonałości i harmonii, niewinności

4 R. Ochwat, *Gordon*, WiMBP, Gorzów 2007.

5 G. Balcerzak, *Miszka*, „Pro Libris” 1(14) 2006.

6 Grzegorz L. Piotrowski, *Malarstwo*, wystawa w Galerii BWA MOS w Gorzowie, czynna do 31 sierpnia 2011.

i wyuzdania, słodczy, brutalności w przedstawieniach wielu malarskich bohaterów z różnych stuleci, ale też podsuwa inne aspekty – niewymownej traumy powołujących je do życia malarzy jak Bacon, Caravaggio, Kirchner z jego *Żołnierską łazią*, Emil Nolde, Egon Schiele czy Bruno Schulz i wielu innych. Targają mną silne emocje, pewnie dlatego, że na dłuższy czas straciłam z oczu postępy, jakie czyni Grzesiek Piotrowski, niedysiejszy wielokrotny laureat nagrody prezydenta miasta, promującej „młode talenty”. Stąd zaskoczenie i emocje. Wystawa jako całość jest w sposób dojrzały przemyślana i zrównoważona⁷, pewnie dlatego wrażenie jest tak silne. Zdaje się wypowiedzieć osobistą, a zarazem z wielką mocą „wykrzyczaną”, manifestuje radość malarza z możliwości mierzenia kolczastą drogą artysty, zgodę na to, że musi boleć, gdy pokornie przyzwoliło się na (niewyobrażalną jeszcze) mękę, gdzieś ucieknie uczenie nazywaną „bólem istnienia”. Oczywiście są wśród kilkudziesięciu płócien obrazy różnej wartości, pyszne, brawurowo łączące celność prowadzonego bez wahania konturu z równowagą malarskich rozstrzygnięć, jaka przejawia się starannie przemyślanym rozkładem⁸ żywych, mocno nasyconych plam, a obok nich – odnajduje się przedstawienia powściągliwe, dramatyczne i przejmujące tak bardzo, że studio wałam je jakby ukradkiem i z daleka, fizycznie niemal bojąc się do nich podejść, nazywając je – dla siebie – „rannymi sarnami”. Przed innymi obrazami stawiałam z kolei długo, rozmawiając z nimi, a poprzez nie – także z artystą, będąc pewna, że ten młody wciąż twórca, ze swobodą (pozorną?) i pewną (czarującą!) dezynwolturą poruszający się w zwodnym labiryncie wartości, musi skrywać w dłoni koniec znanej z mitu nici, która przeprowadzi go poprzez niebezpieczeństwa. Może dlatego – myślę dalej – czuć w jego obrazach i upór, i pewność kogoś, kto „wie”, kto śmiało zmierza do ISTOTY, ale – myślę w popłochu – co stało się ostatecznie z Tezeuszem...? A ponieważ mam wiele sympatii do samego artysty, niesforne

myśli staram się odganiać od bieguna smutku do radości. Bo taka wiedza, co starałam się pokazać kilkoma przykładami współczesnych twórców, jest niebezpieczna niczym dzika hydra i tylko liczne zastępy uczestników nurtu społecznej interwencji oraz rozmaici „elektrycy” (jak ich nazywają koledzy plastycy) nie są narażeni na ów paskudny *Weltschmerz*, bo ich cel jest zgoła inny. – Choć kto wie? Może szybki, spektakularny sukces, także medialny, nie przeszkodzi wszystkim z wymienionych w bywaniu artystą (bo przecież nie „magistrem sztuki!”)? Zawsze można posłużyć się przykładem Rubensa, który opływając w dostatki czerpane z malarstwa, rozpaczliwie szukał we własnej twórczości tego, co wymyka się wciąż i wciąż wabi. W dziesiątkach późniejszych dzieł, jakie malarz pozostawił, odnajdujemy istotny ślad tego niepokoju – kobiety, początkowo ponętne (rubensowskie), z czasem stają się coraz tłustsze. Tracą formę, a delikatny kontur, jakim zakreślał kiedyś nieomylny artysta ich ramiona, biodra i piersi, nie biegnie już czystymi łagodnymi łukami, lecz meandruje, opisując fałdy tłuszczu i nieforemnych miękkości. Nie tylko bohaterki obrazów zatracają się w swojej cielesności, zatracają się w swym przekłętym dążeniu wyznaczenia granicy oraz istoty piękna przede wszystkim sam malarz. – Czym ono jest? Kiedy się staje, kiedy kończy? I czy?... Bo nie o sam wizerunek kobiety jako jednej z esencji piękna szło Rubensowi i innym, dziś uznany za geniusza malarstwa, artystom różnych czasów. Przecież kobieta czy po prostu figura ludzka to taki sam temat malarski jak (nie przymierzając) główka kapusty, gdyby ktoś zechciał poprzez jej foremną głowiasto-liściastą materię szukać istoty i sensu rzeczy.

Grzegorz Piotrowski wszedł na ścieżkę tego rodzaju niebezpieczeństw. Pozostaje się na niej boleśnie samotnym. Można z niej łatwo zejść (uciec?) do nęcącego sukcesu i chwilowego powodzenia. Mam tylko nadzieję, że czuwa nad nim któryś z licznych a troskliwych aniołów stróżów.

7 Jedynie niewielki aneks z „Madonnami” wydaje się chybiony kompozycyjnie.

8 Piotrowski mówi: „czułem, że muszę położyć tam tę żółć”.

jak tam jest

jak tam jest
za zbyt długim milczeniem
za głuchym telefonem
za niewysłanym listem
za różą której nie ma
na stole

jak tam jest
za odległym spotkaniem
rąk zetknięciem
uśmiechem

i za wstrzymanym nagle
oddechem

Samotność

Rzęsy ciężkie od tuszu,
na skroni zmarszczek cienie.
W pustym kieliszku topisz
niespełnione marzenia.

Drżące usta i ręce,
pusty wzrok wbity w okno.
Czy myślisz, że utopisz
także swoją samotność?

Zatańcz ze mną

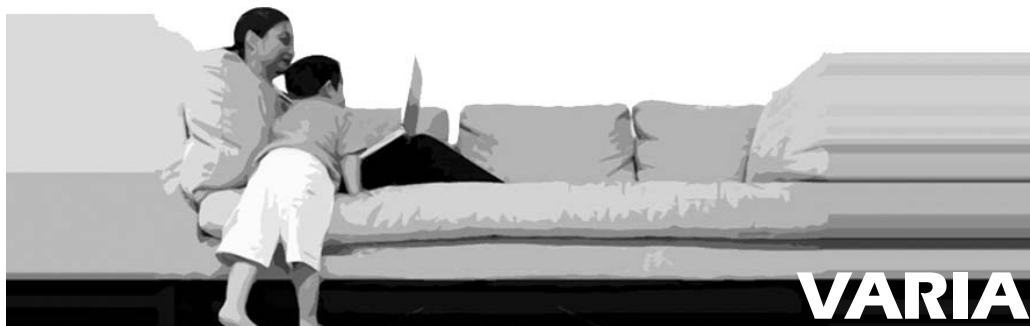
zatańcz ze mną
póki jeszcze
oczarowanie
oczy od grzechu ciemne

zatańcz ze mną
włosom nadaj
lekkości światła
zanim odejdę

póki jeszcze...
zatańcz

Lubię

lubię
gdy piękny i blady
z wyciszonym oddechem
obejmujesz mnie mocno
powieki drżące
jak skrzydełka motyla
słyszę spokojne
uderzenia serca
wtulam twarz
w zagłębienie szyi
wargami dotykam
słonawej skóry
lubię



Agnieszka Moroz

Sapkowskiego strategia budowania na ruinach, czyli od Czerwonego Kapturka do wiedźminki

Współczesne badania literackie wykazują duże zainteresowanie literaturą fantastyczną i pokrewnymi jej gatunkami. Analizując prace podejmujące ową tematykę, łatwo zauważyć panujący na tym polu chaos pojęciowy i terminologiczny. O ile bowiem badacze oraz przeciętni czytelnicy bez problemu radzą sobie z określeniem, czy mają do czynienia z fantastyką, czy też nie, o tyle próba

wskazania kryteriów tego rozpoznania zarówno jednym, jak i drugim nastręcza wiele trudności. Paradoksalność powyższej sytuacji dostrzegł już Mariusz Kraska, stwierdzając ironicznie, że sama w sobie jest ona fantastyczna¹. Marek Oziewicz zwrócił natomiast uwagę na fakt, iż postępowanie badawcze w ramach poetyki opisowej komplikują ponadto teorie o krzyżowaniu się gatunków i o ich

¹ M. Kraska, *Czy fantastyka może być realistyczna albo co teoretycy literatury widzą po drugiej stronie lustra*, „Acta Universitatis Wratislaviensis. Literatura i Kultura Popularna XI”, Wrocław 2003, s. 5.

historycznej zmienności². W niniejszej pracy spróbuję przedstawić, na czym polega granica pomiędzy baśnią a fantasy (rozumianą zgodnie ze wskazaniem Michała Głowińskiego jako jedna z wielu odrębnych form fantastyki³) i w jaki sposób swoistą płynność tej granicy wykorzystuje do kreowania świata swych powieści Andrzej Sapkowski. Z powodu wspomnianego zamętu terminologicznego panującego na gruncie polskim, odwołam się jednak do angloamerykańskich teorii fantasy (podobnie jak Marek Oziewicz uważam, iż badania nad zróżnicowaniem wewnętrznym tego gatunku znajdują się na wyższym poziomie zaawansowania w literaturoznawstwie angloamerykańskim niż w polskim⁴).

Uważany za klasyka, a nierzadko wręcz prekursora tego gatunku, J. R. R. Tolkien po raz pierwszy użył terminu „fantasy” w swym eseju *O baśniach (On Fairy-Stories)*. Omawiając ów szczególny rodzaj literatury, pisarz podkreślił m.in., że jest on: „tworzeniem Innych Światów bądź ich »oglądaniem«”⁵.

Zaznaczył jednocześnie, iż prezentowany w powieści świat musi być wewnętrznie spójny i na tyle wiarygodny, by umysł czytelnika mógł się w nim zanurzyć i przyjąć za „prawdziwe” wszystko to, czego się o nim dowiaduje. Najważniejszym zadaniem, stojącym przed twórcą takiej literatury, jest więc wywołanie u odbiorcy „literackiej wiary” w przedstawianą rzeczywistość. Istnienie wszystkich cudownych elementów dzieła, niezwykłych miejsc i postaci musi być przez autora odpowiednio umotywowane (powinien on wykreować np. ich historię czy złożoność)⁶.

Teorię Tolkiena rozwinęła w swym przewodniku po fantasy *The Hills of Faraway* Diana Waggoner.

Zdaniem badaczki:

Autor prawdziwej fantasy musi przekonać czytelnika o dwóch rzeczach: po pierwsze, że jego świat jest prawdopodobny, po drugie, że prawdopodobna jest fabuła, którą w tym świecie sytuuje. [...] Fantasy [dążąca] do wytworzenia literackiej wiary w oparciu o konwencje baśni nie osiągnie tego, ponieważ konwencje te nie są w stanie sprostać realistycznym kryteriom weryfikacyjnym. Matka chrzestna będąca wrózką nie może po prostu pojawić się, musi zostać ustanowiona, jej prawdziwość uzasadniona, umotywowana⁷.

Kreując rzeczywistość *Sagi o wiedźminie*, Andrzej Sapkowski posłużył się jednak baśniową konwencją w nowatorski sposób, którego Waggoner nie przewidziała. Zaprzeczył tym samym stworzonej przez nią teorii, ukazując, że odpowiednie wykorzystanie faktu, iż granica pomiędzy pokrewnymi gatunkami: baśnią i fantasy jest cienka, może wywołać u czytelnika pożądany stan, który Samuel Coleridge określa jako „zawieszenie niedowierzania” (suspension of disbelief)⁸. W jaki sposób pisarzowi udało się tego dokonać?

Powszechnie wiadomo, że informacje na temat zaginionych cywilizacji zaczerpnąć można jedynie z odnalezionych przez archeologów pozostałości, takich jak: ruiny budowli, ceramika, malowidła. Najcenniejszym źródłem wiedzy są jednak zawsze znaleziska w postaci literatury (jej fragmentów, zwojów, tabliczek z wrytymi napisami). Jeżeli badacze potrafią odczytać alfabet, którym posługiwały się dawne ludy, są w stanie odtworzyć ich historię i poznać kulturę, odbijającą się w legendach, baśniach czy poda- niach. Pisząc cykl o wiedźminie, Sapkowski do-

2 M. Oziewicz, *Rozważając fantasy. Diany Waggoner propozycje typologii odmian gatunku*, „Literatura Ludowa”, nr 2/2000, s. 37.

3 M. Głowiński, *Gatunek literacki i problemy poetyki historycznej, Proces historyczny w literaturze i sztuce*, Warszawa 1967, s. 36.

4 M. Oziewicz, dz. cyt., s. 38

5 J. R. R. Tolkien, *Drzewo i liść oraz Mythopoeia*, tłum. J. Kokot, M. Obarski, K. Sokołowski, Poznań 2000, s. 27.

6 Tamże, s. 31-32.

7 D. Waggoner, *The Hills of Faraway*, s. 24; cyt. za: M. Oziewicz, dz. cyt., s. 42.

8 S. Coleridge, *Biografia literaria* [online]. Dostęp: <http://www.online-literature.com/coleridge/biographia-literaria/14/> [odczyt: 1.03.2011].

skonałe wykorzystał ten fakt. Ostatnia część sagi pt. *Pani Jeziora* jest swoistą retrospekcją. Rozpoczyna się spotkaniem przez Ciri (główną bohaterkę) tajemniczego Galahada, który zgadza się wysłuchać historii jej życia. Przeniesiona dzięki swym magicznym zdolnościom w inne miejsce i czas dziewczyna decyduje się opowiedzieć rycerzowi o nieistniejącym już świecie oraz o wydarzeniach, jakie miały w nim miejsce. Równoległe do opowieści wiedźminki, czytelnik śledzi losy Nimue i Condwiramurs – czarodziejek żyjących w tej nowej, przyszłej (w stosunku do poprzednich części cyklu) rzeczywistości. Postaci te próbują odtworzyć historię Cirilli i jej przyjaciół, korzystając z wielu różniących się od siebie wersji legend i baśni, jakie na ich temat powstały. Sapkowski nie poprzestaje jednak na samym wspomnianiu o tych działaniach w toku fabuły swej powieści, nie odsyła czytelników do jakiejś wirtualnej biblioteki istniejącej jedynie w wiedźmińskim świecie. Przeciwnie – sam tworzy baśnie opowiadające o wiedźminie Geralcie, jego przybranej córce Ciri oraz czarodziejce Yennefer i umieszcza ich fragmenty przed poszczególnymi rozdziałami, podając jako źródło m.in. dzieło *Bajki i klechdy* fikcyjnego pisarza, Flourensa Dellanoy’a. Autor zamieścił wiele podobnych „pseudocytatów” we wszystkich częściach *Sagi o wiedźminie*, jednakże dopiero w kontekście ostatniego tomu cyklu odbiorca może zrozumieć ich znaczenie. Czytając te, sprzeczne z treścią fabuły, baśnie, trudno oprzeć się wrażeniu, że mówią one o świecie, który istniał naprawdę, a po którym, tak jak po starożytnych cywilizacjach, pozostały jedynie przekazy – zanotowane przez pisarzy, a wcześniej dowolnie zdeformowane przez wędrujących po wsiach gawędziarzy. Zwłaszcza że Sapkowski sprytnie przeplata je z cytatami z utworów prawdziwych pisarzy, takich jak Johann Wolfgang Goethe czy François Villon, sugerując ich autentyczność.

Omawiając zasady, na jakich powinien oprzeć się pisarz powieści z gatunku fantasy, Tolkien pod-

kreślał, jak ważne jest odpowiednie umotywowanie kreowanej rzeczywistości, stworzenie jej mitologii i historii. By opowiedzieć o wczesnych dziejach Śródziemia, w którym umieścił akcję swych utworów, napisał on osobne dzieło *Silmarillion*, rozpoczynające się opisem stworzenia świata przez Eru. Sapkowski nie zamierza jednak iść w jego ślady. Nie prezentuje czytelnikom fundamentów wiedźminlandu. Od pierwszego zdania każe im raczej skupić uwagę na toczącej się tam akcji. Jednocześnie zdaje sobie sprawę, że pobieżne potraktowanie niektórych elementów tej rzeczywistości może zachwiać „literacką wiarą” odbiorców. Burzy zatem ową krainę, wskazując na jej pozostałości i tłumacząc w ten sposób, iż wszelkie braki są naturalną konsekwencją procesu zniszczenia.

Zastanówmy się, jak zbudowane są same fragmenty baśni, stanowiące owo fikcyjne dziełzictwo. Za przykład niech posłużą dwa z nich, z których pierwszy wymyślony w całości przez autora, czerpie jedynie z charakterystycznych dla tej konwencji rekwizytów, drugi zaś stanowi zabawną trawestację bardzo znanej baśni Charlesa Perraulta pt. *Czerwony kapturek*:

- 1) Wówczas rzekła wróżka do wiedźmina: „Taką ci dam radę: obuj żelazne buty, weź do ręki kostur żelazny. Idź w żelaznych butach na koniec świata, a drogę przed sobą kosturem macaj, łzami skrapiaj. Idź przez ogień i wodę, nie ustawaj, wstecz się nie oglądaj. A gdy już zedrą się chodaki, gdy zetrze się kostur żelazny, gdy już od wiatru i żaru wyschną twe oczy tak, że już ni jedna łza z nich wypłynąć nie zdoła, wówczas na końcu świata odnajdziesz to, czego szukasz i to, co kochasz. Być może.” I wiedźmin poszedł przez ogień i wodę, wstecz się nie oglądał. Ale nie wziął ni butów żelaznych, ni kostura. Wziął tylko swój miecz wiedźmiński. Nie posłuchał słów wróżki. I dobrze zrobił, bo to była zła wróżka.⁹

9 A. Sapkowski, *Chrzest ognia*, Warszawa 1996, s. 5.

2) – Mam wielkie ślepie, by cię dobrze widzieć!
– zawrzaszęto żelazne wilczysko. – Mam wielkie łapy, by cię nimi chwycić i objąć! Wszystko mam wielkie, wszystko, zaraz się o tym przekonasz dowodnie. Czemu tak dziwnie mi się przypatrujesz, mała dziewczynko? Czemu nie odpowiadasz?

Wiedźminka uśmiechnęła się.

– Mam dla ciebie niespodziankę.¹⁰

Pomimo iż nie wiemy, jak potoczyły się ostatecznie losy bohaterów, już na pierwszy rzut oka możemy stwierdzić, że baśniom tym grozi „wykolejenie się” z konwencji, opuszczenie obszaru właściwej im ontologii. Ich konstrukcja sprawia, że są one w stanie przekroczyć granicę pomiędzy klasycznym baśniowym światem a rzeczywistością, określaną przez Stanisława Lema jako „świat nowszej wersji bajki – fantasy”¹¹. Jak słusznie zauważa pisarz, baśń stanowi bowiem pewnego rodzaju homeostat, dążący do idealnej równowagi, która nawet silnie naruszona, musi zostać przywrócona ponownie. Realizuje ona to, co jest głównym celem bohaterów, nie dopuszczając do pojawienia się „zastrzyków losowości”, stanowiących zagrożenie dla klarowności schematów bilansowania dobra i zła. Przedstawione w niej postaci powinny natomiast przeżywać przygody i pokonywać liczne trudności, aby przetestować swoją sprawność i ostatecznie otrzymać nagrodę. Świat baśni sprzyja bowiem niezawodnie tym, po których stronie powinien się opowiedzieć zgodnie z odczuciem odbiorców¹². Zaprezentowane przeze mnie baśnie łamią te podstawowe zasady. Wróżka, udzielająca wiedźminowi porady, okazuje się złą, co uznać należy za wyjątkowe zrządenie losu (baśniowe wróżki, jak choćby te ze *Śpiącej królowej* czy *Kopciuszka*, są przecież zawsze uosobieniem dobroci). On sam decyduje się zaś na

podjęcie pełnej przeszkód wędrówki, ale zamiast ciężkich żelaznych butów, zabiera ze sobą miecz i tym samym bardzo ułatwia sobie zadanie. Nie do końca zasługuje więc na czekającą u celu drogi nagrodę. Straszona przez wilka dziewczynka nie czuje natomiast lęku. Uśmiecha się i zapowiada, że ma dla niego niespodziankę. Łatwo domyślić się, że nie zostanie ona pożarta przez wilka, tak jak Czerwony Kapturek, i że nie będzie spokojnie oczekiwać w jego brzuchu na pomoc myśliwego. Raczej zaatakuje potwora srebrnym mieczem, jak na wiedźminkę przystało, a później, kto wie, może nawet powlecze jego cielsko do najbliższej wioski, domagając się zapłaty za zabicie monstrum?

Zastanawiając się nad, mimo wszystko, płynną granicą pomiędzy fantasy a baśnią, Lem podkreśla, iż ta pierwsza jest ontologicznie trochę bliższa rzeczywistości. Rządząc baśnią prawa, opierają się na „precyzyjnym wypełnianiu opiekuńczo-uszczęśliwiających obowiązków względem każdego dobrego bohatera”¹³. Kiedy natomiast „esencja pozostaje, lecz [...] optymizm deterministyczny losu przemienia się w determinizm przez stochastykę trafów podniszczany, bajka klasyczna obraca się w fantasy”¹⁴. Pisząc *Sagę o wiedźminie*, Andrzej Sapkowski doskonale zdawał sobie z tego sprawę. W zbiorze opowiadań pt. *Miecz przeznaczenia*, stanowiącym wprowadzenie do cyklu, główny bohater, Geralt, przybywa do zamku królowej Calanthe, aby zabrać stamtąd jej wnuczkę Ciri i wyszkolić ją na wiedźminkę. Królowa nie chce się jednak na to zgodzić i sądząc, że nie ma innego wyjścia, próbuje oddać mu w zamian jedno z dzieci, bawiących się na gościńcu. Geralt nie zamierza zabierać nikogo na siłę i stwierdza:

W bajce, i owszem, królowa musi błagać wiedźmina, a wiedźmin żądać swego i tupać nogami. W życiu królowa może po prostu

¹⁰ Tenże, *Wieża jaskółki*, Warszawa 1997, s. 391.

¹¹ S. Lem, *Fantastyka i futurologia*, t. 1, Kraków 2003, s. 89.

¹² Tamże, s. 89-90.

¹³ Tamże, s. 92.

¹⁴ Tamże, s. 90.

powiedzieć: „Nie zabieraj dziecka, proszę”. A wiedźmin odpowie: „Skoro prosisz, nie zabiorę”. I odjedzie w kierunku zachodzącego słońca. Samo życie.¹⁵

Sapkowski celowo wkłada w usta Geralta to porównanie. Sugeruje w ten sposób, że to, co dzieje się w wiedźmińskim świecie, jest realne. „Uwiarygodnia” oparte na baśniowej konwencji wydarzenia, jakie wpłata w samą fabułę powieści, dodatkowo się asekurując. Nie przekracza w ten sposób granic gatunku fantasy, jest za to w stanie stworzyć historię, która zafascynuje i rozbawi czytelnika.

Jednocześnie nie zapomina oczywiście o odpowiednim „wykolejeniu” baśni, do jakich nawiązuje. Kiedy na przykład przyjaciel Geralta, Jaskier, znajduje tajemniczą starą lampę, pociera ją z pełnym przekonaniem, że ukryty w środku džinn natychmiast spełni wszystkie jego życzenia. Dżinn rzeczywiście wylatuje z lampy, ale nie spieszy się z wypełnieniem poleceń mężczyzny. Atakuje za to Jaskra i poważnie go rani¹⁶. Daleko mu zatem do uśmiechniętego ducha, który w *Baśniach tysiąca i jednej nocy* ochoczo pomagał Aladynowi zdobyć względy ukochanej. Przeklęty rycerz Duny, ukrywający pod żelazną zbroją głowę jeża, zostaje

natomiast odczarowany dzięki miłości łączącej go z królowną Pavettą. Zakochani nie spędzają jednak razem wielu szczęśliwych lat, tak jak postacie z *Baśni o stalowym jeżu* Jana Brzechwy, do której opowieść o Dunym zdaje się nawiązywać. Rycerz okazuje się bowiem nikczemnikiem i w końcu doprowadza do śmierci królowny, usiłującej przeszkodzić mu w spełnieniu niecznych planów¹⁷.

Wykorzystanie baśniowej konwencji do kreowania fabuły wiedźmińskiego cyklu i zapewnienie o realności tej ostatniej ma jednak jeszcze jedno istotne zastosowanie. Mianowicie buduje ono fundamenty niezbędne do posłużenia się opisaną już przeze mnie „strategią zniszczenia”. Magiczność bajań rzekomego Dellanoy’a, pojawiające się w *Bajkach i klechdach* wróżki czy mówiące wilki, domagają się jakiegoś umotywowania, odniesienia do rzeczywistości powieści, inaczej odbiorca mógłby nie uwierzyć, że zostały one stworzone w jej świecie i stanowią dziedzictwo tego świata. Czytając o perypetiach bohaterów, natykających się na groźne džinny i jeżogłowych rycerzy, łatwiej jest uznać, iż przedstawiające ich losy baśnie są integralną częścią stworzonego przez Sapkowskiego wiedźminlandu, dowodem na jego spójność. Ta oryginalna metoda skłonienia czytelnika do „zawieszenia niedowierzania” okazuje się skuteczna.

15 A. Sapkowski, *Miecz przeznaczenia*, Warszawa 2001, s. 313.

16 Tamże, *Ostatnie życzenie*, Warszawa 2001, s. 222.

17 Tamże, s. 141-159.

W tym roku mija 50 lat istnienia i funkcjonowania oddziału zielonogórskiego Związku Literatów Polskich. Dzieje stowarzyszenia przybliży poniższy tekst.

Robert Rudiak

Z historii zielonogórskiego oddziału ZLP

W 1957 roku, z chwilą utworzenia Lubuskiego Towarzystwa Kultury, ukazały się pierwsze książki na Ziemi Lubuskiej, a już cztery lata później spośród pisarzy osiadłych nad środkową Odrą i dolną Wartą można było zebrać grupę autorów, którzy spełniali wymogi statutowe przyjęcia do Związku Literatów Polskich. Wymagane minimum kadrowe do zawiązania samodzielnego oddziału ZLP wynosiło wówczas sześć osób i tyłu w 1961 roku było pisarzy na Ziemi Lubuskiej, legitymujących się przynależnością do ZLP. W grupie tej znalazło się trzech literatów z Zielonej Góry, dwóch z Gorzowa Wielkopolskiego i jeden ze Wschowy.

Uchwałą Zarządu Głównego ZLP podjętą 13 października 1961 roku utworzono oddział zielonogórski. I to wówczas znamienna „trzynastka”, przesądnie uważana w kulturze zachodniej za pechową, zaczęła prześladować lubuskich literatów zrzeszonych w ZLP. Uchwałę podjęto – co znamienne – także o godzinie 13.00, a więc tuż przed ogłoszeniem przerwy obiadowej. A oddział zielonogórski, jak się okazało, był trzynastym w strukturze organizacyjnej Związku. Zaistniał na literackiej mapie kraju po oddziałach utworzonych w Warszawie i Krakowie (1920), Poznaniu (1921), Lublinie (1944),

Katowicach i Łodzi (1945), Gdańsku (1946), Wrocławiu i Bydgoszczy (1947), Szczecinie (1950) oraz Olsztynie i Opolu (1955).

Zielona Góra jak młody ośrodek administracyjny i kulturalny w pasie zachodniej Polski wyprzedził pod tym względem takie miasta i centra kulturowe, jak Koszalin, Rzeszów, Toruń, Białystok, Radom czy Kielce. Tylko rok wcześniej od oddziału ZLP powstał w Zielonej Górze oddział Związku Polskich Artystów Plastyków, który był pierwszą zawodową organizacją zrzeszającą na Ziemi Lubuskiej profesjonalnych twórców.

Pierwsze zebranie zielonogórskiego oddziału ZLP odbyło się 4 listopada z udziałem władz Zarządu Głównego. Wybrano wówczas zarząd oddziału, na czele którego stanął Bolesław Soliński, który pełnił funkcję prezesa oddziału do 1975 roku. W 1962 roku do nowo utworzonego oddziału ZLP przyjęto kolejnych czterech członków, a następne przyjęcia miały miejsce w 1968 roku i wówczas zielonogórski oddział liczył już 13 członków. Owa trzynastka tym razem okazała się feralna dla lubuskich literatów, bowiem przez szereg lat oddział nie mógł przekroczyć tego stanu osobowego. W kolejnych latach, kiedy przybywał

do zielonogórskiego oddziału nowy literat, tegoż samego roku inny opuszczał jego szeregi, przenosząc się do innego oddziału w kraju. Stan ten utrzymywał się aż do chwili rozwiązania Związku Literatów Polskich w 1981 roku wraz z wprowadzeniem stanu wojennego.

W dwa lata po utworzeniu oddziału zielonogórskiego powierzono mu organizację VI Zjazdu Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych, który był pierwszą i największą imprezą pisarską na Ziemi Lubuskiej. Uczestniczyło w nim blisko 100 pisarzy, krytyków literackich i publicystów oraz delegacje pisarzy z Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Czechosłowacji. W zjeździe brało udział również około 50 przedstawicieli władz samorządowych, wydawców, bibliotekarzy i księgarzy oraz dziennikarzy prasowych i radiowych, a także redaktorów ośrodków telewizyjnych. Organizację kolejnego zjazdu zielonogórski oddział podjął się w 1970 roku, był to – *nomen omen* – zjazd XIII. W obradach zjazdowych wzięło udział niemal 150 przedstawicieli środowisk pisarskich oraz 70 zaproszonych gości – władze partyjne i państwowe kraju, przedstawiciele władz województwa zielonogórskiego, reprezentanci wydawnictw, dziennikarze prasy społeczno-kulturalnej, redaktorzy literacy radio i telewizji, działacze ruchu społeczno-kulturalnego oraz delegacje zagraniczne z ZSRR, Czechosłowacji, NRD, Węgier, Bułgarii i Rumunii.

Jak się okazało, zjazd zielonogórski był ostatnim w dziejach Zjazdu Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych, bowiem w grudniu 1970 roku w Warszawie podpisano „Układ między PRL i RFN o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków”, na mocy którego rząd zachodnioniemiecki uznał granice Polski na Odrze i Nysie łużyckiej za nienaruszalne i ostateczne. Z tych, czysto politycznych względów, dalszą organizację zjazdów literatów z ziem przyłączonych po 1945 roku do Polski uznano za bezcelową, bowiem zamiarem tychże polityczno-propagandowych zjazdów było głównie potępienie zachodnioniemieckich odwetowców oraz kół rewizjonistycznych wrogich PRL.

W 1974 roku, na który przypadła 13 rocznica istnienia zielonogórskiego oddziału ZLP, wyszedł

on z inicjatywą organizacji w ramach X Festiwalu Piosenki Radzieckiej – Dni Literatury Radzieckiej, na które zapraszano pisarzy z krajów republik radzieckich oraz literaturoznawców, językoznawców i tłumaczy literatury rosyjskiej (w sumie odbyło się szesnaście edycji Dni, a ostatnie miały miejsce w 1989 roku, kiedy zorganizowano po raz ostatni Festiwal Piosenki Radzieckiej).

Dokładnie dwa lata od ogłoszenia stanu wojennego, 13 grudnia 1983 roku reaktywowano w Zielonej Górze oddział ZLP. Jak wynika z zachowanych protokołów, uchwałą o reaktywowaniu oddziału podjęto ośmiu członków dawnego ZLP i tu uwaga – o godzinie 13.00, gdyż wówczas nastąpiła planowa przerwa na posiłek. Na czele tzw. neo-zlepu stanął Zbigniew Ryndak, który był głównym inicjatorem wskrzeszenia zielonogórskiego oddziału ZLP. Już rok później oddział liczył 9 członków i 4 kandydatów na członka. Liczba rzeczywistych członków oddziału znów nigdy nie przekroczyła 13 osób, a tytu oddział liczył w latach 1987-1989.

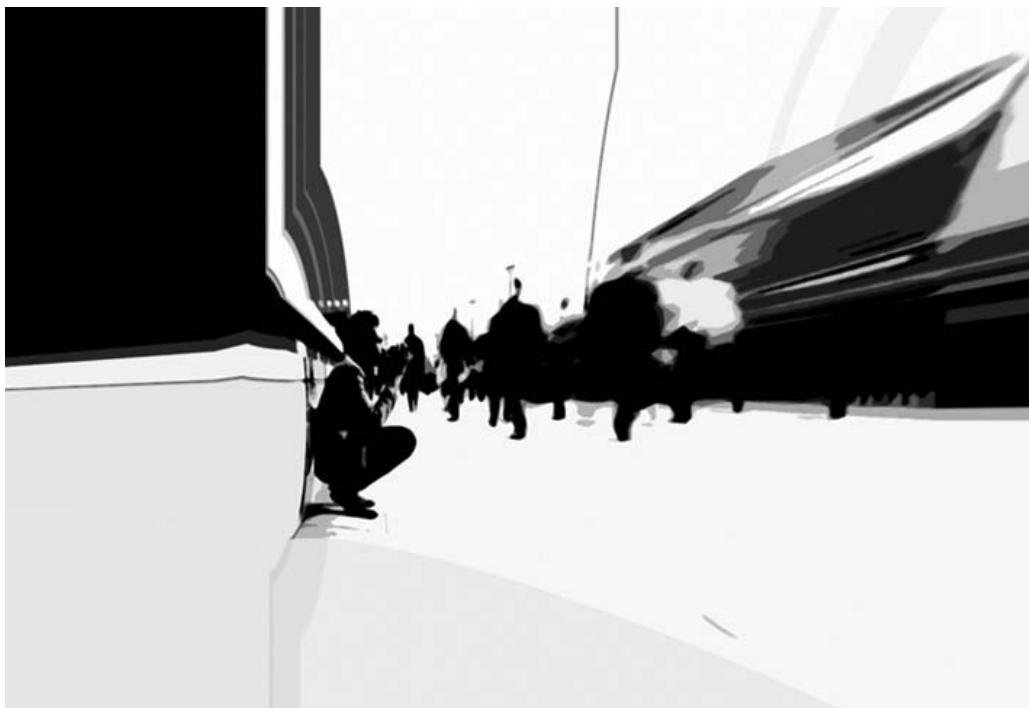
Jeszcze w 1997 roku stan kadrowy zielonogórskiego oddziału zamykał się liczbą 11 członków i 5 kandydatów. Dopiero rok później, w wyniku szeroko zakrojonych działań integracyjnych podjętych przez nowego prezesa oddziału Eugeniusza Kurzawę, udało się przyciągnąć kilku członków z ówczesnego województwa gorzowskiego, a oddział przekroczył w końcu nieosiągalną dlań od początku istnienia liczbę 13 członków rzeczywistych. W 1997 roku w strukturze zielonogórskiego oddziału znajdowało się 32 literatów, w tym ponad 20 członków. W 2003 roku stan ten powiększył się do 39 osób. Z chwilą powołania samodzielnego oddziału ZLP w Gorzowie Wielkopolskim (drugi oddział na Ziemi Lubuskiej), który narodził się na bazie funkcjonującego wcześniej Klubu Literackiego ZLP, oddział w Zielonej Górze skupiał 24 pisarzy. Obecnie jego stan kadrowy wynosi 30 członków plus 1 kandydat. Do zielonogórskiego oddziału należą nie tylko pisarze z Zielonej Góry, ale głównie twórcy z południowej części województwa lubuskiego oraz ośmiu pisarzy z województw dolnośląskiego i wielkopolskiego.

Dziś o przyjęcie do oddziału ZLP w Zielonej Górze ubiega się kolejnych trzech kandydatów.

W mijającym pięćdziesięcioleciu istnienia zielonogórskiego oddziału ZLP należało do niego w sumie 66 pisarzy (w tym 17 kobiet), 19 spośród nich już nie żyje, a 26 odeszło do innych oddziałów ZLP lub całkowicie wystąpiło ze Związku. W zielonogórskim oddziale były lub są osoby m.in. z Poznania, Głogowa, Jeleniej Góry, Wolsztyna, Wschowy, Barlinka, Gorzowa Wlkp., Sulęcina, Nowej Soli, Świebodzina, Żar, Żagania oraz najwięcej z Zielonej Góry. Również przekrój społeczny członków oddziału był i nadal jest bardzo szeroki, począwszy od naukowców, profesorów akademickich, prawników, dziennikarzy i publicystów, działaczy i animatorów kultury, poprzez dyrektorów zakładów pracy, redaktorów naczelnych pism i gazet, nauczycieli, bibliotekarzy, urzędników, księży katolickich, rolników, robotni-

ków, aż po osoby pozostające dzisiaj na emeryturze, rencie lub nawet bez stałego zatrudnienia. Na ich dorobek literacki składa się blisko dwieście publikacji książkowych: zbiorów wierszy, poematów, opowiadań, legend i baśni, reportaży, esejów oraz powieści, dramaty, monografie, przekłady, opracowania naukowe, książki dla dzieci i młodzieży, a także słuchowiska radiowe. Za swoją twórczość wielu z nich otrzymało szereg prestiżowych nagród i wyróżnień.

Najdłużej z oddziałem związany jest Janusz Koniusz (od początku jego zawiązania), który pełnił funkcję prezesa oddziału dwukrotnie (w latach 1975-1981 i 1987-1991). Najmłodszym spośród członków jest urodzony w 1978 roku prozaik z Nowej Soli Krzysztof Koziołek, natomiast ostatnio przyjętym w poczet członków jest Ireneusz Szafranek mieszkający pod Gostyniem, który został członkiem ZLP w roku bieżącym.



Powidok

W przelocie spojrzy na niego
i powie: więc nie ma gorszej kary od
tego co zostaje?
Pod spodem – nietknięte – po tobie
wszystkie te halki kołdry fotografie
czarno-białe odciski
palców wbrew woli porządku
I książki mnóstwo książek a w nich nieczytelne
życzenia długiego życia Dotkliwe
milczenie

Nie ma nic gorszego od
tego *kiedy indziej – być może – innym razem*

Lecz jasność przychodzi jak zwykle ostatnia
Zamykając drzwi od środka

Stara poetka ukrywa w dłoniach swoją twarz

Jedyne czego chciała to dom
mały z czerwonym dachem
Nieprzekładalny na język innej kobiety

A ona Całkiem inna niż tamta
Inaczej niż tamta rozebrana Pewna swego
Półnaga jak dom który jeszcze stoi

Próżno by szukać podobieństw
To jakby stół opisywać zaczynając
od brudnych naczyń

Rytuał voodoo albo przepis na bestseller

Rytuał voodoo, zwany niekiedy rytuałem opętania wywodzi się z wierzeń mieszkańców Haiti, jednak wraz z demokratyzacją i popularyzacją literatury w XIX w. przeszczepiony został z powodzeniem na ziemię europejską^{*}. Tym, co różni voodoo haitańskie od europejskiego, jest przede wszystkim sakralny stosunek do obrządku, pole oddziaływania rytuału oraz postawa społeczeństwa względem „bokora”, czyli opętującego z zamiarem skrzywdzenia lub osiągnięcia efektu zombie, o ile bowiem „bokorzy” na wyspach środkowoamerykańskich postrzegani są negatywnie i zwykle ukrywają swą działalność, o tyle ci będący ich zaoceanicznym odpowiednikiem otoczeni są powszechnym kultem i uznaniem, a ich nazwiska są na ustach wszystkich – wielbicieli i przeciwników.

Zarówno w pierwotnej, jak i w przekształconej formie rytuał voodoo wymaga dokładnego przygotowania. Pierwszy element stanowi wybór obiektu opętania. Jest to o tyle istotne, że substytut ofiary (nazywany dalej „laleczką”) musi być jej dokładnym odpowiednikiem. Od decyzji podjętej na tym etapie zależeć będzie wybór materiału

potrzebnego do wykonania „laleczki”, sposoby jej wykończenia oraz punkty nakłuwania. Do proponowanych obiektów opętania mogą należeć członkowie takich grup społecznych, jak: pracujące i emocjonalnie rozbite kobiety w średnim wieku; nastolatki o bujnej wyobraźni i rozbuchanych hormonach; pracujący mężczyźni w średnim wieku, pozbawieni silnych bodźców natury erotycznej oraz nadziei na ciekawszą przyszłość; dzieci zmęczone sztywną, szkolną edukacją oraz równie sztywnymi ramami życia społecznego, w które próbuje się je wtłoczyć, itd. Oczywiście doświadczeni i obdarzeni szczególnymi umiejętnościami „bokorzy” potrafią zastosować rytuał voodoo na znacznie szerszym kręgu odbiorców, jednak jest to proces wysoce skomplikowany, wymagający doświadczenia, dlatego osobom niewtajemniczonym w tego typu działalność proponujemy znacznie bezpieczniejsze postępowanie zgodnie z podanymi w niniejszym podręczniku instrukcjami.

Materiał służący do wykonania „laleczki” jest na ogół łatwo dostępny na rynku. Może to być

* Obecnie europejska wersja voodoo rozpowszechniona jest również na innych kontynentach, głównie w Stanach Zjednoczonych. Ze względu na podobieństwo światowych bestsellerów, niezależnie od kraju pochodzenia autora, stosuję uogólniające określenie „europejska wersja rytuału voodoo”, które odnosi się do schematu funkcjonującego pierwotnie w Europie Zachodniej.

przykładowo: romantyczna powieść obyczajowa z łatwymi do zrozumienia wątkami egzystencjalno-etycznymi, horror, powieść sensacyjno-kryminalna czy powieść fantasy. Dobór materiału ściśle związany jest z wyborem obiektu opętania, dlatego „bokor” powinien wykazać się umiejętnością psychologiczno-socjologicznego szacowania pragnień i oczekiwań potencjalnych ofiar rytuału voodoo. W razie nietrafnej oceny rytuał prawdopodobnie nie powiedzie się, niezależnie od tego, jak skrupulatnie sporządzona zostanie „laleczka”.

Kolejnym etapem pracy nad substytutem ofiary jest wykrój. W celu wycięcia sylwetki „laleczki” z materiału należy odkroić wszelkie niepożądane elementy schematu, np. w przypadku romansu – łzawe zakończenia, w powieści kryminalnej – niejasny lub zbyt jasny finał, w sensacji – wszelkiego typu przemyślenia natury filozoficznej, w fantasy – przykładowo zbędny patos i szczegółowe opisy bitew. Wykrawanie jest niezbędne – w razie jego niewykonania lub niedokładnego, a więc niedopasowanego do odbiorcy wycięcia sylwetki „laleczka” nie będzie właściwie pełniła swej roli i stanie się co najwyżej powieścią popularną.

Czynnością o wyższym stopniu skomplikowania jest zszywanie. Opanowując ją perfekcyjnie mistrzowie voodoo, dzięki czemu osiągają doskonałe efekty pracy. Zszywanie wymaga zebrania skrawków materiałów innych niż ten, który został użyty do wykroju sylwetki. Na przykład jeśli „laleczka” wykonana została z materii kryminału, warto przyszyć doń skrawki romansu (np. wątek emocjonalnego związku bohatera z główną podejrzaną), powieści fantastycznej (np. pojawianie się i znikanie tajemniczej, mrocznej postaci), literatury faktu (np. usytuowanie fabuły na tle autentycznych lub pseudoautentycznych wydarzeń) czy traktatu filozoficznego o nastawieniu bluźnierczo-demaskatorskim (np. ujawnienie zbrodniczej działalności Kościoła czy rządu). Wybór skrawków nie jest dowolny, należy wyszukać wyraziste fragmenty tkaniny, które będą ściśle przylegać do naszej „laleczki” i estetycznie komponować się z materiałem, z którego jest wykonana. Ponadto,

podobnie jak materiał, powinny one współgrać z domniemanymi oczekiwaniami ofiar rytuału.

Bardzo istotną częścią przygotowywania „laleczki” jest jej wypychanie. Do jego przeprowadzenia potrzebny jest pomysł, który jest o tyle ważny, że stanowi wnętrze „laleczki”, jej sedno. Wbrew pozorom pomysł nie musi być własny ani oryginalny, najbardziej liczy się to, by był fabularnie atrakcyjny. „Laleczkę” można też wypchać zlepkiem cudzych pomysłów – takie kompilacje niejednokrotnie podnoszą skuteczność rytuału. Części składowe pomysłu to: bohater, z którym odbiorca będzie mógł się utożsamić; wróg głównego bohatera, wobec którego odbiorca będzie żywić uczucia natury destrukcyjnej; bohater poboczny, którego odbiorca obdarzy pobłażliwą sympatią (typ Jaskra z sagi o Wiedźminie czy Rona z cyklu o Harrym Potterze); czas i miejsce akcji oraz fabuła pozostające z związku z losami głównego bohatera oraz wymogami materiału (i skrawków), z którego wykonano „laleczkę”; wartka akcja, niepozostawiająca czasu na zbędne przemyślenia; zakończenie, od którego wymaga się, aby było niespodziewane (a więc oczekiwanie nieoczekiwane), aby było jasne i nie pozostawiało odbiorcy w niepewności (chyba że przewiduje się kolejny tom, wówczas zawieszenie akcji jest dopuszczalne).

Po wypchaniu „laleczki” należy zaszyć pozostawiony otwór – oddać substytut ofiary do rozpatrzenia przez wydawnictwo. Na tym jednak rytuał się nie kończy. Jeśli „laleczka” zostanie pozytywnie oceniona, „bokor” wraz z wydawcą zajmują się jej wykończeniem – wyrazem twarzy, ubiorem, włosami, biżuterią itp. W praktyce europejskiej wykończenie, będące bardzo istotnym elementem przygotowania rytuału, przyjmuje postać opracowywania atrakcyjnej pod względem estetycznym okładki, redakcyjno-edytorskiej obróbki tekstu czy szeroko zakrojonej kampanii reklamowej, w ramach której niejednokrotnie umieszcza się na przedniej i tylnej stronie okładki opinie uznanych już „bokorów” na temat nowo powstałej „laleczki”. Proces wykańczania nie kończy się wraz z odprawieniem rytuału – może trwać także w czasie jego oddziaływania, np. poprzez popularyzację, której dostarcza adap-

tacja filmowa, czy poprzez odwołanie się do uznania szerokich rzesz społeczeństwa, już wcześniej będących ofiarami „bokora”.

Kulminacją procesu przeprowadzania rytuału voodoo jest nakłuwanie „laleczki”. W odróżnieniu od obrządku haitańskiego, w wersji europejskiej dopuszczalne, a nawet wskazane jest jej nakłuwanie na różnych etapach pracy nad jej wykonaniem. Dokonuje się go za pomocą autorskiego nacisku na niektóre aspekty dzieła. Wybór miejsc nakłucia, podobnie jak dobór materiału, skrawków i sposób wykroju, uzależniony jest od domniemyanych przez „bokora” oczekiwań ofiar rytuału. Na przykład przypuszczalnie najlepszym miejscem nakłucia w przypadku ofiar z gatunku „rozbita emocjonalnie gospodyni domowa” będzie serce „laleczki”; jeśli obrządek dokonywany jest na spragnionej przygód młodzieży z burzą hormonów – proponuje się nakłucie nóg (wędrówka) czy okolic genitaliów (seks); w sytuacji zastosowania rytuału na grupie znudzonych życiem mężczyzn, skuteczne może się okazać nakłuwanie głowy (rozrywka intelektualna, np. rozwiązywanie zagadek).

Bardzo prawdopodobne jest, że początkujący „bokor” będzie miał wątpliwości, czy właściwie oszacował oczekiwania i charakter ofiar rytuału voodoo. W takich przypadkach niezwykle przydatne okazują się wykończenia „laleczki” dokonywane przez wydawcę, producentów, sprzedawców itd. W razie nieumiejętnej czy nawet zupełnie nietrafnej oceny pragnień przez „bokora” pracownicy rynku książki przystępują do procesu „produkcji oczekiwań”. Stosując wieloaspektowe zdobnictwo substytutu ofiary (zob. etap wykańczania opisany powyżej), w tym układając listy bestsellerów, ustawiając promowane książki w najbardziej wyeksponowanych punktach sklepu czy stosując hasła reklamowe („Doskonały prezent na Święta!”, „Zrób prezent ukochanej osobie” itp.) – producenci w znacznym stopniu wpływają na zapotrzebowania potencjalnych ofiar, kształtują ich gusta, konsumpcyjne wybory, a z czasem również zachowania społeczne, ideały i marzenia. Tym samym ofiary europejskiej wersji rytuału voodoo stają się zombie, jakich nie powstydziliby się żaden haitański „bokor”.



Granice języka

Językowy wszechświat

Jeśli coś o granicach języka możemy powiedzieć – to z pewnością to, że nie są tożsame z granicami naszego doświadczenia. Przykładem tego jest twórczość literacka. „Język ma ogromną moc stwarzania wszechświatów”, pisał filozof H. G. Gadamer. Język jako tworzywo literackie wykracza poza realia doświadczanej przez nas rzeczywistości. Jak się wydaje, jest to jedna z tajemnic wielkiej siły oddziaływania trwającego wiele setek lat fenomenu literatury. Zanurzamy się w jej wszechświecie, często nie zauważając, że to, co budzi nasze wielkie emocje, a nawet nieraz zmienia nasze życie – to są „tylko” słowa, w mistrzowski sposób utkane w literacką fikcję.

Kiedy rozmyślam o granicach języka, próbuję wyobrazić sobie ruchome granice stale rozszerzającego się wszechświata. Pod pewnymi względami natura języka i natura wszechświata wydają się być do siebie tak podobne. W naszej rzeczywistości ciągle przybywa nowych wydarzeń, doświadczeń, a nawet nowych przedmiotów. Rodzą się nowe słowa, powstają nowe pojęcia, pojawiają się nieznane dotąd wcześniej znaczenia i skojarzenia. Kombinacje słów, budujących nasze wypowiedzi przeważnie są wypowiadane po raz pierwszy w historii ludzkości. Nieprzerwanie powstają nowe wiersze, eseje i powieści – to są teksty, które jeszcze nigdy wcześniej się nie

pojawili. Ze skończonej liczby słów daje się stworzyć nieskończoną liczbę możliwych wypowiedzi. Ich ograniczeniem jest tylko horyzont ludzkiej myśli.

W ten sposób granice językowego świata – niczym wszechświat – przesuwają się i poszerzają. Ale to nie jest jedyne podobieństwo. Tak, jak nie można donikąd uciec z danej nam fizycznej rzeczywistości naszego świata, również nie da się wyjść poza językową rzeczywistość. Istnienie „w języku” jest zadaną koniecznością. Inaczej mówiąc, jako ludzie jesteśmy skazani na „zamieszkanie” w języku. Poruszamy się wewnątrz niego. Poprzez język poznajemy i postrzegamy otaczający nas świat. Próbujemy go zrozumieć i opisać za pomocą języka, jednakże to rozumienie i opisanie świata nie przebiega w każdym przypadku tak samo. Na językowe *universum* składają się tysiące językowych światów, którymi są różnorodne języki etniczne. I za sprawą tych języków kształtowane jest różnorodne widzenie świata, inaczej postrzegana jest rzeczywistość. Jak ujął to Ludwig Wittgenstein: „granice mego języka to granice mojego świata”.

„Nasze języki stwarzają filozofie”, zauważa Stanisław Lem. Rozważając to spostrzeżenie, zauważamy, że język i myśl są nierozdzielne. Ponadto – są ściśle powiązane z rzeczywistością, w której żyjemy. Struktura języka może zawierać w sobie poglądy na rzeczywistość, może też sprzy-

jać narzucaniu i utrwalaniu reguł społecznych: na przykład hierarchii związanej z płcią. Jednak język zmienia się pod wpływem nowych idei, będących wytworem myśli. Do niedawna w języku polskim były tylko takie słowa, jak np. psycholog, antropolog, itp. Teraz – mówi się już: psycholożka, antropolożka... To przykład, w jaki sposób język, myśl i rzeczywistość przenikają się nawzajem, wpływając na siebie i stale się wzbogacając.

Sięgnąć poza granice

Myślenie o granicach sprawia, że zaczynamy się zastanawiać się także nad tym, co jest poza nimi – czyli *poza* językiem oraz *poza* naszym doświadczeniem. Można przypuszczać, albo tylko przeczuwać, że poza granicami języka są jakieś obszary, których nie da się wyrazić żadnym znanym nam ludzkim językiem. To takie przedjęzykowe „pomyślenia” o niejednoznacznym kształcie – są one niewyraźne nawet w języku logiki. Językowy niebyt. To jest trochę tak samo jak z naturą wszechświata: poza czasoprzestrzenią załamują się prawa nauki i przyrody, nie istnieje nic w znanej nam postaci, nie jesteśmy w stanie tam dotrzeć – ani mocą dotychczas zgromadzonej całej wiedzy, ani nawet siłą naszej wyobraźni.

A mimo to sięgamy, albo przynajmniej próbujemy sięgać poza granice języka. Tam, za nimi mieści się cała przestrzeń rzeczywistości, której nie jesteśmy w stanie wyrazić słowami. To nie tylko te nieodkryte jeszcze terytoria, ale także obszary – mogłoby się wydawać – doskonale nam znane. Odkrywamy kolejną granicę: oto przekonujemy się, że swoich doświadczeniach, o swoim wnętrzu i stanach emocjonalnych możemy powiedzieć tyle, na ile pozwala nam na to język. Wszyscy wiemy, jak trudno wyrazić słowami nasze osobiste wrażenia, subiektywne doznania zmysłowe, szeroką paletę emocji i odczuć estetycznych. Dla filozofów i językoznawców to tak zwane *qualia*, czyli nasze indywidualne wewnętrzne doświadczenia. Skrajnie subiektywne emocje, niemożliwe do wyrażenia słowami w żadnym języku znanym na Ziemi, ale jednak ze wszech miar prawdziwe.

Istniejące, ale nie posiadające językowej formy. Starożytny filozof Salustios wyrażał przekonanie, że „słowa to tylko zasłony, a prawda jest czymś, czego się nie da wypowiedzieć ludzka mową – jest czymś, co jest niewyraźne, *απορητων* [aporreton]”.

Żadne środki wyrazu, metafory ani metonimie nie oddadzą naszego doświadczenia chłodu, ciepła, odczuwanego smaku czy odbierania barw. To doświadczenia skrajnie indywidualne. W tej sytuacji większość z nas wybiera milczenie lub posługuje się nieporadnie słowami, mając jednak świadomość, że nigdy nie trafią one w sedno. I znów docieramy do pewnej granicy. Z trudem przebijamy się przez pancerz języka, który nagle staje się „szerokoznaczny, mglisty, nieo określony”, jak pisze Lem. Pomimo wielości słów i określeń – nie wystarcza do opisanie tego wszystkiego, co odkrywamy w naszym wnętrzu.

Niektórzy starają się wyrazić tę przepastną głębię indywidualnych odczuć i przeżyć językiem poezji, próbując zmierzyć się z tym doniosłym egzystencjalnym problemem. Bardzo dobrze wyraża to wiersz Małgorzaty Hillar:

Nigdy się nie dowiem

Nigdy nie dowiem się
czy widzisz
tak samo jak ja
żółty łubin

Czy tak jak ja
czujesz
jego aksamitny zapach

Nie przekonam się
czy tak samo
słyszysz
szelest skrzydeł sowy

Nie sprawdzę
czy odczuwasz
to samo co ja
głaszcząc kosmatą owcę

Nigdy nie dowiem się tego
choćbym oglądała twoje palce
pod słońce
albo dotykała ich
wargami

Znajduję tutaj odzwierciedlenie nurtujących mnie od dawna wątpliwości: czy inni tak samo jak ja widzą czerwień? A może to, co ja nazywam błękitem – dla innych jest na przykład fioletem, albo zielenią? W tym przypadku granice języka przebiegają blisko granic naszej (samo)świadomości. Czym jest świadomość? Czym się przejawia i jakie są warunki dla jej zaistnienia? Jak w językowej formie uzewnętrznzić nasze najbardziej wewnętrzne doznania? Jak logicznie udowodnić, że są one prawdziwe? To nierozwiązywalny jak dotąd problem, wpisujący się w zagadnienia jedności i odrębności ciała i umysłu. Być może trop wyjaśnienia granic naszej świadomości i fenomenu języka biegnie – według Rogera Penrose’a – w stronę zagadnień fizyki kwantowej. Fizyka kwantowa oraz zagadnienia istoty języka mają zatem ze sobą dużo więcej wspólnego, niż byśmy sobie wyobrażali...

Granice rzeczywistości

Nie tylko poezja dotyka zagadnień granic językowego świata, ale również czyni to nauka. Wcale nie jest wcale łatwo dopasować możliwości języka do istoty odkrywanych w nauce faktów. Szczególnie jasno widać to na przykładzie historii odkryć w fizyce. Stosunkowo łatwo było oddać obraz świata fizyki klasycznej przy pomocy języka potocznego. Natomiast postęp w fizyce współczesnej jest dla języka prawdziwym wyzwaniem. Jak zrozumiałym i przystępnym językiem opisać teorie pól kwantowych? Teorie unifikacyjne? Jak popularyzować zagadnienia kosmologii kwantowej? Widać to jasno, że język natrafia na zauważalne

ograniczenia wobec złożonej natury rzeczywistości, która – jak zauważa Michał Heller: „wykracza poza nasze możliwości językowe, wyobrazeniowe i pojęciowe”.

A jednak za sprawą nowych odkryć zgłębiany i poznajemy tę rzeczywistość, stale przekraczając horyzonty ludzkiej myśli i wyobraźni. Nieznane dotąd obiekty i zjawiska stają się nieodłącznym składnikiem znanego nam świata dopiero wtedy, gdy je nazwiemy i nadamy im językową formę. Za każdym razem, gdy stykamy się ze zjawiskiem dotąd nieznanym – zdobywamy się na wysiłek przekraczania granic języka, aby móc to „nieznane” nazwać i włączyć je w obszar po *tej* stronie granicy naszego języka. Językowy wszechświat poszerza się zatem zawsze, gdy zostaje pomyślane coś nowego, gdy daje się to zwербalizować, nazwać i zdefiniować. Same nazwy rzeczy, dopóki nie zostaną powiązane z konkretnymi przedmiotami lub zjawiskami, są jedynie przypadkowymi słowami i jako takie nic nam nie mówią. Nabierają znaczenia dopiero wtedy, gdy zostają wypowiedziane w odwołaniu się do znanej nam rzeczywistości. Jest to moment doniosły: nagle w języku zjawia się to „coś”, co sprawia, że język „do nas mówi”, a to, co wypowiedziane sytuuje się po *tej* stronie granicy, we wnętrzu znanego nam językowego terytorium.

Granice języka i granice wszechświata są do siebie bardziej podobne, niż na pozór się wydaje. Wraz z Wielkim Wybuchem zaczął się znany nam wszechświat, jego czas i rzeczywistość, którą jesteśmy w stanie poznawać i opisywać za pomocą języka. Chociaż język z racji swojej natury jest uwikłany w sytuację konieczności – wewnątrz jego mieści się wiele możliwości: nieskończona ilość sposobów wyrażania, opisywania i nadawania elementom rzeczywistości formy językowej. Zjawiska nienazwane natomiast nie istnieją w języku i nie da się o nich mówić. Są po *tamtej* stronie granicy języka, do której nie mamy dostępu.



Czy szczekające psy i suki wreszcie się nasycą?

Beata Patrycja Klary, *Szczekanie głodnych psów*, WiMBP im. Z. Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wielkopolski 2010, 72 s.

Po pierwszej lekturze tomiku wierszy Beaty Patrycji Klary zatytułowanym *Szczekanie głodnych psów* można odnieść wrażenie, że ludzie sportretowani w tej poezji to tylko kupa mięsa służąca do seksualnej eksploatacji. Kobiety „nie różnią się [od siebie]. Mięso pozostaje mięsem”. Dają się „wypełnić, zatkać, zakneblować po jęk”. Przypominają „kamień z wilgotnym pęknięciem”. Na kolejnych stronach tomiku co chwilę mowa o waginach, fallusach i wytryskach. Nieuważny czytelnik mógłby wywnioskować, że autorka kreśli przed nami bezlitosny, czysto fizjologiczny świat damsko-męski, pozbawiony uczuć i głębszej

refleksji, w którym dąży się wyłącznie do bezmyślnej kopulacji. Jednak pozory mylą – jak zauważył Jerzy Suchanek, w erotykach Beaty Patrycji Klary „akt miłosny jest najczęściej tylko tłem lub pretekstem do studium sytuacji psychicznej kobiety”.

Zestawiając pierwszą część tomiku z pozostałymi, można skonfrontować świat męski z kobiecym. Podmiotem lirycznym wierszy z części pierwszej jest mężczyzna – brutalnie zrywa rajstopy z tłustych, kobiecych nóg, ma swój udział w aborcji farmakologicznej, o kobiecie mówi „kurew”, porównując jej połamane obcasy do złamanego życia. Czy zatem w męskim świecie

miłość nie istnieje? Istnieje, ale jest jakby luksusem – w *Portrecie* podmiot liryczny nazywa kobietę swoją miłością, następnie stwierdza: „z pozoru na to wygląda i wcale nie wyklucza, że [koledzy] mi zazdroszczą”. Może na tym polega głód szczekających psów? Próbujał najeść się mięsem, ale tak naprawdę ich głód może zaspokoić tylko miłość. Brzmi banalnie, ale prawdopodobnie właśnie z takich banałów składa się ludzkie życie.

W kolejnych częściach tomiku Klary odbiera głos mężczyznom – od tej pory mówią kobiety. Jednak nie oznacza to, że ich wypowiedzi są lirycznie uduchowione. Nie, kobiety również nie przebiegają w słowach i także skupiają się na fizyczności, jednak jest to już inna fizyczność – zaczyna być pretekstem, o którym pisze Suchanek, pretekstem do ukazania kobiecych potrzeb i psychiki. Kobieta nie ma pewności, przed kim jej kochanek „ostatnio rozpinął rozporek” i mówi o sobie: „ja mam się tylko nie odzywać”. Można by pomyśleć, że kobieta sama siebie uprzedmiotawia. Jednak jest to wrażenie mylne – w tomiku Klary znajdują się też krótkie utwory, zwane przez autorkę „balladami”, będące erotykami pozbawionymi wulgarności, podkreślające bliskość kochanków w sytuacji intymnej. W *Balladzie łąkowej* mężczyzna ukazany jest w nietypowej roli – zbiera kwiaty. Podmiot liryczny stwierdza: „to takie niemęskie”, a ja mam wrażenie, że to nie jest zarzut, ale raczej pochlebstwo. Z kolei w *Balladzie wiejskiej* kochankowie odciskają swój ślad na zmurszałych deskach starego łóżka – „ktoś tu wcześniej robił to samo”, a zatem ludzkie pożądanie to doświadczanie powtarzalne przez wszystkie pokolenia, nierozzerwalnie związane z człowieczeństwem.

Wiersze Klary są dojrzałe i przemyślane, przy czym napawają smutkiem, bo autorka obnaża

motywację ludzkiego działania – akt miłosny odziera z pięknych słówek, wzniosłych emocji, miłosnych wyznań. Pozostaje sam mechanizm kopulacji. Takie postawienie sprawy powoduje, że czytelnik odczuwa potrzebę zaprzeczenia biologicznym treściom wierszy Klary. Być może poetka prowokuje nas właśnie do takiego zaprzeczenia.

Niestety jeden z wierszy ze zbioru poezji Klary sprawia, że autorka staje się niewiarygodna. To *RU 486* o aborcji farmakologicznej. W utworze znajduje się wers: „nie dopuszcza do zagnieżdżenia” zarodka w błonie macicy. To zdanie mogłoby być prawdą w odniesieniu do antykoncepcji awaryjnej. Tymczasem tytuł wskazuje na to, że autorka ma na myśli środek wczesnoporonny – *RU 486* usuwa zarodek, który już jest zagnieżdżony. Czyżby poetka nie wiedziała, o czym pisze?

Wypada jeszcze wspomnieć o intertekstualności w *Szczekaniu głodnych psów*. W kilku wierszach pojawiają się cytaty z *Mistrza i Małgorzaty* M. Bułhakowa, *Pętli* M. Hłaski, *Małego księcia* A. de Saint Exupéry'ego i *Pamiętam, pamiętam* Philipa Larkina. Niestety... owe cytaty zaznaczone są kursywą. W ten sposób Klary naprowadza czytelnika na trop, pozbawia go możliwości samodzielnego poszukiwania literackich odniesień, podsuwa mu pod nos oczywistą podpowiedź. A przecież świadome czytanie oznacza wysiłek – szkoda, że odbiorca w tym przypadku nie musi się zbytnio wysilać, aby odnaleźć intertekstualne nawiązania.

Czy szczekające psy i suki w końcu się nasycą? Jeżeli pozostaną psami i sukami – nie. Ich wygłodniałe szczekanie uciszy się dopiero, gdy ze zwierząt przeistoczą się w ludzi – gdy w miłosnym akcie odnajdą coś więcej niż tylko konsumpcję.

Kamila Gieba

„Wierzę, że prawda istnieje i tylko prawda może być zwycięstwem”

Narcyz Bartoszewski-Wnukowski, *Samo życie*, Wydawnictwo Dekograf, Żagań 2010, 344 s.

O książkach Narcyza Bartoszewskiego-Wnukowskiego najlepiej świadczą słowa jednego z jego przyjaciół, którego list przytoczył autor w *Samym życiu* – „Twoich książek nie można czytać jednym tchem. Po dwóch rozdziałach trzeba odłożyć książkę i zająć się czymś innym, by dusza mogła wypocząć i przetrawić doznane wrażenia”. Ogrom wspomnień autora, nie zawsze tych pozytywnych, opisy, często wstrząsające, faktycznie sprawiają, że *Samo życie* czyta się etapami, a po zakończeniu lektury potrzeba trochę czasu, aby oswoić się z tym, co się przeczytało.

Narcyz Bartoszewski-Wnukowski, lekarz psychiatra i magister historii w jednej osobie, urodził się w 1930 roku w Gródku Podolskim. Osiem lat później został zesłany przez władze radzieckie do miejscowości Białej Kołodiec, koło Charkowa. Czas spędzony na zesłaniu już na zawsze odcisnął się piętnem na jego życiu. Mieszkając aktualnie w Niemczech i będąc na emeryturze, Wnukowski spisuje wspomnienia. *Samo życie* to szósty tom jego opowiadań.

Książka liczy trzydzieści siedem krótkich rozdziałów. Bartoszewski-Wnukowski przelewa na papier różnorodne historie, które sam przeżył albo o których słyszał od innych. Nie stroni także od wyrażania uczuć i emocji, ich ślady zauważyć można w książce wielokrotnie. Znaczna część książki to rozmowy autora z sąsiadem Jankiem, samotnym po śmierci żony. Autor, i zarazem pierwszoosobowy narrator, rozmawia z nim głównie na tematy polityczne. Historia i polityka są w książce wszechobecne. Doktor jawnie przedstawia swoje poglądy. Jest patriotą, któremu los ojczyzny bardzo leży na sercu. Głęboko przeżywa wiadomości zasłyszane w radiu bądź telewizji, które dotyczą jego kraju. Ubolewa, że nie może nic zrobić, aby wpłynąć na bieg zdarzeń w Polsce.

W opowiadaniach nie zabrakło wspomnień II wojny światowej. Autor opisuje nie tylko swoje przeżycia, przytacza także opowieść krewnej, Stanisławy Wnukowskiej, z której wyłaniają się wstrząsające opisy głodu, mordów, nieludzkich męczarni. W podobnym tonie przedstawione są przeżycia doktora na zesłaniu w miejscowości Białej Kołodiec, a także czas spędzony w Domu Dziecka w Gliwicach. Przy czym trudne przeżycia z czasów zesłania i okresu II wojny światowej są przeplatane opowiadaniem o picu syryjskiej kawy z przyjacielem, popołudniu spędzanym wraz z żoną na łonie natury.

Bartoszewski wspomina także ludzi, którzy mieli znaczący wpływ na jego życie, jak na przykład Jan, przyjaciel ze studiów, mieszkający w Australii, książdz Roman przebywający na Ukrainie, ale także osoby, z którymi zapoznał się już w Niemczech, w Celle, gdzie mieszka. Szczególnie bliski jest mu Kurd, właściciel kawiarni, w której autor często przebywa, oraz jego córka Jaśmin, której udziela psychologicznych porad.

W *Samym życiu* Bartoszewski jawi się nam nie tylko jako patriota, dla którego najważniejsze są Bóg, Honor, Ojczyzna. Także jako cierpliwy, doświadczony lekarz psychiatrii, opowiadający historie swoich pacjentów, np. młodzieńca z homoseksualną przeszłością, który po terapii z dr. Bartoszewskim szczęśliwie ożenił się z ukochaną i zaczął nowe życie.

Autor płynnie przechodzi z jednej opowieści do drugiej, a czytając trudno oprzeć się wrażeniu, że jest się jego powiernikiem. Rozkłada on przed nami wachlarz swych, niekoniecznie miłych, życiowych doświadczeń. Jawnie pisze o chwilach, kiedy jest mu smutno. Otwarcie zwierza się, iż boi się nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Czytelnik ma wrażenie, jakby uczestniczył w jego świecie. Jest to niewątpliwie wielką zaletą tej książki,

napisanej językiem przystępnym dla przeciętnego odbiorcy.

Szczególnie ciekawe podczas lektury były dla mnie porady psychologiczne, których doktor udziela przedstawionym w książce bohaterom, ale także nam, czytelnikom. Rady dotyczące miłości, małżeństwa, macierzyństwa czy ojcostwa, które były przeznaczone dla córki Kurda, Jaśmin, i jej męża, Aldiego, tak naprawdę mogą być bardzo przydatne dla każdego. W tym aspekcie książka ma więc także walor dydaktyczny.

Do wad tej publikacji zaliczyłabym natomiast zbyt długie opisy przyrody i pór roku, które

momentami mogą zacząć nużyć. To samo można powiedzieć o dialogach, które narrator prowadzi z przyjacielem. Ponadto treści, które wystąpiły już raz w jednej części książki, są po kilkunastu stronach powtarzane jeszcze raz w następnym opowiadaniu i to równie szczegółowo. Te mankamenty nie zakłócają jednak odbioru książki, którą Bartoszewski-Wnukowski przede wszystkim kieruje do młodzieży. To jej chce przekazać swoją prawdę o historii, Polsce i Polakach. Czy jednak znajdzie zrozumienie u młodych czytelników?

Monika Derczyńska

O *Psim kochaniu* Alfreda Siateckiego

Alfred Siatecki, *Psie kochanie*, Radwan, Tolkmicko 2010, 104 s.

Psie kochanie Alfreda Siateckiego to wydana pod koniec ubiegłego roku powieść, która na pierwszy rzut oka pozwala się wpisać w nurt „książek do poduszki”. Lekka, miła, przyjemna. W tych trzech słowach można by zamknąć opinię na jej temat po przebrnięciu przez pierwsze strony lektury. Jednak im bardziej czytelnik zagłębia się w najnowszą prozę Siateckiego, tym lepiej odkrywa sens i przesłanie, które nie wydają się tak płytkie jak w pierwszym odczuciu.

Historia opowiedziana przez autora może dotyczyć jego prywatnego życia, a ściślej, życia w zgodzie ze zwierzętami. Pies to dla bohatera początkowo przykry obowiązek i uwiązanie. Jednak z biegiem dość statycznej akcji nasz milusiński, Gacek – bo tak ma na imię czworonożny przyjaciel – staje się „oczkiem w głowie” i chlubą rodziny. Gacusz trafia do naszego bohatera przypadkiem, można powiedzieć, w formie niespodzianki i prezentu od przyjaciółki domu. Z dnia na dzień właściciel psa, jak i sam pies nawiązują nierozzerwalną więź. Bohater odkrywa w zwierzę-

ciu zalety, zauważa, że Gacusz jest psem wyjątkowym. Natomiast pies uczy się swojego pana, uczy się jak być mu posłusznym i jak spełniać oczekiwania. Bohaterowie – Gacusz i Alfred – stają się najlepszymi przyjaciółmi. Szczęście jednak nie trwa zbyt długo. Ukochane zwierzę zapada na śmiertelną chorobę i czując, że jego czas dobiega końca, popełnia samobójstwo. Po upływie bolesnych dla właściciela dni, jego miejsce zajmuje nowy piesek – Alma. Nie jest to już jednak ten sam, inteligentny, bystry i oddany przyjaciel. Czy Almie uda się oczarować swego pana?

Książka ta pokazuje nie tylko wzajemną miłość pana i psa, nie jest także tylko historią o przywiązaniu i bólu po stracie. Przede wszystkim przekazuje nam prawdę o współistnieniu świata ludzi i zwierząt. Światy te wzajemnie się przenikają, wypełniają i oddziałują na siebie. Historia ta uczy przyjaźni i oddania, lojalności i szacunku. Każde bowiem zwierzę, obdarzone uczuciem przez człowieka, nie pozostaje obojętne, odwzajemnia się tym, czym potrafi najlepiej – wspomnianą

lojalnością i oddaniem, tak rzadko już okazywanym przez ludzi. Książka ta zarazem rozwesela, bawi i wzrusza. Jest lekturą idealną nie tylko dla wielbicieli czworonogów, lecz także dla tych, którzy za zwierzętami nie przepadają. Wzbudzi ona zainteresowanie wśród młodych, jak i tych

starszych czytelników. A być może stanie się przyczynkiem do tego, że ktoś przygarnie małego psiego przyjaciela, a zielonogórskie schronisko przy ulicy Szwajcarskiej wreszcie zacznie pustoszeć?

Monika Krygiel

Sensacyjnie na temat historii regionu

Krzysztof Koziółek, *Miecz zdrady*, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2011, 327 s.

Miecz zdrady zapewne rozczaruje tych, którzy mając w pamięci *Świętą tajemnicę* Krzysztofa Koziółka, oczekiwali podobnego kryminału: z dreszczem metafizycznym, intrygującą zagadką, mrożącą krew w żyłach historią i elementami groteski w portretowaniu społeczno-politycznych realiów. Nic z tych rzeczy. W najnowszej powieści Koziółek wraca do swego pierwszego bohatera i prezentuje dziennikarski kryminał z redaktorem lokalnej gazety w roli głównej, który na własną rękę prowadzi kryminalne śledztwo. Samodzielność dziennikarza, Andrzeja Sokoła łączy go z bohaterem *Świętej tajemnicy*. Podobnie jak tamten jest niezłomny, nieustraszony, dociekliwy, inteligentny i oczywiście sprawniejszy od lokalnej policji. Tyle że tym razem odpowiedź na pytanie „kto zabił” podana została, rzecz można, na tacy, a przebiegiem akcji rządzi rytm zdobywania wiadomości, których Sokołowi chętnie udzielają życzliwi informatorzy.

Sporo tu uproszczeń i niekonsekwencji, a koncepcja fabularna została nie do końca chyba przeemyślana. Nieudany jest przede wszystkim wątek esbecki, niemający związku z akcją, za to z banalnym przesłaniem, że są ludzie i ludzie – w ten sposób zmarnowany został dobry pomysł galerii „społecznych szkodników”. I można by tak pewnie jeszcze długo utyskiwać: domagać się lepszego umotywowania zdarzeń, psychologicznego

pogłębienia rysunku postaci, nieco szerszego społecznego tła czy mniejszej oczywistości w konstruowaniu dialogów. Rażą zwłaszcza przewidywalne riposty partnerki głównego bohatera, Patrycji. Zdaje się, że pisarz nie ma szczęścia do kobiecych postaci, bo również papierowa jest tu druga kobieca postać – pretensjonalnie nazywająca się, Miranda Oswald.

Innymi słowy, otrzymujemy tu ujęcie nieco komiksowe i lubuską uwspółcześnioną wersję *Kapitana Żbika*. Jeśli dołączyć do tego jeszcze potknięcia składniowe i usterki interpunkcyjne (gdzie korekta?!), to czytelnik młodego i dobrze zapowiadającego się pisarza lubuskiego ma prawo czuć się zawiedziony. I pewnie nie zachęcałabym do sięgnięcia po tę powieść, gdyby nie to, że Koziółek daje w niej ciekawą, a nawet bardzo ciekawą opowieść na temat regionu. Dzięki temu *Miecz zdrady* czytać można nie jako kryminał, lecz fragment regionalnej mitologii i przy okazji – przewodnik po lubuskich zamkach, usytuowanych w Siedlisku, Kozuchowie, Zaborze, Bytomiu Odrzańskim, Otyniu. Koziółek, który opowiada o ukrytych tam skarbach, ma bez wątpienia rzadki dar snucia legend, tworzenia aury tajemnicy, łączenia faktów z fikcją i wypełniania miejsc pustych historii. Co stało się ze skarbami Henryka XI i czy rzeczywiście istniały? Czy poszukiwało ich Przedsiębiorstwo Poszukiwań Terenowych, za

którym stała Służba Bezpieczeństwa? Przyznam, że po tej lekturze ma się wielką ochotę sprawdzić, jak było naprawdę; jakie rody, jakie postaci zamieszkiwały te ziemie; co działo się na niej, jeszcze zanim stała się ona „lubuska”? A to oznacza, że na regionalny haczyk złapali się nie tylko kibice zielonogórskiego Falubazu.

Reasumując, *Miecz zdrady* zachęca do zgłębiania przeszłości Ziemi Lubuskiej, a jej dzieje

przedstawia znacznie ciekawiej niżli przewodniki, ba, lepiej niż wydawane tu niegdyś zbiory historycznych opowiadań. Porusza przy tym wątek intrygujący i świeży, w lokalnej literaturze dotąd niewyzyskany. Co może docenią ci, którzy oczekiwali dobrego kryminału, a otrzymali bardzo dobrą opowieść o skarbach regionu.

Małgorzata Mikołajczak

W poszukiwaniu lubuskiej historii

Krzysztof Koziołek, *Miecz zdrady*, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2011, 327 s.

Miecz zdrady to kolejna powieść w niewielkim dorobku młodego, obiecującego pisarza, Krzysztofa Koziołka. Podobnie jak jego poprzednie książki, zawiera ona elementy kryminału, powieści sensacyjnej, w który tym razem wpleciono wątek historyczny i obfituje w rozliczne zwroty akcji, choć jej fabuła rozgrywa się w ciągu zaledwie pięciu dni.

Już sam tytuł jest zaskakujący, gdyż kojarzy się wielu czytelnikom z cyklem *Miecz Prawdy* Terry’ego Goodkinda. Wskazuje na to także okładka prezentująca niezwykle misternego wykonania, podobny do średniowiecznego, miecz. Jednakże książka wcale nie nawiązuje do słynnej sagi o Poszukiwaczu, ani nawet nie jest osadzona w równie fantastycznej krainie. Akcja utworu umiejscowiona jest bowiem w województwie lubuskim, lecz trudno określić jej dokładną lokalizację. Główni bohaterowie przemierzają się w zawrotnym tempie z miejsca na miejsce. Autor w bardzo charakterystyczny sposób zaledwie zarysowuje obszar, w którym oni przebywają, stwierdzając po prostu, że jadą do Żagania, Nowej Soli, Bytomia Odrzańskiego czy Zielonej Góry.

Głównym bohaterem jest Andrzej Sokół, nowosolski dziennikarz. W poniedziałek ma się on stawić na umówione wcześniej spotkanie ze

znaną sztuki Stayerem, ale zastaje go martwego, a dokładniej mówiąc – z mieczem wbitym w głowę. Oczywiście głównym podejrzanym staje się Sokół, jako jedyna osoba obecna na miejscu zbrodni. Jednak po analizie odcisków palców z narzędzia zbrodni podejrzenie pada na żużlowca Falubazu, Marcina Malickiego. Nieznany pozostaje jednak motyw zabójstwa oraz pochodzenie tajemniczego miecza. Sokół jako zagorzały fan żużlu podejmuje się próby rozwiązania tej jakże nietypowej zagadki. Dzięki znajomościom w policji i muzeum, przy pomocy specjalistów oraz narzeczonej odkrywa niespodziewaną nikomu tajemnicę. Jak się okazało, miecz jest przeklęty i ma związek z niepewnym pochodzeniem dziadka Malickiego. To dopiero początek nowych zagadek, przed którymi stawia bohatera autor. Kiedy Sokołowi zdaje się, że rozwiązał sprawę, zaczynają piętrzyć się przed nim nowe niewyjaśnione tajemnice. W celu dotarcia do prawdy nie cofnie się przed niczym, nawet przed zdewastowaniem zabytków. Dociera do strzeżonych przez wieki rodzinnych sekretów. Dowiadyuje się wielu rzeczy o mieczu oraz jego związku z pewną wpływową niemiecką rodziną.

Kolejnym ciekawym zabiegiem wprowadzonym przez autora jest interesujący wątek zorganizowanej

międzynarodowej grupy przestępczej złożonej z Niemca Andreasa Kaufmana, Serba Zivko Krkićia i Norwega, wynajętej przez niezwykle wpływowego człowieka, w celu skompromitowania żużlowca, a dowodzonej przez inteligentną i przebiegłą Mirandę Oswald. W mistrzowski sposób łączy autor ironię z przygodami bohaterów. Przedstawia satyrę na świat mediów, polityki i organów ścigania. Ukazuje dziennikarską pogoń za sensacją, co w rezultacie powoduje wprowadzanie do obiegu publicznego zafałszowanych informacji. Wskazuje na niekompetencje niektórych policjantów, szczególnie tych niższego szczebla oraz wymuszanie przez nich zeznań na osobie podejrzanej, ale, jak się potem okazuje, całkowicie niewinnej. Jednakże policja i jej sposoby pracy zostają przez niego zrehabilitowane, gdy udaje im się złapać kryminalistów przy pomocy zastawionej wcześniej pułapki.

Pisarz podejmuje również wątek rozliczenia się z przeszłością, próbę zrozumienia byłych agentów Służb Bezpieczeństwa oraz zafałszowania historii przez podawanie spreparowanych informacji. Z tym problemem zmagą się życiowa partnerka głównego bohatera, Patrycja, która dopiero z artykułu w lokalnym czasopiśmie dowiaduje się o niechlubnej przeszłości wujka. Również działanie Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych, rozwiązane w 1945 roku, owiane jest aurą tajemniczości i nieomówień, gdyż ta instytucja nieoficjalnie zajmowała się podobno szukaniem cennych kosztowności i skarbów.

Historia przedstawiona w książce, jak wskazuje autor, jest fikcyjna, ale większość wydarzeń historycznych, o których mowa, poparta jest źródłami. Prawdziwymi są postacie królów Henryków IX i XI, wkład rodziny von Schonaich w rozwój Koźuchowa, Bytomia Odrzańskiego, Siedliska i Otynia, a także działalność tajemniczego i swego czasu kontrowersyjnego Przedsiębiorstwa Poszukiwań Terenowych.

Miecz zdrady jest interesującą, błyskotliwie napisaną powieścią przeznaczoną dla każdego czytelnika. Znajdziemy tu liczne pogonie, zagadki, tajemnice, które spodobają się przede wszystkim

wielbicielom sensacji. Również pasjonaci historii znajdą w tej powieści wiele interesujących momentów. Dowiedzą się więcej o pomocy znanych postaci historycznych w rozwoju miasteczek województwa lubuskiego, wraz z bohaterami będą się starali rozwiązać łamigłówki zawarte w wielowiekowych księgach. Ponadto czytelnik pochodzący z naszego województwa może zgłębić wiedzę na jego temat, bowiem autor wspomina o atrakcjach turystycznych, o których bardzo często w ogóle nie wiemy. Dzięki temu zostajemy zachęceni do własnych poszukiwań i do zwiedzenia niezwykłych zabytków naszego regionu.

Mankamentem powieści jest jej podobieństwo do książek popularnego także w Polsce Dana Browna, a w szczególności jego kontrowersyjnego *Kodu da Vinci*. Podobieństwa znajdziemy już na pierwszych stronach obu powieści, które rozpoczynają się od znalezienia zwłok osoby związanej z dziełami sztuki (u Koziółka to Stayer, a u Browna – kustosz muzeum paryskiego Jacques Saunière), która zginęła w niezwykle sposób (tutaj od miecza, u Browna – ciało ułożono w pozycji ludzko podobnej do rysunku witruwiańskiego, na którym Leonardo da Vinci przedstawił proporcje ludzkiego ciała). Podejrzenie o dokonanie zbrodni pada na pierwszą osobę „naznaczoną” w jakiś sposób (tutaj Sokół zostaje podrapany przez kota ofiary, w *Kodzie da Vinci* ofiara zdążyła napisać swoją krwią nazwisko Langdona na ścianie).

Analogie znajdujemy także w cechach bohaterów, choć wykonują oni różne profesje (Sokół to dziennikarz, a Langdon to znawca religijnej symboliki z Uniwersytetu Harvarda). Obaj podejmują się rozwiązywania zagadek, dotyczących artefaktów, jednakże Langdon jest specjalistą, a Sokół – laikiem. Główni bohaterowie napotykają na swej drodze niezliczone przeciwności, między innymi ze strony organów ścigania oraz tajemniczych osobników (zorganizowana grupa przestępcza Mirandy Oswald oraz opisane przez Browna Opus Dei). Pomocy udzielają im dwie piękne kobiety: Sophie Neveu, wnuczka zamordowanego kustosa i Patrycja Pawłowska, narzeczona dziennikarza. Zadziwiająca może zdawać się „przemiana”

Sokoła z regionalnego dziennikarza w łowcę skarbów oraz osobę z łatwością rozszyfrowującą historyczne zagadki, które nastroczały problemów specjalistom. Sokół bowiem zdaje się dorównywać umiejętnościom Langdonowi.

Mimo tych zbieżności powieść Koziołka jest niepowtarzalna, jedyna w swoim rodzaju. Jest to pozycja

obowiązkowa dla każdego Lubuszanina i nie tylko, bowiem każdy znajdzie w niej coś dla siebie, akcję i wątek sentymentalny, pościgi, a przede wszystkim ciekawostki historyczne, które łączą pozornie niepasujące do siebie elementy w niebanalną całość.

Anna Kaczmar

Życ dla Teatru czy Życ z Teatru?

Antoni Czechow, spektakl *Czajka. Portrety miłości*, reż. Agnieszka Lipiec-Wróblewska, scenografia Agnieszka Zawadowska, muzyka Kuba Kapsa. Grają: Marzena Wieczorek (Irena Arkadia), Włodzimierz Chomiak (Konstanty Trieplew), Michał Anioł (Piotr Sorin), Adrianna Góralska (Nina Zarieczna), Bogumiła Jędrzejczyk (Paulina), Karolina Milkowska-Prorok (Masza), Przemysław Kapsa (Borys Trigorin), Cezary Żołyński (Eugeniusz Dorn), Artur Nełkowski (Siemion Miedwiedienko). Premiera 18 września 2010 r., Gorzów Wlkp.

Proszę wybaczyć, że zaczynam od rzeczy pozornie błażej, ale warto wspomnieć o tym, że gorzowska scena ma już scenę obrotową. I jeszcze jedno: scena obrotowa zadebiutowała w omawianej premierze znakomicie!

To druga inscenizacja Czechowa w naszym województwie w ostatnim czasie. Zresztą modne stało się ostatnio w Polsce i np. w Rosji wybieranie partytury Czechowa. Uczynili to m.in. Maja Kleczewska w Jeleniej Górze i Nikolaï Kolada (dramaturg, autor 90 dramatów, w tym *Martwej królowny*, twórca Teatru Nikolaïa Kolady z Jekaterinburgu). Tak na marginesie – oglądałem ostatnio *Wiśniowy sad* w realizacji Nikolaïa Kolady i daleki jest on od charakterystycznych dla adaptacji tego dramatu Czechowa smutnych rozmyślań, leniwych rozmów, półtonów i cichej tęsknoty. Kolada sugeruje, że *Wiśniowego sadu* – utożsamianego z sumieniem, honorem, miłością do ojczyzny – już dawno nie ma, został sprzedany, a nastaje „nowy Ruskij” – Łopachin – Czechowowski człowiek interesu. Kolada tekstowi Czechowa pozostaje jednak wierny. Wcześniej (marzec 2010) Lubuski Teatr wystawił przy pomocy reżysera Piotra

Ratajczaka *Trzy siostry*. Miałem okazję pisać w recenzji *Pusty Czechow* („Puls”, czerwiec 2010): „I nie chodzi tu o mordowanie Czechowa. Zastanawiam się dlaczego spektakl został zatytułowany *Trzy siostry* Antoniego Czechowa. Po co? Jakim prawem? Kiedy Paweł Miśkiewicz wystawiał ów dramat, dokonując istotnych zmian, nazwał go *One*, zachowując nieco przyzwoitości. Czy młody dramaturg, Jan Czapliński, musiał się koniecznie podierać tytułem i autorytetem Czechowa? Nie mógł napisać nowego dramatu, jak Bożena Keff? Bardziej genialnego niż ten z 1901 roku, ale na własny rachunek. Bo co? Bo wszystko wolno! Bo – jak pisze dziennikarz – to oznaka odwagi, wyskakiwania z kapci. Jakiej odwagi? Grzebać w cudzej myśli intelektualnej to po prostu brak przyzwoitości”.

Gorzowska inscenizacja i jej reżyserka Agnieszka Lipiec-Wróblewska w swojej pracy artystycznej pozostała wierna (jak Nikolaï Kolada) Czechowowi, zatem – należy jednoznacznie dodać – tworzy widowisko na wskroś nowoczesne i wyszukane.

Wróblewska, poza wszystkim daje dowód, że potrafi pracować z aktorami i zna reżyderskie

rzemiosło. Była asystentka Jerzego Grzegorzewskiego skupia się na słowie, by nie uronić Czechowskiej myśli. Pracowała wszak z najlepszymi. Jej ulubionym aktorem jest Krzysztof Majchrzak, znany choćby z adaptacji *Tamy* McPhersona pokazywanej w Zielonej Górze podczas Przeglądu Współczesnego Dramatu w 2003 roku.

Słowo jednak najlepiej wybrzmiewa w zbudowanej postaci, postaci świadomej swoich racji i idei. A przecież, kto jak kto, ale Czechow potrafił kreować pełne osobowości postaci.

Dowodem jest chociażby kreacja Marzeny Wieczorek, którą do tej pory znaliśmy z ról amantek. Tym razem Wieczorek gra kobietę dojrzałą (Irena Arkadina), pozornie silną, ale jak wszyscy bohaterowie dramatów Czechowa, spragnioną miłości. Podobnie Michał Anioł jako Piotr Sorin zachowuje dyskretny dystans do budowanej przez siebie roli. Artur Netkowski (Siemion Miedwiedienko) z kolei jest najbardziej Czechowską postacią wśród obecnych na scenie, choć – zdajemy sobie sprawę – najbardziej umowną, wyciągniętą z lamusa XIX-wiecznego teatru, ale budzącą sympatię.

Wróblewska zaadoptowała tekst Czechowa, wydobywając z niego krzyżujące się, powikłane, splecione miłosne emocje. Pech tylko w tym, że nie trafiają one we właściwy cel. Zatem nie jest to tekst o szczęśliwym uczuciu, ale indywidualne portrety miłości.

Czechow Wróblewskiej jest momentami metafizyczny. To zasługa muzyki Kuby Kapsy.

Podobnie jak scenografii Agnieszki Zawadowskiej, dyskretnej, a pomimo to otwierającej uniwersalną przestrzeń dla dosyć uniwersalnego świata Czechowa. Udało się też Agnieszce Lipiec zamknąć, na ogół powolne w kontekście upływającego czasu, zdarzenia w dwuczęściowej pigułce widowiska trwającego godzinę i czterdzieści minut. Przekład (Artur Sandauer) też nie brzmi staroświecko.

Jednak portrety miłości to nie wszystko w *Portretach miłości*. Dążenia w sztuce, przemiany teatru i w teatrze. Granice kompromisu w procesie tworzenia i pożytki z tego płynące. Tak wiele tu pytań o teatr, które stawia gorzowskie przedstawienie. Relacja Konstanty Trieplew (Włodzimierz Chomiak) – Borys Trigorin (Przemysław Kapsa) to spór o postawę w sztuce, to odwieczna i nigdy niezakończona dyskusja nad tezą, którą tak znakomicie spointował Grochowiak: bunt się ustatecznia. My w inscenizacji widzimy pytanie: „Żyć dla Teatru czy Żyć z Teatru?”. Podobnie jak choćby w historycznych dramatach Macieja Wojtyszki: w *Bułhakowie* wystawianym na deskach krakowskiego Teatru Słowackiego czy też w sztuce *Całe życie głupi*, która przynosi tezę, że Michał Bałucki musiał popełnić samobójstwo, aby mogła wtargnąć na Scenę epoka Stanisława Wyspiańskiego.

Andrzej Buck

Apetyt na szarlotkę, czyli kuchennymi schodami do historii (regionu)

Alfred Siatecki, *Drugi klucz do bramy. Rozmowy nieautoryzowane albo nieodbyte o przeszłości Środkowego Nadodrza*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2010, 207 s.

Kim byli dawni mieszkańcy Wiciny i czy coś ich łączy z osadnikami słowiańskiego Biskupina? Czy Jan Kepler był zwolennikiem astrologii? U którego z zielonogórczan terminował Francisco Goya? Co

wiadomo o Basi ze Wschowy, która stała się bohaterką narodowego hymnu? Czym zajmuje się pomologia? Dlaczego laureat pokojowej nagrody Nobla, Carl von Ossietzky, wolałby nie otrzymać

tego wyróżnienia? Gdzie znajdują się skarby wywiezione z żagańskiego pałacu? Czy w magazynach wojskowych w Kęszycy składowano radziecką broń atomową? Dlaczego nazwę Niemaszchleba zamieniono na Chlebów? Jak naprawdę: Leon Pinecki czy Leo Pinetzky nazywał się trzykrotny mistrz świata i pięciokrotny mistrz Europy w zapasach? No i – rzecz równie istotna – na czym polega sekret przepysznej szarlotki? Oto garść pytań, na które odpowiedź znaleźć można w książce zatytułowanej *Drugi klucz do bramy*. „Drugi”, gdyż publikacja ta jest kolejną (a zapewne nieostatnią) z cyklu „rozmów nieautoryzowanych albo nieodbytych o przeszłości Środkowego Nadodrza” – literackich mistyfikacji, których autorem jest Alfred Siatecki.

Podobnie jak wcześniej, do rozmowy zaproszone zostały osoby powszechnie znane oraz postaci zapisane głównie w dziejach Ziemi Lubuskiej; ci, którzy mieli tylko swoje pięć minut w historii, oraz ci, którzy zaznaczyli się w niej mocniej i na trwałe. Przy czym dobór rozmówców jest bardziej niż w części pierwszej zróżnicowany. Dość wspomnieć, że wśród interlokutorów znaleźli się dowódca wojsk radzieckich, przedwojenny zapaśnik i Jan Paweł II. Co ich łączy? Najkrócej rzecz ujmując: związek z Ziemią Lubuską – więź silna, jak w wypadku żyjącego tu przed wojną Theodora Burchardta, albo przygodna, zaświadczona jednorazową dłuższą (przypadek Tadeusza Konicza) bądź krótszą (przypadek Jana Pawła II) biograficzną przygodą.

Wszyscy oni odnotowani zostali w kronikach naszego regionu. A jednak tej wersji dziejów, którą przedstawia Siatecki, nie znajdziemy w przekazach oficjalnych ani w podręcznikach. Autora interesuje inna, alternatywna niejako opowieść. Dowiadujemy się z niej, że Jan Kepler jest autorem pierwszej na świecie książki fantastyczno-naukowej, która ukończona została w Żaganiu, a na język polski jednak przetłumaczono ją dopiero w roku 2004; że znajdująca się w Zielonej Górze ulica Konicza równie dobrze mogłaby nosić imię Tadeusza Kuntza, gdyż jej patron, znany XVIII-wieczny malarz podpisywał swe obrazy różnymi nazwiskami. A dalej, że Świętno – niewielka miejscowość leżąca nieopodal Wolsztyna, proklamowana została jako

republika i z własnym rządem oraz armią liczącą 120 żołnierzy przez 218 dni 1919 roku istniała jako najmniejsze państwo europejskie i że Ziemia Lubuska znana jest nie tylko z upraw winorośli, na jej terenach wyhodowano bowiem wiele nowych odmian sadowniczych, niektóre z nich, jak np. Gubinka (rodzaj wczesnej śliwy) udaje się tylko w okolicach Gubina, który ma specyficzny, nie występujący w innych miejscach mikroklimat.

To tylko wybrane przykłady ciekawostek dotyczących lubuskiego terenu. „Ciekawostek”, gdyż Siatecki przedstawia fakty mało znane i odsłania kulisy historycznych zdarzeń. W dzieje regionu wchodzi, rzecz można, kuchennymi schodami, nie tytułową bramą. Kuchennymi dostownie, gdy pisze np. o Emilii, kucharce Theodora Burchardta, która z pierwszego zbioru smakowitej odmiany lubuskich jabłek, renety landsberskiej upiekła szarlotkę. I można by, kontynuując interpretację tytułu, odpowiedzieć, że autor *Drugiego klucza do bramy*, otwierając kuchenne drzwi historii, używa nie klucza, a wytrycha. Jako twórca lubuskich kryminałów wykorzystuje bowiem literackie doświadczenie: kusi czytelnika sporą dawką sensacji, operuje legendą oraz anegdotą, umiejętnie rozbudza zainteresowanie, bo np. dlaczego po zaserwowaniu podwieczorka (wspomnianej szarlotki) Emilia chce umierać? Drogi Czytelniku, jeśli chcesz znać odpowiedź – sprawdź, sięgnij po książkę.

Co obok nazwisk i biografów postaci należy tu do oficjalnego przekazu? Przede wszystkim historyczne zestawienia, stanowiące apendyks każdego rozdziału. Znajdziemy w nich np. wykaz niemieckich Obozów Pracy na Środkowym Nadodrzu; nazwiska znanych działaczy Związku Polaków w Niemczech; wyliczenie miejsc, w których stacjonowały sowieckie garnizony; listę medalistów olimpijskich pochodzących z naszego regionu; nazwy odmian drzew owocowych ze środkowoodrzańską metryką; fakty z życia Barbary z Chłapowskich Dąbrowskiej; a także dane dotyczące onomastyki (pochodzenie nazw byłych i obecnych miast powiatowych); „diecezjalne” (związane z wydarzeniami kościelnymi) i „pałacowe” (dotyczące pałacu w Żaganiu) daty. Istne *silva rerum*, w którym każdy znaleźć coś dla siebie!

Faktograficzny charakter ma też kalendarium, które zamyka całość i zawiera wykaz dat ważnych, zdaniem autora, dla dziejów regionu. To zestaw subiektywny, rodzący m.in. pytania o kryteria wyboru, bo jeśli wymieniona została data powstania Uniwersytetu Zielonogórskiego, to dlaczego nie podano – równie ważnego dla kulturalnego rozwoju miasta – roku założenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej?

Można by pod adresem tej książki zgłaszać również inne zastrzeżenia, np. dopominać się o pominięte wątki, które dotyczą postaci – podam jeden z przykładów: w wywiadzie z Pauksztą nie wspomniano o tych książkach pisarza, które konstruowały legendę regionu i były odpowiedzią na potrzeby historycznej chwili, a szkoda, gdyż ten obszar twórczości pisarza byłby z punktu widzenia regionalnej historii najbardziej ciekawy. Pytając o niewykorzystane możliwości, dodajmy, że zamieszczony tu (w apendyksie rozmowy z Tadeuszem Kuntzem) katalog znanych zielonogórczan można by wydłużyć – uzupełnić listę o nazwisko np. Urszuli Dudziak, która przez jakiś czas mieszkała w Zielonej Górze, czy Olgi Tokarczuk, która chętnie przyznaje się do lubuskich korzeni; a jeśli wymieniony tu został Tomasz Lis, to zaistnienia w książce domaga się też inna medialna osoba – aktorka Joanna Brodzik.

I jeszcze dwie drobne uwagi dotyczące redakcji książki: Dobrze byłoby w tytułach kolejnych wywiadów umieścić nazwisko mówiącego bohatera, choćby w nawiasie (tak zresztą uczyniłam w spisie treści swojego egzemplarza) – czytelnikowi ułatwiłoby to poruszanie się po prezentowanej tutaj historii regionu. Z tych samych względów bardzo przydatny byłaby indeks nazwisk. Jego brak uzasadniłby autor zapewne tym samym argumentem, za pomocą którego tłumaczy nieobecność przypisów i szerszej bibliografii – ww. adnotacji poprzedzającej wykaz źródeł czytamy: „Pod tekstami nie podawałam źródeł, z których czerpałam, aby praca nie wyglądała na naukową”. Tymczasem „naukowość” prac historycznych jest dziś mocno problematyczna, jako że zmieniają się badawcze standardy i badawczy dyskurs coraz

częściej zbliża się do publicystycznej formuły eseju. Analogicznie zmienia się sposób traktowania historii, która traci status obiektywnej nauki na rzecz opowieści zawierającej nie historyczne fakty, ale *facta ficta*. I w tę właśnie formułę wpisują się literackie mistyfikacje Siateckiego, „rozmowy nieautoryzowane albo nieodbyte” – potrzebne i ciekawe, dlatego zgodzić się trzeba z zamieszczoną na okładce książki opinią Andrzeja Toczewskiego, że *Drugi klucz do bramy* powinien stać się lekturą każdego mieszkańca regionu. A już z pewnością sięgnąć do niego ma obowiązek ten, kto czuje się Lubuszaninem. Ów czytelnik z ciekawością oczekiwać będzie następnych tomów i spotkania z kolejną grupą bohaterów. Może znajdzie się wśród nich nowy patron Zielonej Góry, papież Urban (dzieje tego wczesnochrześcijańskiego świętego aż proszą się o jakiś literacki apokryf)? A jeśli wolno dołączyć listę życzeń, to dla piszącej te słowa szczególnie ciekawe byłoby wywołanie duchów lubuskich pisarzy, np. Ireny Dowgielewicz, Zdzisława Morawskiego, a obok nich dawniej żyjących autorów, takich jak Krzysztof Niemirycz czy Alfred Henschke, znany pod pseudonimem Klabund.

Bogata historia tych Ziem to z pewnością materiał na wiele jeszcze takich popularyzujących ujęć i cieszyć się trzeba, że znalazła ona swojego „klucznika”. Przed laty Alfred Siatecki opracowywał wspomnienia mieszkańców nadodrzańskiego domu, publikując ich pamiętniki. Dzisiaj w nurt biograficzno-historycznego pisarstwa wkracza innymi ścieżkami i głosami „ludzi stąd” kontynuuje opowieść o dziejach regionu. Jego „historię w dialogu”, schodzącą z pomników, dotykającą konkretnych ludzi, domów, ulic smakować można jak zrobioną z landsberskiej renety szarlotkę. W tej metaforze zawiera się namacalny smak historycznej, a równocześnie danej „tu” i „teraz” chwili. Bo przecież, jak trafnie ujął to Johann Gustav Droysen, „To, co było, interesuje nas nie dlatego, że było, ale dlatego, że w pewnym sensie nadal trwa, ponieważ w dalszym ciągu oddziaływa”.

Małgorzata Mikołajczak

Zielone wiersze

Władysław Kłępka, *Zielone światło*, RCAK, Zielona Góra 2011, 100 s.

Bukolicznie, nazwa jednej z części nowej książki poetyckiej Władysława Kłępki właściwie mogłaby być tytułem całego tomiku, a z pewnością kwalifikatorem gatunkowym zamieszczonych w tym zbiorze utworów. Ton sielankowy, arkadyjska idealizacja świata, opisowe ujęcia przyrody, także przewijający się wątek miłosny – krótko mówiąc, wszystko to, co decyduje o charakterze tych wierszy – pozwala umieścić je w sielankowo-sentymentalnej perspektywie. A uwzględnić trzeba również czynnik formalny, związany z „bukolicznym” ujęciem świata przedstawionego: „zielone światło”, tym razem posłużmy się właściwym tytułem, dla tradycyjnej poetyki, stylizacji, kulturowego sztafażu.

Zestawiając te utwory z najwcześniejszymi wierszami poety, można by powiedzieć, że autor *Zielonego światła* przebył drogę od natury do kultury i trudno rozstrzygnąć, co w pięknie przyrody pociąga go dziś bardziej – przyroda czy piękno. Za tym drugim przemawiałaby nie tylko estetyzacja wypowiedzi, ale i zabiegi służące dekoracji świata. W tym sensie zieleń nie jest już atrybutem przyrody, ale ornamentem, np. kolorem sonetu (*Sonet zielony*). I nawet jeśli „zielone światło sączą liście” (*Zielone światło*), a „ptasie trele świdrują zieleń” (*Majówka*), to i tak „zieloność” jest tu po stronie sztuki, co dobrze ilustruje strona edytorska tomiku: zielono-seledynowy kolor podwójnych okładek – tej właściwej oraz umieszczonej między nią a tekstami wkładki, tj. nasączonej seledynem kalki, której odbłask rzutuje na lekturę wierszy.

A co zostało z pierwszej fazy twórczości? Całkiem sporo, na przykład skłonność do miniatury, widoczna w formach, które już tytułem nawiązują do debiutanckiego *Węzła serdecznego: Supelki*. Tak nazwał poeta cykl drobnych utworów, które wieńczą każdą z wyodrębnionych w tomiku części i które – nizając liryczne momenty – zbliżają

się do uprawianego przez Kłepkę haiku. Oto próbka takiego „supelkowego głosu”:

*
światła błyskawic
szyją niebo
i ziemię

*
deszcz nas dopędził
nawet drzewa
płaczą

*
las skryty we mgle
ściana nie do
przejścia
I jeszcze na koniec:

*
zegar się zaciął
i przedłuża
chwilę

Z „supelków”, ich lirycznych splotów wyłania się obraz świata zatrzymanego i oglądanego, co może lepiej jeszcze pokazują inne zamieszczone w tomiku utwory, oczyma artysty. W wierszach Kłępki – tak było zresztą od początku – rzeczywistość przemawia poprzez kształty, cienie (światłocienie) i kolory. Tę tkaninę, malowaną wszystkimi barwami przyrody, w *Zielonym świetle* bogato inkrustują kulturowe aluzje. Na ich podstawie można m.in. utworzyć galerię postaci: Rimbaud, Chopin, George Sand, Błatny, Holub, Borges, Arnaud, Hasior, Zadura etc. Wymieniam chaotycznie, bo co łączy artystów reprezentujących różne czasy i profesje oprócz obecności w nowych wierszach Kłępki? Każde z nazwisk sygnuje akces poety do świata kultury i jest

wyrazem uznania dla twórczych dokonań. Wśród artystycznych autorytetów szczególne miejsce zajmuje poetka, przywołana tylko akronimem „M.B.”. Marianna Bocian, bo o niej mowa, otrzymała tu najładniejszy bodaj wizerunek – pożegnalny portret:

M.B.

Ona zeszała
po złotych schodach nicości
tam gdzie słońce
umywa rozpaloną twarz
W tygłu ciszy
jest nawałnica metafor
jedyne słowo
do oczyszczenia
idzie w nas.

(Poetka)

Jednakże lepiej obecni w zbioru Kłębki, a zdaje się, że i bliżsi poecie, są przedstawiciele świata natury, tacy jak wiewiórka, łania, kobuz, motyl cytrynek, a oprócz nich cała bogata plejada leśnego ptactwa. Temu zwierzyńcowi towarzyszą przebywające w leśnych ostępach fantastyczno-baśniowe postaci, np. satyr czy driada – między innymi za ich sprawą narracja liryczna układa się w kształt leśnej baśni. Taką baśnią jest np. opowieść o modrzewiowym starodrzewiu, w którym „panny szarpią za róg księżycy aż świetliki / z niego lecą” (*W modrzewiowym starodrzewiu*).

Trochę to sentymentalne i bardzo staroświeckie – oba te określenia dobrze przystają do wierszy niemłodego już przecież poety. Bo kto dziś jeszcze bawi się akrostychem, sekstyną? Kto uprawia tankę, oktostych, sonet? Kto pisze o „gwiazdach z pogodnego nieba” i „wschodzącym słońcu” (*Nad niecką Odry*), o „zrywaniu kwiatów dla tej jednej jedynej” (*Uciekła mi ptaszyna*) i „dziękowa-

niu Panu za jeszcze jeden ranek” (*Z jutrzeńką*)? Kto wreszcie łowi echa historii, zbiera pamiątki minionego czasu i z sentymentem patrzy na krakowskie ulice, na Bramę Grodzką w Lublinie, kazimierską basztę?

Spośród miejsc przywoływanych w utworach Kłębki, a oprócz rodzimych są nimi również Prowansja i Praga, najważniejsza pozostaje jednak Krężnica Jara, „wioska, którą babcia Aniela / zna jak bieloną pościel” (*Różana chusta*). Tę lubelską wieś, z której pochodzi poeta, zna również czytelnik jego wcześniejszych utworów. A jeśli czytał je uważnie, to spotkał też babcię Anielę. W jej postaci uosobiona została cała mądrość świata. „Patrząc w niebo przepowiadała przyszłość” (*Przełot ptaków*) i „z pękiem ziół w rękę / i zdrowaśką po trzykroć” znakiem krzyża odpędzała złe od progu chaty (*Biała magia*) – powie o niej poeta. I tak naprawdę, to nie satyr czy driada, ale właśnie ona mieszkała i mieszka nadal w Kłępkowej Arkadii – tyleż baśniowym, co rzeczywistym, zmitologizowanym dzięki wspomnieniom świecie.

Za siódmą górą może pagórkiem
lekkie wzniesienie
Tam leży wioska – Krężnica Jara
tam światłocienie
życiu nadają urodę raj
nowe wejście

– czytamy w wierszu, którego tytuł *Bukolika* mówi wszystko. Autor *Zielonego światła* znalazł swój azyl w kulturze, ale cały wyrasta właśnie z tamtych krajobrazów – wiejskich, „serdecznych”, które nie za bardzo mieszczą się w kulturowym gorsecie. I dobrze, bo właśnie dzięki temu do głosu dochodzi to, co autentyczne i żywe w „zielonych” utworach.

Małgorzata Mikołajczak

O *może boże*, czyli Lubuski Wawrzyn Literacki 2010 dla Konrada Wojtyły*

Konrad Wojtyła, *może boże*, Instytut Mikołowski, Mikołów 2010, s. 52.

Może boże, książka poetycka Konrada Wojtyły, laureata tegorocznego Wawrzynu Lubuskiego opublikowana przez Instytut Mikołowski w kwietniu 2010 roku, zdążyła już zaistnieć i utrwalić się w krytycznoliterackim obiegu. Na jej temat wypowiedzieli się nie tylko Edward Balcerzan (autor postłowa) i Piotr Matywiecki (autor rekomendacji na okładce), ale też Magdalena Boczkowska, Piotr Michałowski, Krzysztof Siwczyk, Andrzej Skrendo. A wymienian nazwiska tych tylko krytyków, do których opinii udało mi się dotrzeć.

Pisano o „poetyckiej fenomenologii umierania” (Skrendo), o „traumatologii śmierci”, o utracie ojca, anihilacji ciała i kresie komunikacji z drugim człowiekiem (Siwczyk), o „obnażającej wszystko, okrutnej idei Boga” (Matywiecki) i odzieraniu (głównie z eschatologicznych) złudzeń. Włączano zawarte tu wiersze w nurt funeralno-elegijny, w tradycję awangardową i postawangardową – z jednej strony, z drugiej – w dziedzictwo metafizycznej poezji, a ściślej metafizyki wyczerpania, jałownienia, wysychania, inspirowanej nietzscheańską ideą śmierci boga.

Poezji tej ponadto przypisano wielu świetnych patronów, zarówno spod znaku metafizyki, jak i awangardy, wskazując związki młodego poety z Beckettem, Różewiczem, Przybosiem, Wojaczkiem (o „Wojaczku zracjonalizowanym Przybosiem” mówił Piotr Michałowski) i Miłobędzką. Podkreślano też, że jego książka nie jest zwykłym tomikiem, ale „poetyckim dziennikiem kresu, funeralnym pamiętnikiem” (Siwczyk) i – z drugiej strony – że ciąży ku zamkniętej formie poematu, którego fabuła osnuta jest na doświadczeniu śmierci. Chwalono poetykę, którą cechuje minima-

lizm środków wyrazu, zasada redukcji i ekonomii słowa, przekształcanie pokładów mowy potocznej, oparcie na językowych grach i conceptach. O „międzysłowniu, w przeblaskach znaczeń, wyłaniających się z nieostentacyjnej metody lingwistycznej” pisał Siwczyk, o „kuszającej wirtuozerii” Matywiecki.

Przypieczętujemy te wypowiedzi oceną bodaj najdobitniejszą, która wyszła spod pióra Andrzeja Skrendy: „poezja Wojtyły stanowi na mapie poezji współczesnej fenomen odrębny i osobny, cenny i wartościowy, słowem – zastanawiający i dający do myślenia”, pisze badacz.

Wszystko to dużo, bardzo dużo jak na książkę młodego, aczkolwiek mającego na swoim koncie już trzy tomiki (omawiany jest czwartym) poety. I na dobrą sprawę na tych opiniach można by poprzestać, komponując laudację z mozaiki cytatów. Bo co dodać do głosów, które uchwyciły najważniejsze cechy poetyckiego zamysłu, wskazały dominanty tematyczne, trafnie rozpoznały tradycję i literackie konteksty? A jednak w wypadku poety, który urodził się i przez wiele lat mieszkał na Ziemi Lubuskiej, który tu właśnie opublikował większość swoich wierszy i którego tomiki przeszły do historii literatury lubuskiej właściwie bez większego echa, godzi się rzec więcej niżeli *natus est Conradus* i powitać w autorze *może boże* nie tylko (do)cenionego w środowisku literackim poetę, ale też laureata Lubuskiego Wawrzynu, która to nagroda należy mu się z kilku przyczyn:

Po pierwsze – za poetyckie przedsięwzięcie, które udatnie mierzy się z (post)metafizycznym problemem: mówienia o śmierci po śmierci Boga i po lekcji pustego nieba Fryderyka Nietzschego. Innymi słowy: za poezję, która wymykając się ilu-

* Tekst jest nieco rozbudowaną i zmodyfikowaną wersją laudacji wygłoszonej w lutym 2011 roku w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze podczas uroczystości wręczania autorowi *może boże* nagrody Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

zoryczności pierwszego słowa i pierwszej zasady, podtrzymuje ontologiczne pęknięcie między językiem i światem (czego obrazem „jeż Babel” w rękach bawiących się dzieci) i która niemoc transcendencji („metafizyczną menopauzę” i „boską impotencję”) wyraża za pomocą doskonale sprawnego języka. A dzięki temu odnawia metafizyczny potencjał lingwistycznej poezji.

Po drugie – za sposób operowania figurą ojca, która jako swoiste centrum i kompozycyjne *axis mundi* wierszy należy do kilku porządków i światów, i pozwala mówić o wielu rzeczach naraz – przede wszystkim o alienacji, rozpadzie i śmierci. Podkreśliły, że odejście ojca to przejście, ale „przejście podziemne”; świat wierszy Wojtyły sytuje się w sferze liminalnej i to ona tworzy aurę tego tomiku.

Po trzecie – za poezję przysłówków, w której „to” i „coś” wchodzi w semantyczne spięcia oraz w dialog z „der tod” Heideggera, Celana, Różewicza, z „to” Miłosza; za zredukowaną dykcję,

będącą wehikułem wycofania podmiotu oraz zawarty w niej semantyczny potencjał; za język, który zatrzymuje na sobie, ale – niczym prześwitującą kotara – nie zasłania, który ustalając osobne trajektorie ciała i duszy, projektuje kanał ich komunikacyjnego spotkania i wiodąc niżej (jak kondukt) uruchamia podskórne, podziemne, rzecz tu trzeba, sensy, sugeruje, że gra tocząca się w języku jest także grą o coś.

I po czwarte, ostatnie – które niech będzie jak kropka nad „i” – za... tytuł. Za jego aleatoryczną formułę, która otwiera (*boże*) i zawiesza (*może*) metafizyczną perspektywę, która proponując językową zabawę kruszy serio, a równocześnie wciąga język w śmiertelną – i śmiertelnie poważną – grę z... Bogiem – zwodząc, uwodząc, prowokując i intrygując czytelnika.

I – może boże – tyle powodów wystarczy?

Małgorzata Mikołajczak

Przeszłość – to jest dziś, tylko cokolwiek dalej

Zbigniew Rajche, *Moja Canossa*, Organon, Zielona Góra 2011, 180 s.

Matką porzekadeł, sentencji i ich licznego rodzieństwa jest na pewno refleksja. Ojcem powinien być więc rozum, jednak, jak to z ojcostwem bywa, pewności nie ma. Czasem jest nim błąd... myślowy. Jednym z takich dzieciąt „nieprawych” jest powiedzenie, że kłamstwo powtarzane nieustannie, w końcu staje się prawdą. To oczywista nieprawda, ale zapal siejących zamęt bywa skuteczny. Oto w naszym kraju, ponoć dumnym ze swojej historii, panoszy się dla niej pogarda, w najlepszym przypadku lekceważenie. Bo iluś mędrków ogłosiło, że mamy (kto?) dość zwracania się ku przeszłości, trzeba o niej zapomnieć, bo pożytek z niej żaden, a ona nie pozwala iść do przodu. Dowiadujemy się (ja z przerażeniem), że

zgodnie z tym postępowym trendem nawet zdający na historię zdawać jej nie muszą, więc pewnie i znać też. Niewiarygodne, a jednak.

Jak wobec tego przekonać młodych ludzi, że trzeba i warto historię poznawać? Nie wiem, ale gdyby nakłonić (może konkursem audio-tele – to żart oczywiście) do czytania nie podręczników, lecz żywych książek, relacji świadków, byłaby jeszcze szansa na odwrócenie katastrofy, jaką może być utrata przyszłości. A na pewno roztopienie się i zatopienie w unifikacji: współczesnej nowomowy, para-kultury, niemyślenia. Zwłaszcza rezygnacji z myślenia na własny rachunek, czyli odpowiedzialność, na rzecz o ileż łatwiejszego posługiwania się podsuwanymi atrapami myślowymi, czyli schematami.

Taką oto „przemowę” obmyśliłam poprzedzić zachętę do czytania oraz polecenia jako lektury nie tyle obowiązkowej, co należytą, dzieła 83-letniego mieszkańca Zielonej Góry, pana Zbigniewa Rajche, pt. *Moja Canossa*, które zostało wydane w lipcu 2011 r. przez Organon. To niezwykle zapis życia, śmierci i historii, niezwykle na każdym poziomie, a z uwagi na narratora, bohatera i sposób przekazu trafi do każdego, kto zdolny jest odczuwać. Niezależnie od wieku. O ile znajdzie drogę do czytelnika. Uważam, że jeśli nawet nie w całym kraju, to przynajmniej w Lubuskiem powinna trafić na listę lektur szkolnych. Koniecznie!

Świadomie, a nie na wyrost użyłam określenia „dzieło”. Nie jest to powieść ani pamiętnik, ani nawet relacja, natomiast znaczenie tego przekazu stawia dokonanie autora w rzędzie najważniejszych zapisów z czasów Zagłady. Książkę, w jakiś sposób także dzieło życia, ofiarowuje i poświęca autor: **„130 tysiącom ludzi zamordowanych w latach 1941–1943 na cmentarzu żydowskim w Stanisławowie”**. To nader ważne: ludzi. Tylko niewielka ich liczba nie była Żydami, ale autor, inaczej niż bodaj wszyscy, pisze „ludzie”. Proszę spojrzeć uważnie. Prawda, że mordercy wyznaczyli Żydom los szczególny, jednak autor, wiedząc i widząc to, widzi nie Żydów, a po prostu ludzi na śmierć pędzonych. To ważne, wobec dziwnego sposobu mówienia i myślenia rozróżniającego w ten sposób śmierć, niezależnie czy patrzy się na Zagładę jako Żyd czy Polak. A śmierć nie ma narodowości, wyznania, pochodzenia. Autor raz i drugi powtarza: „Tam giną ludzie. W innym miejscu: Jeden strzał i po wszystkim. Ktoś przestał żyć. Jakiś człowiek umarł... Kto? Nie wiadomo, ale na pewno umarł człowiek. Rozumiecie? Umarł!”.

Książka jest tryptykiem. Dwa skrzydła okalają delikatną miniaturę, ołtarzyk miłości młodzieńczej. Tak czystej, pięknej i silnej, że wręcz musiała być przez los przeniesiona z dramatycznego, straszliwego świata wprost między gwiazdy. Jakaż to wielka sztuka zawrzeć w tak niewielkiej i prostej formie bezmiar rodzącego się pierwszego uczucia, świadomego siebie, ale raptem przeczuwającego nieznane jeszcze siły! Uczucie to bowiem wyrasta

niczym kwiat paproci w ciemnej nocy otaczającego zewsząd koszmaru śmierci, przerażających spraw „dorosłego świata”, którymi – miast młodością i uczuciem – przyszło żyć bohaterom, niemal dzieciom jeszcze. Dreszczem grozy, ale i niezmiernego wzruszenia przenika miłość i dojrzałość tej pary, rozdzielonej nagle i już na zawsze. Tej części, pt. *Czerwona sukienka* autor nadał znamienity podtytuł: „opowieść romantyczna”. Wziął go, i słusznie, w cudzysłów. Bo jest romantyczna w najlepszym rozumieniu słowa, ale ileż goryczy w tym słowie przy takiej treści!

Czytałam, myśląc z przykrością i żalem o dziejszych rówieśnikach Alinki i Zbigniewa. Z może naiwną resztką nadziei pomyślałam: gdybyż oni przeczytali tę opowieść! Wielki romantyk marzył, by jego poezja zjadaczy chleba w aniołów przerobiła... Niechby już nie w aniołów, niechby jednak *Moją Canossę* czytali młodzi ludzie, może bodaj w czujących ludzi by ich „przerobiła”... Ludzi, którzy nie wstydyją się wzruszeń, pięknych słów i dobrych uczuć. Współczesnych i bezpiecznych, jak im się zdaje (oby!), ale nie lekceważących historii. Jak pisał Norwid – „Przeszłość – to jest dziś, tylko cokolwiek dalej. Nie jakieś tam coś, gdzieś, gdzie nigdy ludzie nie bywali”.

To centrum książki. Nie w sensie, że część najważniejsza, jako że wszystkie wzajemnie się dopełniają i oświetlają, ale jest jej jakimś zwieńczeniem. Bo miłość, wbrew tym, którzy niosą śmierć, jest uwzniośleniem życia. I nie jest ważne, czy ta historia zdarzyła się, czy nie, lub czy dokładnie tak, ona po prostu jest prawdziwa za sprawą rzeczywistego talentu autora.

A co stanowi skrzydła tego tryptyku? Pierwszym jest relacja owego kilkunastoletniego chłopca, który mieszkał nieopodal cmentarza żydowskiego, na którym w ciągu kilku lat „nadludzie” mordowali tych, których pozbawili wszelkich praw ludzkich. Także, a może przede wszystkim prawa do godnej, własnej śmierci i pochówku. 130 tysięcy istnień. Chłopiec spisał to, co widział z bliska, z okienka na strychu, co widział ot, przechodząc ulicą. Niemcy wszak nie kryli się z tym, że właśnie tak mordują Żydów. Ich przede wszystkim. Ale chłopiec zadaje

sobie pytanie: „dlaczego oni pozwalali nam na TO patrzeć?”. Właśnie, dlaczego?...

Nie sposób cytować najbardziej celnych spostrzeżeń, najbardziej wstrząsających scen, bo wszystkie są takie. Trzeba natomiast podkreślić szczególną wartość wyróżniającą tę relację z setek innych zapisów. Autor (a jest nim przecież chłopiec), widząc te tysiące idące „w konduktach własnych pogrzebów”, „czekających w kolejce na śmierć”, widzi śmierć pojedynczą! Każdego zamordowanego z osobna. Nie od razu, ale takiego widzenia się uczy. W ten sposób czyni coś, czego dotąd badaj nikt z piszących nie uczynił. Zbrodnię, o której na ogół mówi się w kategoriach „masowych”, w jakiś sposób unicestwia, przywracając Ofiarom ich własną, indywidualną śmierć. Zatrzymuje w oczach i pamięci, jak w kadrze, ostatnie spojrzenie konającego, ostatni krzyk, gest, wyrzucenie ramion w górę, bywa, że dumny protest głowy wysoko podniesionej, oczu patrzących oprawcy prosto w nieludzkie oczy. A widząc w ten sposób choćby kilkadziesiąt osób, widzi każdego osobno. Nie ludzi, nie tłum, lecz człowieka.

Zbigniew Rajche ma talent, na pewno. Ale cóż po umiejętności sprawnego pisania, „barwnego” (słowo tu oczywiście mało odpowiednie), żywego opisu, talencie nawet, gdyby zabrakło do głębi ludzkiego odczucia? Kiedy toczyły się po wojnie debaty o sztuce po epoce krematoriów, niektórzy wręcz koniec sztuki wieszczili. Bo czy i jak można o TYM mówić? Otóż można. I trzeba. Nawet dziś, a może znów dziś. Ale nie jak Nałkowska, której zabrakło czucia i wyczucia, a wobec tego w *Medalionach* napisanych nie z potrzeby serca, lecz na swoje zamówienie, słyszy się jakieś fałszywe tony. Nie jak Borowski nawet, który był zbyt obciążony i porażany własnymi doświadczeniami, by był w stanie z tym sobie poradzić. Sięgam celowo do lektur szkolnych i twierdzę, że o „TYM” trzeba pisać właśnie tak, jak Zbigniew Rajche. Tylko tak. Bez zabiegów artystycznych, bo te są tutaj nie na miejscu. Ale także bez tzw. dystansu, bo i on niestosowny. Przeciwnie. Całym sobą: „Przyciskam twarz do zimnej szyby i patrzę, patrzę... Nieznana, przemożna siła przypiera mnie

do zakurzonej ściany, ręce kurczowo zaciskają się na belce, a oczy szeroko otwarte są T A M. Jestem cały w tych oczach. Wszystkie zmysły, cała osobowość dwunastoletniego chłopca skupiła się w oczach. Są tylko oczy, które muszą TO widzieć”.

Rzecz nie do pojęcia, przerażająca, ale tym bardziej ktoś, kto jak autor był świadkiem, nie może w kostium chłodnego filozofa się przystrajać, a przeciwnie, winien krzyczeć i oniemić ze zgrozy. I taką właśnie jest relacja Zbigniewa Rajche. Czasem cmentarną, porażającą ciszą. Jak cisza po wystrzale kończącym ludzkie życie. Czasem, gdy trzeba, rozpaczliwym krzykiem. I wołaniem o pamięć nie dla bezimiennych tłumów idących na rzeź, ale o przywrócenie człowieczeństwa tej dziewczynce z niebieskimi kokardkami, temu chłopcu ze słóiczkiem papryki, matce, która usiłuje ukryć swoje dziecko pod stertą ubrań, kobiecie spod płotu, patrzącej śmierci w twarz, starcowi, którego ostatnie spojrzenie spoczęło w oczach narratora... „Całość z tej odległości jest abstrakcyjną gmatwaniną, ale fragmenty przerażają wyrazistością. Trzeba tylko na chwilę zatrzymać wzrok na wybranym fragmencie...” Nie ma na opisanie tego, co widział autor, słów odpowiednich, a jednak – Zbigniew Rajche potrafił słowa znaleźć. Proste słowa. Gdzie nie można inaczej, brutalne, by brutalność nieludzkiej śmierci tych ludzi oddać. Talent? Tak, na pewno. Ale autor słów szukał nie w umyśle, nie w „poetykach”, nie w pomysłach na „formę”, a w sercu.

Na okładkę książki wybrałam fragment z opowieści pt. *Bławatki w oknie*, o śmierci małej dziewczynki z błękitnymi kokardkami, wyglądającej ciekawie, a nieśmiało przez uchylone okno, zastrzelonej przez żandarma ot tak, dla zabawy i z uciechą. Porażający „obrazek”. Tylko ten jeden choćby, gdyby znalazł się w tzw. wypisach, mógłby powiedzieć i uczynić więcej dla nauki historii (wszak jej sens nie tylko w datach, wydarzeniach, paktach i zdradach) niż najgrubszy podręcznik. Równocześnie jest to miniatura godna najwyższych laurów, gdy idzie o pisarstwo.

Trzecią częścią, zamykającą całość i powracającą w wielu fragmentach do początku, jest

relacja Zbigniewa Rajche z jego wytęsknionej, wysnionej wręcz podróży na Kresy. Część niezwykle ważna. I także – jak całość – przynosi szereg spostrzeżeń odmiennych, od tych, które na ogół takim pielgrzymkom towarzyszą. To nie nostalgia, żal za utraconym, czasem i nienawiść do tych, którzy tę własność odjęli. Niektórym refleksje mogą się wydać kontrowersyjne, ale wszystkie podyktowane są głębokim, humanistycznym namysłem autora nad losami ludzi, narodów, nad dziejami. Myśleniem odpowiedzialnym i na własny rachunek.

Z jakże innymi uczuciami jedzie Rajche w rodzinne, utracone strony, niż bodaj wszyscy inni. Jedzie, nie jak pielgrzym, a raczej pątnik, jak do Canossy. Dom rodzinny, miejsca rodzinne – tak, oczywiście. Przejść ulicami swojego miasta, tak, koniecznie! Ale nie tam kieruje swoje pierwsze kroki. Idzie na cmentarz żydowski... Idzie w poczuć obowiązku i z potrzeby serca. Tej najprostszej, pokornej: oto ja żyję, więc mam wobec nich wszystkich obowiązek. Pokłonić się tym, których zapamiętał na zawsze. Tej małej dziewczynce z błękitnymi kokardkami, kobiecie dumnie patrzącej mordercy w twarz, tym wszystkim, których widział, których śmierci towarzyszył.

Patrzył. Póki nie zrozumiał, nie zobaczył ich poje-
dynczej śmierci – patrzył z jakąś, jak sam mówi, dziecięcą, okrutną ciekawością. I nie odwracał oczu. Dlaczego? Najpierw nie rozumiał, ale chyba pojął, że może właśnie dlatego, by mógł swoje świadectwo dziś przekazać tym, którzy mówią: nie chcemy historii, dość martyrologii, chcemy tylko chichotać, śmiać się ze wszystkiego, bo życie powinno być nieustającym powodem do zabawy i radości.

Teraz wrócił w miejsce, gdzie ledwie niewielki obelisk przypomina o tym, co tam się działo. Trawa zarasta, a tuż za kiepskim ogrodzeniem, ale i do-
kładnie w tych miejscach, gdzie pod spodem ukryte wielkie „groby” – ludzie uprawiają swoje ogródki działkowe. Być może nikt inny nie pamięta. Nikt, jak on. Dlatego właśnie jego pamięć jest tak ważna.

Jakże znamiennymi słowami zamyka *Moją Canossę*: **„Jestem ostatnim uczestnikiem tamtych niesamowitych wydarzeń. [...] Jestem ostatni. Choć nie. Mogą jeszcze żyć SS-mani. Oni przecież byli tacy młodzi...”**

Cóż, nie wiemy jak i czy w ogóle oni o TYM pamiętają.

Maria Miłek

Debiutancki głos młodości

Jakub Rawski, *Pasaże*, Pro Libris, Zielona Góra 2010, 60 s.

Pasaże to niezwykły tomik. Jego wyjątkowość tkwi między innymi w talencie artystycznym młodego poety Jakuba Rawskiego, którego twórczość została zauważona i nagrodzona w konkursie na „Debiut Poetycki Pro Libris”. Jednak tym, co najbardziej przyciąga do tej pozycji, jest przede wszystkim zawarta w niej świeżość i trafność obserwacji otaczającego świata, pozornie nam znanego i jednocześnie niejednokrotnie całkowicie obcego.

Jakub Rawski pochodzi z Głogowa, obecnie jest studentem I roku studiów II stopnia filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Pomimo młodego wieku (rocznik 1988), autor *Pasaz* ma na swoim koncie wiele osiągnięć naukowych. Jest dwukrotnym stypendystą Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, pięciokrotnym stypendystą Prezydenta Miasta Głogowa. Jego aktywność naukowa objawia się m.in. w wygłaszaniu referatów na regionalnych i ogólnopolskich konfe-

rencjach naukowych, publikowaniu artykułów, recenzji w regionalnych czasopismach. Poza tym jest wiceprezesem Studenckiego Koła Literaturoznawców.

Wiersze debiutanta przyciągają. Otwiera się przed nami obraz dojrzewającego mężczyzny, który kształtuje swoją osobowość, poszukuje, ale również przeżywa, odczuwa, komentuje wszystko to, co go otacza, dotyka. Z jednej strony, można dostrzec próby wypracowania własnego stylu, poszukiwania najlepszego środka wyrazu, zaś z drugiej – uderza bogactwo intertekstualnych odwołań, dialogu kulturowego. Autor daje upust swoim pasjom literackim, kulturowym, filozoficznym, społecznym, wpłatając przemyślenia na ich temat w treść swoich utworów. Nie są to jednak puste dywagacje, nieprzemyślane, wolne myśli, które tak często można napotkać wśród młodych twórców. Rawski rozmyślnie i odważnie głosi swoje poglądy, poparciem tego stwierdzenia może być chociażby wiersz *Zdziwienie*, gdzie podmiot liryczny komentuje tragiczne wydarzenia w Serbii:

żadne trybunały ani sojusze
zawiązane pokątnie na marmurowych
posadzkach w dźwiękoszczelnych ścianach
między panami duszonymi przez krawaty
nie napiszą usprawiedliwienia dla
serbskiej ziemi

Strofy te mają wydźwięk uniwersalny, odnieść je możemy do wielu, analogicznych sytuacji w przeszłości, jak i do teraźniejszości, kiedy to

o losach milionów decyduje garstka ludzi, często niemająca pojęcia o rzeczywistości wojny. Ten brak obojętności, silnie wyczuwalne zaangażowanie, pasja, sprawia, iż utwory zawarte w tomiku *Pasaże* przemawiają autentycznością i szczerością wyrażanych poglądów.

Na tomik składają się utwory nie tylko najnowsze, ale również te pochodzące z czasów licealnych poety. Dzięki temu czytelnik może dostrzec ewolucję stylu, rozszerzenie tematyki. Prócz wyżej przedstawionych już treści, w zbiorze możemy dostrzec również elementy poezji miłosnej, subtelne erotyki, utwory poświęcone dojrzewaniu, podejmowaniu życiowych wyborów. Co prawda można wyczuć przy lekturze, iż czytelnik ma do czynienia z osobą młodą, dopiero krystalizującą swoje poglądy, szlifującą formę, styl. Uznałabym jednak tę świeżość i młodość za zaletę, a wręcz wyznacznik debiutanckiego tomiku.

Myślę, że jeszcze usłyszymy o Jakubie Rawskim i z biegiem lat pojawią się nowe owoce jego twórczości. Oby ten tak udany i pozytywnie oceniony debiut literacki był zachętą i motywacją autora do dalszej pracy. Natomiast dla nas – czytelników niechaj stanie się drogowskazem, pomagającym odnaleźć się w tak licznych propozycjach literackich autorów pochodzących z naszego województwa, którzy przez publikację nie tylko dzielą się z nami swoją twórczością, ale również wspaniale wzbogacają ten młody, wielokulturowy region, jakim jest Ziemia Lubuska.

Monika Alechno

Przypowieść o ludzkości

Janusz Koniusz, *Przypowieść o podróży*, Pro Libris, Zielona Góra 2010, 76 s.

Poezję, jak każdy inny rodzaj sztuki, można podzielić na tę ambitną i błahą. Błaha nic nie wnosi ani do dorobku literatury, ani do życia czytelnika. Bawi się po prostu słowem bez żadnego głębszego sensu i celu; jest prosta i ociera się o kicz, czym często wywołuje niesmak u odbiorcy. Takie odzieranie poezji z wyższych ideałów jest szczególnie dobrze widoczne współcześnie. Istnieje jednak również ambitna poezja, starająca się poruszyć odbiorcę; poezja, której autor próbuje wypowiadać się na ważne tematy. Tomik wierszy Janusza Koniusza pt. *Przypowieść o podróży* z całą pewnością należy do poezji ambitnej, na którą warto zwrócić uwagę.

Już sam jego tytuł jest zagadkowy, ale oddaje doskonale charakter zawartych tu wierszy. Rozszyfrujmy go zatem. Czym jest przypowieść? Jest to gatunek literatury moralistyczno-dydaktycznej, posługujący się alegorią lub symboliką w próbie przekazania uniwersalnych prawd moralnych. Z przypowieści szczególnie często korzystano w literaturze religijnej. Także w wierze chrześcijańskiej chętnie posługiwano się przypowieściami, które można odnaleźć w Biblii. I właśnie do historii znanych z Biblii autor w opisywanym tomiku częstokroć sięga, korzystając z nich w metaforycznym aspekcie. A czym jest owa podróż, która jest drugim członem tytułu? W tomiku odnajdziemy wiersz o tym samym tytule, gdzie możemy przeczytać:

Z toporem na łodzi
Wyruszamy w podróż dookoła siebie
Zgłębić teologię drzewa i morza

Można wysnuć wniosek, że podróż jest próbą odnalezienia i zagłębienia się w naturze ludzkiej; próbą odkrycia człowieka.

Wiersze Koniusza często nawiązują do zdarzeń biblijnych; wykorzystują również postacie związane z wiarą chrześcijańską. I tak oto mamy aluzje m.in. do stworzenia świata, Potopu, Kaina

i Abła, do postaci Mojżesza czy nawet samego Jezusa. Oprócz postaci biblijnych spotkamy tu też mitologiczne (np. Syzyfa) i historyczne (np. Homer i Heraklit). Autor wykorzystuje znane z Biblii, mitologii oraz historii postacie i zdarzenia do scharakteryzowania człowieka, jego postępowania i kondycji moralnej. W jego oczach kondycja ta jest w nie najlepszej formie. Człowiek w wierszach poety jest przedstawiony jako jednostka samotna, która naznacza historię świata swoimi błędami i nieprzynoszącymi mu chwały czynami. Autor zwraca uwagę m.in. na komunizm (wiersz *Matżeńska bezsenność*) czy też atak jądrowy na Hiroszimę (wiersz *Pochwała niewiedzy*) jako na niezbyt chwalebny „dorobek” ludzkości. Wskazuje też na brak wiary u ludzi oraz ich dążenie do zniszczenia tego, czego nie rozumieją. Doskonale ukazuje to wiersz *List gończy rzymskiego prokuratora*, który według mnie jest jednym z ciekawszych w tym tomiku. Jezus zostaje tu przedstawiony jako zbieg z krzyża, udający, że zmartwychwstał, za którego złapanie wyznaczona zostaje nagroda. Głoszone przez niego poglądy o tym, że ostatni będą pierwszymi i żeby kochać nieprzyjaciół, wykraczają poza ludzkie rozumowanie. Dlatego, jak czytamy na końcu wiersza:

Po ciężkim śledztwie
Zgodnie z prawem
Znów zostanie skazany
Na krzyż
Z klauzulą natychmiastowej egzekucji

Cały tomik Janusza Koniusza jest niczym innym jak przypowieścią o ludzkości i świecie, w którym przyszło żyć autorowi. I choć ich lektura rodzi pesymizm i nie poprawia dobrego samopoczucia czytelnika, to warto do nich sięgnąć i zastanowić się nad przyczynami.

Krzysztof Regus

Wyznania kobiety dojrzałej

Ewa Dybowska, *Szept krętych zdarzeń*, Pro Libris, Zielona Góra 2010, 108 s.

Szept krętych zdarzeń, tomik wierszy Ewy Dybowskiej opublikowany w roku 2010 przez wydawnictwo Pro Libris w Zielonej Górze, jest trzecim z kolei zbiorkiem lirycznych wyznań tej autorki. Poprzedzają go tomiki: *Zatrzymane zamyślenia* (2006) oraz *Sabra* (2008). Podobnie jak tamte utrzymany jest w znanym czytelnikom nurcie poetyki wyznania.

Zapisana tu poezja jest wyznaniem dojrzałej kobiety, znającej smak utraconych marzeń, miłości niespełnionej i tej niełatwej, przychodzącej niespodziewanie jako spóźniony prezent od losu.

To właśnie miłość, relacje z otaczającym światem oraz poszukiwania siebie są motywem przewodnim tego tomu wierszy.

Są chaszcze, przez które trzeba przejść,
by odnaleźć dobrą drogę.
Są lustra, w które trzeba spojrzeć,
by odszukać siebie od nowa.
I twarze, które trzeba wymazać pamięcią,
by nie karmić się złudzeniami.
I zamknięte rozdziały lat,
do których zapomnij klucza.
Naucz się pamiętać, że zwiędłe kwiaty
poukładane kiedyś w bukiety marzeń
miały zapach słońca.
Odszukaj je dojrzałością zmarszczek
i pokrytych bliznami rozczerowań.
Taką nową, nareszcie pokochaj siebie
od nowa.

– zachęca poetka. Osobista liryka wyznania przenosi czytelników w świat jej lirycznych przeżyć. Malowane słowem portrety bliskich sercu osób

odślaniają biografię autorki, jej marzenia, oczekiwania i pragnienia, tak np. w wierszu *Do widzenia* odczytujemy życzenie spotkania z nieżyjącym już tatą, nazwanym pieszczotliwie Tatkiem. Wiersze przesycane są bogatą metaforą i kolorem. Bukiety marzeń mają zapach słońca (*Musisz*), purpurowozłociste motyle muskają dotykiem (*Zatrzymana chwila*). W tej poezji odnajdujemy wrażliwość na otaczającą przyrodę („Spójrz ku ptakom i lasom, / tam odnajdziesz harmonię”), która jest zarazem rzeczywistością spotkań z Bogiem – powietrze jest Jego oddechem, słońce Jego dotykiem (*Spacer*).

Wiersze pogrupowane w cztery kategorie: *Bliskim i obcym odległością wnętrza*, *Stop! Człowiek!*, *Pocztówki wysłane do siebie*, *Liryczne podróże w przeszłość* nie są opatrzone datami powstania i ułożone chronologicznie, co narzuca tematyczny, blokowy schemat lektury, a więc ukrywa niejako przed czytelnikiem następstwo osobistych doświadczeń. Liryka tego tomu skłania do przemyśleń na temat dojrzałej miłości, wyborów podyktowanych sercem, często niezgodnych z logiką rozumu i sankcjami dzisiejszego świata, w którym uczucia schodzą na dalszy plan. Autorka wyraża swoją niezgodę na łatwość rzucanych przez otaczających ją ludzi sądów, na utrudę i kłamstwo. Wypowiada swoje rozczarowanie światem dorosłych, w którym słowa są szare, a znaczenia utraciły wyrazistość. Poprzez swoją poezję Ewa Dybowska chce przywrócić blask poszarzałym słowom – pisząc im usprawiedliwienie, które mówi o ludzkim zagubieniu.

Anna Szanderska

KSIAŻKI NADESŁANE

Maciej Boryna, *Wały Śląskie. Tajemnice dawnych granic*, Towarzystwo Bory Dolnośląskie, Szprotawa/Bory Dolnośląskie 2011, 110 s.

Przemysław Karwowski, *Winiarstwo Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej. Katalog wystawy*, Zielonogórskie Stowarzyszenie Winiarskie, Zielona Góra 2011, 68 s.

Barbara Konarska, *Malowanka jesienna*, Atelier Red Frog – Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2011, 52 s.

Konkursy literackie im. Eugeniusza Paukszty (2000-2010), pod red. Jana Mielżyńskiego, Gmina Kargowa – Gminna Biblioteka Publiczna im. E. Paukszty, Kargowa 2011, 328 s.

Krzysztof Koziołek, *Premier musi zginąć*, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2011, 224 s.

Eugeniusz Kurzawa, *Ćwiczenia z rozpacz*, [brak wydawcy], Wilkanowo 2011, 42 s.

Legenda z Krainy Szlaków Turystycznych, SONAR, Sulęcín 2010, 50 s.

Władysław Łazuka, *Którego spotkałem*, Wydawnictwo Książkowe IBIŚ, Warszawa 2010, 56 s.

Władysław Łazuka, *Słowa wśród wydmi*, Atelier RED FROG, Choszczno 2011, 64 s.

Józef Popławski, *Staś komunista?*, Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2011, 280 s.

Maciej Siwicki, *Izba Historii w Szprotawie. Przewodnik*, DEKORGRAF, Szprotawa – Żagań 2011, 56 s.

Adam Skorb, *Ojciec Homera*, FTF Wydawnictwo Prywatne, Gubin 2011, 132 s.

Katarzyna Sokołowska, *Świeckich drogi do świętości w hagiografii sarmacko-barokowej*, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, Poznań 2008, 292 s.

Bogusław Światała, *Oblicze mojej ziemi. O ptakach inna opowieść*, Apostolicum, Ząbki 2011, 144 s.

Stanisław Turowski, *Notatki z kraju szczęśliwości*, FTF Wydawnictwo Prywatne, Gubin 2011, 80 s.

Winnice w Polsce. Wszystko o enoturystyce, MULTICO Oficyna Wydawnicza, Warszawa 2011, 120 s.

AUTORZY NUMERU

Monika Alechno

Studentka historii oraz filologii polskiej UZ, członkini Studenckiego Koła Archeologów i Koła Historyków Studentów UZ, autorka referatów na krajowych i regionalnych konferencjach naukowych.

Gabriela Balcerzak

Doktor nauk humanistycznych, historyk literatury. Zajmuje się literaturą i kulturą XIX i XX wieku oraz historią i teorią idei artystycznych.

Andrzej Buck

Literaturoznawca, teatrolog, edytor, dziennikarz, bibliotekoznawca, autor książek i artykułów naukowych oraz prac dokumentacyjnych dotyczących teatru, autor adaptacji teatralnych i scenariuszy, twórca przeglądów, spotkań i festiwali teatralnych, redaktor czasopism, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych. Dyrektor WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, prezes Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych.

Monika Derczyńska

22-letnia poetka z Zielonej Góry, studentka IV roku filologii polskiej i I roku filologii germańskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Miłośniczka poezji.

Renata Diaków

Filolog, scenarzystka, prowadzi Rodzinny Teatr Lalek „Pinokio”. Mieszkanka Nowogrodu Bobrzańskiego.

Kamila Gieba

Studentka polonistyki na Uniwersytecie Zielonogórskim. Uczestniczy w seminarium poświęconym literaturze lubuskiej, przygotowuje pracę magisterską na temat zbioru baśni i legend *Złota dzida Bolesława*.

Karol Graczyk

Ur. w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Recenzent w dziedzinie literatury, filmu oraz muzyki. Laureat i zwycięzca kilkudziesięciu konkursów literackich, redaktor stworzonego przez siebie internetowego miesięcznika sztuki – Polskie Kulturalne Podziemie (www.pkpzin.pl). Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp.

Przemysław Grześniński

Absolwent filologii polskiej i filozofii. Pracuje w Dziale Literackim Lubuskiego Teatru. Twórca komedio-dramatu *Po prostu Leon po prostu* (premiera 2011 r. w Lubuskim Teatrze). Autor sztuk: *Studnia*, *To jest wojna*, *Według Michała*, *Żużel forever*.

Leszek Jazownik

Profesor w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, w którym pełni funkcję dyrektora. Specjalizuje się w badaniach nad edukacją literacką. Pracując jako nauczyciel akademicki, prowadził zajęcia z zakresu poetyki, problemów kultury współczesnej i dydaktyki literatury, ostatnio – z zakresu historii i teorii recepcji dzieła literackiego oraz biblioterapii. Członek Rady Naukowej Instytutu Kresów Rzeczypospolitej.

Maria Jazownik

Adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Specjalizuje się w badaniach literatury polskiej przełomu XIX i XX wieku. W roku 2009 współorganizowała konferencję „Pamięć czasu Zagłady (1939-2009)”. Współredaguje pismo „Nad Odrą”.

Anna Kaczmar

Studentka filologii polskiej; w 2010 roku obroniła pracę licencjacką dotyczącą motywu żeglarza u Byrona i Słowackiego. Obecnie pisze pracę magisterską o psychologicznym obrazie kobiety w utworach J. Austen, M. Wirtemberskiej i E. Jaraczewskiej. Mieszka w Zielonej Górze.

Marta Kapelińska

Ur. w 1988 roku. Pochodzi z Rychwała (obok Konina), obecnie mieszka w Toruniu, gdzie studiuje kulturoznawstwo. Nagradzana i wyróżniana w konkursach poetyckich. Publikowała swoje wiersze w „Toposie” oraz „Blizie”.

Joanna Kapica-Curzytek

Ur. w 1967 r. Filolog angielski, glottodydaktyk, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, portal internetowy księgarni „Merlin”), recenzji teatralnych i wywiadów (wortal teatralny www.e-teatr.pl). Jest współautorką i tłumaczką reportażu, który otrzymał Nagrodę Specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na krajowym konkursie reportażu radiowego „Polska i Świat 2000”. Obok literatury jej największą pasją są języki obce.

Katarzyna Kaszewska

Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka publikacji w piśmie studenckim „UZetka”.

Anna Kokot

Ur. w Poznaniu. Z wykształcenie politolog i dziennikarka. Publikuje m.in. w almanachach i prasie literackiej. Należy do Klubu Literackiego „Dąbrówka” w Poznaniu.

Marta Kornalska

Ur. w 1986 r. w Koninie. Absolwentka Zespołu Szkół Plastycznych w Kole. Obecnie związana z Wydziałem Artystycznym Uniwersytetu Zielonogórskiego. Graficzka, malarka, hobbystycznie pisze.

Lilianna Krause-Lewandowska

Kuratorka, animatorka kultury. Pracowała w BWA w Zielonej Górze, prowadziła galerię malarstwa i fotografii w Fabryce Trzciny. Zajmuje się malarstwem, designem i fotografią. Prowadzi portal o fotografii kolekcjonerskiej. Publikuje teksty w prestiżowych periodykach.

Monika Krygiel

Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Anita Kucharska-Dziedzic

Adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Zielonogórskiego; prezes Lubuskiego Stowarzyszenia na Rzecz Kobiet „Baba”.

Władysław Łazuka

Ur. w 1946 r. poeta, prozaik, laureat nagród i wyróżnień literackich. Często publikuje w prasie, a także na antenie PR. Autor zbiorów wierszy. Mieszka w Choszcznie.

Małgorzata Mikołajczak

Prof. Uniwersytetu Zielonogórskiego, kieruje Zakładem Teorii i Antropologii Literatury UZ. Prowadzi Pracownię Badań nad Literaturą Regionalną. Autorka monografii poświęconych twórczości Urszuli Kozioł i Zbigniewa Herberta, ostatnio wydała *Zbliżenia. Studia i szkice poświęcone literaturze lubuskiej*.

Elżbieta Mikoś

Autorka zbioru wierszy *Wierszowanie*; należy do Klubu Literackiego w Żarach oraz Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Mieszka w Jabłońcu.

Maria Miłek

Ur. w 1954 r. w Myślenicach, autorka dwóch książek i redaktorka kilkunastu innych. Współpracownik pism literackich i laureatka wyróżnień w konkursach literackich.

Agnieszka Moroz

Ur. w 1987 r. w Gorzowie Wlkp. Doktorantka literaturoznawstwa na Uniwersytecie Szczecińskim. Autorka książki poetyckiej *Każdy idzie do nieba* (2006), nagrodzonej Dyplomem Honorowym Wawrzynu Lubuskiego dla najlepszego debiutu roku, oraz wydanej w 2010 r. *Ulicy magików*. Stypendystka Marszałka Województwa Lubuskiego i Prezydenta Gorzowa Wlkp. Laureatka konkursów literackich. Jej wiersze pojawiły się w wielu antologiach, czasopismach literackich: „Pegaz Lubuski”, „Lamus”, „Pro Libris”, „Znaj” oraz czasopismach internetowych: „Szafa”, „PKPzin”.

Katarzyna Palimąka

Studentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkini Studenckiego Koła Literaturoznawców oraz Studenckiego Koła Naukowego Bibliologów i Edytorów RAMA. Interesuje się językoznawstwem historycznym, historią mangi i anime, pisze wiersze.

Krzysztof Regus

Ur. w 1988 r. w Zielonej Górze. Jest absolwentem Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących im. Mikołaja Kopernika w Zielonej Górze. Studiuje filologię polską na Uniwersytecie Zielonogórskim. Interesuje się muzyką, filmami oraz literaturą grozy, fantasy i science fiction.

Robert Rudiak

Ur. w 1966 r. w Zielonej Górze. Poeta, prozaik, publicysta, krytyk literacki, historyk literatury i regionalista. Autor książek poetyckich; autor i współautor wystaw instalacji plastycznych oraz spektakli parateatralnych i montażu poetyckich. Laureat wielu konkursów poetyckich. Pracownik WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze.

Paulina Sadowska

Absolwentka Wydziału Artystycznego UMCS w Lublinie. Zajmuje się malarstwem, animacją. Pisze teksty o sztuce współczesnej.

Roman Sapeńko

Prof. Uniwersytetu Zielonogórskiego, adiunkt w Instytucie Filozofii (Wydział Humanistyczny UZ). Współpracował z „Nadodrzem Lubuskim”, współprowadził audycje radiowe na tematy filmowe w Radiu Zachód. Członek Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. Zainteresowania naukowe: filozofia kultury, estetyka, mass media, reklama.

Czesław Sobkowiak

Ur. w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, poeta, autor 9 tomików poetyckich, krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Anna Szanderska

Studentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Interesuje się poezją.

Agnieszka Szpylma

Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim (licencjat) i Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (studia magisterskie o specjalności krytycznoliterackiej). Doktorantka zajmująca się problematyką funkcjonowania języka we współczesnym społeczeństwie polskim. Uczestniczka Dyskusyjnego Klubu Książki przy Wypożyczalni Główniej WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze.

Radosław Szytber

Adiunkt Uniwersytetu Zielonogórskiego. Zajmuje się przede wszystkim literaturą dawną, twórczością okolicznościową baroku, genologią oraz szeroko rozumianym edytorstwem. Autor kilkudziesięciu prac naukowych, w tym pięciu książek o twórczości pisarza z XVII w., Wojciecha Dembołęckiego.

Dariusz Szymanowski

Ur. w 1984 r. w Olsztynie. Poeta i prozaik. Wiersze i opowiadania publikował m.in. w „Kwartalniku Artystycznym”, „Opcjach”, „Pograniczach”, „Kresach”, „Portrecie”, „Tece”. Tłumaczony na język angielski. Mieszka w Świętochłowicach.

Mieczysław Jan Warszawski

Ur. w 1950 r. w Laskach Odrzańskich k. Zielonej Góry, poeta, prozaik. Laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w 1995 r.

Elżbieta Wozowczyk-Leszko

Dziennikarka działu społecznego Radia Zachód. Z zaangażowaniem śledzi i komentuje zagadnienia kultury i problematykę związaną z dziećmi.

Kalina Zioła

Autorka tomiku poetyckiego *Srebrny motyl* (2010). Wywodzi się z Poznania.

Jacek Żeromski

Ur. w 1973 r. w Zielonej Górze. Absolwent Akademii Rolniczej we Wrocławiu; poeta.

Cena 10,50 zł
(w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995



06

9 771642 599108



L PRO
LIBRIS

